ŁOSIEWICZ
O „ŻONACH KONSTANCINA”
– szokującej książce o brutalnym świecie polskich Carringtonów

MATUSZAK O TVN:
TEGO NIE DA SIĘ OGLĄDAĆ ANI NA KACU, ANI NA TRZEŹWO

JANECKI:
PLANY OPOZYCJI TO PROJEKT V ROZBIORU POLSKI

WALASZCZYK:
BYŁEM NA POGRZEBIE URBANA. JESTEM WSTRZĄŚNIĘTY

MACIEJEWSKI:
TAJEMNICE PUŁKU AZOW

SIECI

PIENIĄDZE, PRZEMOC, ZDRADY I CIERPIENIE

SIECI

NAJWIĘKSZY KONSERWATYWNY TYGODNIK OPINII W POLSCE
Nr 42 (516) 2022
17–23 października 2022
CENA: 7,90 zł
(w tym 8% VAT)

UJAWNIAMY

RAZEM UDERZĄ NA POLSKĄ GRANICĘ

ŁUKASZENKA ZNÓW ŚCIĄGA MIGRANTÓW, A TUSK BRUTALNIE ATAKUJE OBROŃCÓW GRANIC.

TO ŚMIERTELNIE NIEBEZPIECZNA GRA

INDEKS 287393 ISSN: 2544-2694

POLSKI KOMPAS 2022

ROCZNIK INSTYTUCJI FINANSOWYCH I SPÓŁEK AKCYJNYCH

Bezpłatna wersja elektroniczna
do pobrania na gb.pl
oraz App Store i Google Play juz teraz!

DOSTĘPNE W Google play | Dostępne w App Store | ODKRYWAJ W AppGallery

PARTNER ZŁOTY:

ORLEN

PARTNERZY GŁÓWNI:

Grupa Azoty | KGHM Polska Miedź | PGE Polska Grupa Energetyczna | PGNiG | PKO Bank Polski | PWPW Polska Wytwórnia Papierów Wartościowych | PZU | Totalizator Sportowy

PARTNERZY:

accenture | Alior Bank | Bank Pekao | BGK Bank Gospodarstwa Krajowego | Lasy Państwowe | Tauron

PARTNERZY WSPIERAJĄCY:

GAZ system | GPW | KDPW | POLREGIO

eprasa.pl a7919b9646

Kto, kiedy i kogo będzie w Polsce rozliczał

Platformiane marzenie o zemście nabiera konkretów. Donald Tusk zapowiada, że to nie będą pieszczoty, ale konkret: jego przeciwnicy polityczni mają pójść do więzienia. Na jakiej podstawie? Ano na podstawie raportów Najwyższej Izby Kontroli, które z kolei staną się podstawą do wytoczenia kilkudziesięciu procesów. Plan więcej niż słaby, bo – po pierwsze – logika raportów NIK jest inna niż procesów karnych i przełożenie wyników na wiarygodny akt oskarżenia to sztuka w przyrodzie więcej niż rzadka. A po drugie, obecny szef Izby nie kryje, że jest na wojnie politycznej z obozem rządzącym, więc dorobek kierowanej przez niego instytucji nie może mieć waloru obiektywizmu.

Nawet bardzo „rozgrzani sędziowie" tego nie zrobią, nawet liderzy kasty tego nie udźwigną. Podobnie jak nie da się wyprowadzić za pomocą tłumu prezesów instytucji, które będą Tuskowi zawadzały w drodze do pełni władzy. Technicznie to oczywiście możliwe, opozycja ma przecież swoje bojówki, może pchnąć tłum do szturmu, może zdobyć budynki, ale cena, którą finalnie by zapłaciła, będzie straszna, i ona też to wie. Nawet przy milczeniu Europy polski duch przekory sprawi, że szybko pożałuje. Tym bardziej że to bardzo zakłamana opowieść. Niemal każda z „afer", o której opowiada opozycja, to jedynie bardzo wykoślawiona, wręcz karykaturalna opowieść o normalnych działaniach politycznych i gospodarczych, podejmowanych w interesie państwa w sytuacjach kryzysowych (pandemia, wojna o granicę, wojna na Ukrainie itp.).

Tusk nie mówi więc swoim zwolennikom prawdy. Jeśli nie zdobędzie większości pozwalającej na obalanie weta prezydenta, zrobi jedynie krótkotrwały show, który skończy się na niczym i który dla niego samego będzie bardzo niebezpieczny. Uruchomi mechanizmy, które dla niego samego okażą się śmiertelne. A opowieść o 100 dniach, które odwrócą zmiany prawne dokonane w ciągu ośmiu lat, jest po prostu śmieszna. Panta rhei, wszystko płynie.

Pragnienie zemsty wypływa oczywiście ze stalinowskiego umiłowania pokoju.

W sumie zdaniem Tuska zwycięstwo jest na wyciągnięcie ręki. Być może, ale wszyscy wiemy, że przy takim wyciąganiu ręki łatwo o kontuzję. Nic w Polsce jeszcze nie zostało rozstrzygnięte. Nic. Zima, na którą tak liczy III RP, może jej przynieść mocne rozczarowanie.

Warto pamiętać: w Polsce nigdy nie wiadomo do końca, kto, kiedy i kogo będzie rozliczał.

Jacek Karnowski

Autopromocja

Rusek wali rakietami, opozycja się cieszy?

Tylko „Wiadomości" TVP przypomniały, że tuż po barbarzyńskiej rosyjskiej napaści na Ukrainę to Donald Tusk, na tle węglowych składowisk, domagał się natychmiastowego zaprzestania importu węgla z Rosji. Dziś, gdy odczuwamy oczywiste skutki tego embarga, cynicznie szczuje na rząd.

Są dwa Tuski? Nie, jeden, ten sam. Zdolny powiedzieć wszystko, zrobić wszystko dla uzysku politycznego.

Jego ludzie szukają po Polsce problemów wynikających z wojny i pędzą tam ze swoimi prostackimi podpowiedziami, że za wszystko odpowiada rząd, Zjednoczona Prawica, Jarosław Kaczyński. Ten człowiek potrafi zrobić godzinny wiec o putinflacji, nie wspominając o wojnie. Kaczyński, Glapiński, PiS – powtarza w kółko, w nadziei na polityczną premię z wojny.

Straszliwe zakłamanie. To nasza wojna. To o nas też idzie bój. Jak padnie Ukraina, my będziemy następni.

Uczciwy człowiek, Polak przejmujący się Polską, a zatem rozumiejący grozę momentu historycznego, w którym się znaleźliśmy, musi, oglądając ten Tuskowy spektakl, odczuwać obrzydzenie. Ja odczuwam.

Jest to podobne do wrażenia, które przynosi obcowanie z oficjalnymi rosyjskimi mediami. Tam też widać pogardę dla prawdy, szczucie narodów i społeczeństw na te rządy wolnego świata, które uparcie nie chcą oddać orkom Ukrainy, za co obywatele płacą dużą cenę: koszty paliw, prądu i gazu poszły przecież w górę.

Putin gra na zmęczenie Zachodu. Na to samo liczy Tusk.

Obrzydliwa jest też radość rosyjskich mediów po ostatnich masowych uderzeniach rakietowych w miasta Ukrainy. Nurzają się w tej krwi, w obrazach zniszczeń, w cierpieniu. Wielka Rosja nie wybacza, tak wielka Rosja się mści za stawianie oporu. Aż im piana z ust leci.

Szczególnie napawają się uderzeniami w infrastrukturę krytyczną, w tym elektrownie i linie przesyłowe. Przypominają, że Ukraina dostarcza prąd Zachodowi, w tym Polsce, co zmniejsza dolegliwość kryzysu. Jak spadnie więcej bomb i rakiet, to się to skończy. Ceny w Europie jeszcze bardziej skoczą. Może zdesperowani ludzie nie wytrzymają?

W logice Tuska to zwiększa jego szanse.

Grał z Putinem, gdy rządził, chciał współpracy z taką Rosją, jaka jest, nie widział nic złego w sprzedaży jej polskich rafinerii. Gra i teraz.

Panie Tusk, Rusek wali rakietami po Ukrainie, po elektrowniach. Cieszysz się? Szykujesz wiece, że prąd drogi i w ogóle kłopoty?

Lider PO zapowiada maniakalnie trybunały i rozliczenia. Ale prawda jest taka, że to jego trybunał historii i następnych pokoleń opisze jako wyjątkowo żałosną postać, która w chwili, gdy ważył się los Polski i całego regionu, gdy szła walka o wolność z tyranią, gdy rząd i Polacy dawali z siebie wszystko, kombinowała małe geszefty polityczne na rozkaz z Berlina.

Michał Karnowski

eprasa.pl a7919b9646

SIECI spis treści

29 Zachowaj czujność!
Konrad Kołodziejski

44 Czy rozwód jest cool?
Goran Andrijanić

66 Wawel pod niemiecką okupacją
Rozmowa Piotra Słabka

NA POCZĄTEK

6 **SYGNALISTA NADAJE**
Nieoficjalny przegląd tygodnia

8 **TRZY GŁOWY**
Krzysztof Feusette

9 **KONIEC UDAWANIA AUTORYTETU**
Dorota Łosiewicz

10 **ŚWIATOWE ŻYCIE**
redaguje Konrad Kołodziejski

12 **PARTIA ZAGRANICZNYCH SAMORZĄDOWCÓW**
Jan Pietrzak

12 **PRAWDA NIGDY NIE LEŻY POŚRODKU**
Dominik Zdort

13 **W KRZYWYM ZWIERCIADLE URBANA**
Bronisław Wildstein

14 **WALIZKA WOJCIECHA RESZCZYŃSKIEGO**
Michał Korsun

16 **OGNIEM NA WPROST**
Andrzej Rafał Potocki

17 **PRZENIKANIE**
Marta Kaczyńska-Zielińska

18 **WINA PUTINA. KTO I DLACZEGO ODWRACA OD NIEJ UWAGĘ?**
Samuel Pereira

TEMAT TYGODNIA

20 **FALA RUSZYŁA**
Marek Pyza, Marcin Wikło

KRAJ

26 **V ROZBIÓR POLSKI**
Stanisław Janecki

29 **ZACHOWAJ CZUJNOŚĆ!**
Konrad Kołodziejski

32 **PLEMIENNA LOJALNOŚĆ SIEROT PO KOMUNIZMIE**
Maciej Walaszczyk

36 **ŚWIAT WEDŁUG TVN**
Dariusz Matuszak

40 **BRUTALNY ŚWIAT POLSKICH CARRINGTONÓW**
Dorota Łosiewicz

44 **CZY ROZWÓD JEST COOL?**
Goran Andrijanić

46 **Z CZESŁAWEM BIELECKIM**
rozmawia Jacek Karnowski

WOJNA ROSJI Z UKRAINĄ

52 **KRÓLICZA NORA JOE BIDENA**
Jan Rokita

55 **START WALKI O SCHEDĘ PO PUTINIE**
Marek Budzisz

58 **AZOW: OD UKRAIŃSKIEGO NACJONALIZMU DO MIĘDZYMORZA**
Jakub Augustyn Maciejewski

60 **OSTATNI BASTION ROSJI**
Rozmowa Piotra Słabka

ŚWIAT

64 **ANIOŁ Z WILNA**
Grzegorz Górny

HISTORIA

66 **WAWEL POD NIEMIECKĄ OKUPACJĄ**
Z Haliną Billik rozmawia Piotr Słabek

SIECI KULTURY

69 **RODZICIELSKI HURAGAN**
Jolanta Gajda-Zadworna

72 **KULT BESTII**
Robert Tekieli

73 **WOJNA CYWILIZACJI**
Robert Tekieli

74 **POLECA I ODRADZA**
Łukasz Adamski

GOSPODARKA

76 **POLSKI KOMPAS 2022 ZADEBIUTOWAŁ NA WARSZAWSKIEJ GIEŁDZIE**
Nagrody „Gazety Bankowej"

ZDROWIE

78 **KOMÓRKI MACIERZYSTE – POLSKA SZANSA W BIOTECHNOLOGICZNYM WYŚCIGU**
Rozmowa Bartosza Życińskiego

KUCHNIA

82 **MOJE SMAKI: FRENCH TOUCH**
Jolanta Gajda-Zadworna

83 **SŁODKO-SŁONY/WILCZYM OKIEM**
Anna Monicka, Przemysław Barszcz

NA KONIEC

84 **OBLICZA NACJONALIZMU**
Wojciech Reszczyński

85 **ODWYK**
Aleksander Nalaskowski

87 **SEKCJA SPECJALNA OPOZYCJI**
Jerzy Jachowicz

87 **AS BASU Z ENERGIĄ I HUMOREM**
Adam Ciesielski

88 **JAK ZOSTAĆ BOGACZEM**
Ryszard Makowski

89 **TO JUŻ DAWNO...**
Leszek Długosz

90 **POLSKA DLA AGRESYWNYCH?**
Katarzyna i Andrzej Zybertowiczowie

Reklama | 54/0822/F

eprasa.pl a7919b9646

LINK 4

Pierwsza stłuczka? Nie szkodzi!

Ochrona Zniżki OC już za 35 zł rocznie

MATERIAŁ MARKETINGOWY

Klauzula Ochrona Zniżki działa w przypadku pierwszej szkody z OC oraz pierwszej szkody z AC dla danego pojazdu, pod warunkiem opłaty dodatkowej składki przy ubezpieczeniu OC lub pakiecie OC/AC. Klauzula nie jest dostępna w przypadku braku historii ubezpieczenia OC u wszystkich właścicieli pojazdu lub gdy wystąpiła szkoda z OC w ostatnim roku u któregokolwiek z właścicieli pojazdu. Szczegółowe informacje dostępne są w OWU Komunikacja na stronie www.link4.pl.

eprasa.pl a7919b9646

Sygnalista nadaje

Jerzy Wenderlich, były poseł SLD i były wicemarszałek Sejmu, w rozmowie z „Wprost" ujawnił, że także marzy o zemście na PiS: „Mocne słowa są potrzebne. Dobrze, że Donald Tusk je wypowiada. Poszedłbym o krok dalej. Trzeba zablokować pewnej grupie polityków PiS paszporty, by nie mogli uciec za granicę przed odpowiedzialnością". Wenderlich podkreślił, że jedynie wskazuje pomysł, a reszta należy do wymiaru sprawiedliwości. Marzenie ściętej głowy. Nie będzie zemsty, bo nie będzie zwycięstwa opozycji. A poza tym w strefie Schengen nie trzeba mieć paszportu, żeby wyjechać za granicę.

Dlaczego opozycja nie wygra? Bo znów okaże się, że kłamie. Marcin Duma, szef IBRiS, tak opisuje to zjawisko w rozmowie z portalem Gazeta.pl: „Opowieść opozycji, że niczego nie będzie – gazu, węgla, prądu, a jeszcze niedawno benzyny poniżej 10 zł – przyniesie jej spory problem, jeśli się nie spełni. Bo skoro ten koniec świata się nie wydarzy, to PiS zyska zdolność do odwojowania zgubionych wcześniej wyborców. [...] Jeśli okaże się, że opozycja znów nadmuchała balonik, który pęknie zimą, to wiarygodność komunikatów opozycji będzie dla tych ludzi już żadna". To w zasadzie już pewne, zima rządu nie wyłoży. Nic nie zostało rozstrzygnięte, o wszystkim zdecyduje kampania.

Dr hab. Maciej Górecki z Wydziału Psychologii Uniwersytetu Warszawskiego przebił dno. „Elektorat PiS jest niezwykle toksyczny kulturowo. Po odsunięciu PiS od władzy służby powinny infiltrować i wewnętrznie dezintegrować każdą kolejną partię, która będzie bazować na tym elektoracie. Tylko w ten sposób unikniemy pełnoskalowego faszyzmu" – napisał Górecki w mediach społecznościowych. Jeśli szuka osoby toksycznej kulturowo, niech spojrzy w lustro. Jeśli szuka zwolenników systemów totalitarnych, także. Choć to raczej stalinizm niż faszyzm.

Zaślepiona nienawiścią opozycji coraz śmielej rehabilituje PRL, także ten twardy. Prof. ***Jan Hartman***: „Nad grobem Urbana pięknie przemawiał Aleksander Kwaśniewski i kilku innych. Nawet wtedy, gdy służył złej sprawie, pomagał ludziom opozycji. A do walki o świecką Polskę zabrał się w czasach, gdy wydawało się to szalone. I jeśli my dziś walczymy, to z jego inspiracji. Za to mu dziękuję". My dziękujemy za szczerość. Oni wszyscy z Urbana. I już tego nawet nie kryją.

Hartman posunął się do słów haniebnych. Ocenił, że urbanowa „krytyka [bł. ks. Jerzego] Popiełuszki – chcę to bardzo mocno podkreślić – miała swoje podstawy. To, że Popiełuszko został zamordowany przez policję polityczną reżimu komunistycznego, to nie znaczy, że to, co mówił podczas swoich kazań, i ideologia, której służył, i instytucja, której służył, są przez to chwalebne czy dobre. Z tego, że ktoś ginie śmiercią ofiary morderstwa, nie wynika, że w czymkolwiek miał rację. Zdecydowanie Popiełuszko w swojej działalności, mimo śmierci, która go spotkała, nie służył dobrej sprawie". Stąd już bardzo blisko nie tylko do Urbana, ale i do Piotrowskiego.

Z kolei ***Aleksander Kwaśniewski*** w czasie pogrzebu miał powiedzieć, że „dziś rolę Urbana przejął na siebie premier Morawiecki". „On

Na Kongresie Kobiet pojawiła się europosłanka Zielonych Sylwia Spurek. W panelu pt. „Jak przerwać marazm antropocenu? Nadzieje ekofeminizmu" uznała, że podawanie dzieciom w szkole szklanki mleka to w istocie przestępstwo. „Państwo nie edukuje w szkołach, ale wręcz indoktrynuje, dając każdemu i każdej tę tzw. szklankę mleka, bo są specjalne programy, że każde dziecko musi dostać szklankę mleka w szkole" – stwierdziła Spurek. Neomarksistowska lewica, jak wiadomo, brzydzi się indoktrynacją i dlatego już w przedszkolu każe chłopcom przebierać się za dziewczynki. Ci ludzie nie są śmieszni. Oni są groźni.

eprasa.pl a7919b9646

zarzucał Urbanowi, że ten w okresie PRL kłamał. Zdarzało się. A premier Morawiecki? Kto odmawia patriotyzmu opozycji? Kto mówi, że są onucami Putina? Ten język premiera Morawieckiego jest ostrzejszy. [...] Różnice są dwie: premier Morawiecki jest premierem, a Urban był tylko rzecznikiem prasowym, a więc nie miał takiego wpływu na decyzje. No i druga różnica, Morawiecki nie ma za grosz talentu Urbana" – tak mówił były prezydent. Ma rację Jarosław Kaczyński: najbliższe wybory będą tak ważne jak te z 1989 r. Albo zmutowana postkomuna, albo testament prawdziwej Solidarności.

Zdaniem Szymona Hołowni stawka przyszłorocznych wyborów jest wielka: „To są wybory o tym, czy będziemy mówili w Polsce po rosyjsku, czy po polsku, czy będziemy mieli rubla, czy euro, czy będziemy na Wschodzie, czy będziemy na Zachodzie. To są wybory o tym, czy nasze dzieci będą robiły montownie Europy, czy będą wymyślały rzeczy, które w tej montowni będą. To są dzisiaj wszystkie te rzeczy, które leżą na stole. Czy my będziemy w 50. roku [mieli] zimno w domach, bo nie będzie już węgla lub będzie za drogi". Można się tylko zgodzić. Zwycięstwo stronnictwa pruskiego będzie oznaczało i utratę niepodległości, i nową falę bezrobocia, biedy, emigracji.

Czy na listach opozycji znajdzie się miejsce dla Jarosława Gowina? „Nie kwestionuję, że zmienił pogląd, ale to nie starczy, żeby uznać, że nic się nie stało. Gowin będzie raczej rozliczany, a nie będzie rozliczał" – mówił we wrześniu lider PO Donald Tusk. Teraz swoje dorzucił Grzegorz Schetyna: „Gowin przez sześć lat był jednym z filarów złych rządów PiS i pomagał, głosował, wprawdzie się nie cieszył, ale ten system utrzymywał. On jest taką postacią, powiedziałbym, tragiczną. [...] On musi mieć czas, żeby nad sobą się zastanowić i nad swoją przyszłością, i wszyscy się muszą do tego przyzwyczaić. Sugeruję mu więcej cierpliwości". Tak, ten bilans jest tragiczny.

Donald Tusk ma marzenie. „To, co dla mnie jest najważniejsze, to nie to, żeby pokonać PiS, i wtedy będzie tak samo, jak jest, tylko po naszej stronie. Tylko moim najważniejszym, najmocniejszym pragnieniem i marzeniem jest to, żebym wiedział, że ta piątka maleństw [wnucząt Tuska – przyp. red.] będzie dorastała w kraju, gdzie będzie mniej nienawiści, łajdactwa, mniej agresji. Żeby to codzienne życie, które niewiele ma wspólnego z wielką polityką, to nie było życie wśród ludzi, którzy nie mogą na siebie patrzeć". Tusk ocenił, że „nawet w czasie stanu wojennego w latach 80. miał poczucie, że jest mniej

opresji i jadu w polityce niż w tej chwili". To możliwe. Totalna opozycja i jej media rzeczywiście przebiły Urbana w sianiu nienawiści. To szersza reguła: zmutowany komunizm jest zawsze groźniejszy – bo skuteczniejszy – niż komunizm pierwotny.

Znany z manifestowania niechęci do PiS i licznych prowokacji (Maryja jako „matka gender") ks. Alfred Wierzbicki odchodzi z Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego. W rozmowie z „Więzią" duchowny stwierdził: „Na KUL są wyczuwalne próby ręcznego sterowania przez prof. Przemysława Czarnka, który został ministrem". Ks. Wierzbicki podjął decyzję o odejściu, gdy toczyło się wobec niego postępowanie dyscyplinarne. „Dręczono mnie i poniżano. Zacząłem myśleć, że nie chcę mieć do czynienia z tym środowiskiem". Minister Czarnek odpowiedział tak: „To słowa osoby sfrustrowanej, obrażające obecnego rektora KUL i pracowników naukowych tej uczelni. Ks. Wierzbickiemu jako chrześcijanin proponuję więcej modlitwy i refleksji nad sobą, wybaczając złe słowa i myśli kierowane pod moim osobistym adresem". Cenne rady, słuszne decyzje. Wojna o przetrwanie cywilizacji trwa, a front jest wszędzie.

„Niemcy są tak daleko demokratyczni, tak daleko dziś uczciwi, że ja aż ich nie rozumiem. [...] Oni tak daleko uwierzyli przez tę lekcję historii wojennej w ten system wolności, demokracji, że dziś są nie do pokonania. Dlatego nie mieszają się do żadnej polityki" – wychwalał Niemcy na antenie TVN24 Lech Wałęsa, były prezydent. Jego zdaniem „dziś Niemcy powinni w Europie przewodzić w reformach, a oni się boją przewodzenia, bo już kiedyś przewodzili i to źle im wyszło". Te niemieckie „reformy" z lat 30. i 40. ub.w. państwo polskie wyceniło właśnie na ponad 6 bln zł. Poza tym każda wypowiedź potwierdza, że Wałęsa rozumie jeszcze mniej, niż się dotąd wydawało.

Niemieckie przywództwo może przynieść Polsce jedynie nieszczęścia. Co gorsza, nie widać głębszej refleksji, a była kanclerz Niemiec nadal broni swojej polityki energetycznej. W Lizbonie Angela Merkel mówiła, że za jej rządów Niemcy musiały zdywersyfikować swoje źródła energii, odchodząc od energetyki jądrowej i węglowej, a gaz miał być potrzebny w okresie przejściowym. „Z perspektywy tamtego czasu bardzo racjonalne i zrozumiałe było pozyskiwanie gazu rurociągami, w tym z Rosji, który jest tańszy niż LNG (skroplony gaz ziemny) z innych krajów" – przekonywała, podkreślając, że nawet w czasie zimnej wojny Rosja była niezawodnym dostawcą energii. Ofiary rosyjskich zbrodni na Ukrainie mają w tej sprawie inne zdanie.

Fot. Andrzej Skwarczyński, Andrzej Wiktor, Julita Szewczyk

eprasa.pl a7919b9646

Trzy głowy

KRZYSZTOF FEUSETTE

Bolek: Panowie, zebralim siem tutaj, żeby ostatecznie rozwiać wontpływości, któren z nas jest najlepszem prezydentem we Trzeciej RP.
Olek: O so ci chozi?
Bronek: Chodzi o to, żeby język giętki powiedział wszystko, co pomyśli głowa państwa, proszę państwa. A myślę, że takich trzech jak nas dwóch, to znaczy nas trzech, to żaden kraj nie ma ani jednego.
Olek: Szepraszam, a szy ktoś pilnuje, no, wiesie, golenia?
Bolek: Panie, ja jestem ogolony całkowicie. Ja nie mam za co totolotka wykupić. To co, gotowi na ostateczną rozgrywkie?
Bronek: Proponuję polowanie: kto trafi więcej jeleni...
Bolek: Panie, czy to ma być konkurs na myśliwego, czy najlepszego? Pan dobrze kombinuje, ale nie w tem stronę.
Olek: A szy ktoś może mnie oświesić, o so tak naprawdę chozi? Szemu wy się kłócicie?
Bolek: Panie, a jaka to jest kłótnia? Z Dankom, jak żeśmy o piniendzach rozmawialy, to była kłótnia, ale tutaj? Mnie siem wydaje, że to powinna być jakaś gra na yntelekt. Stąd moja propozycja, żeby to były sakreble.
Olek: Boluś, ty znasz języki?
Bolek: Panie, jak pan jeszcze raz powiesz do mnie „Boluś", to ja przerywam ten wywiad i walem panu w mordę. Nie będzie ani be, ani me, ani kukuryku. To jest wszystko przez Kyszczkową zrobione i mnie już tefałeny rozliczyli. Że nic nie było.
Olek: Szyli „Bolesław" masz z bieszmowania?
Bolek: Panie, grasz pan w te sakreble czy palisz głupa?
Bronek: Chodzi chyba o skrable...
Olek: A jak w to się gra?
Bolek: Masz pan klocki z lyterami i układasz pan wyrazy. Ym dłużej, tym więcej.
Olek: A kloski skąd?
Bolek: Z woreczka. Ciągnij pan.
Olek: Pas. Mosze kolega pierszy, bo ja będę rozsypywał...
Bronek: Proszę bardzo, ciągnę. Siedem, prawda? No to jest kupa liter.
Olek: Liter na trzech to jest duszo goszej niż kupa...
Bolek: Panie, a kto panu powiedział, że myśmy już zakończyly? Ja mam jeszcze szampona z Arłamowa, i to takiego, że włosy dęba stawaly.
Bronek: Chyba szampana?
Olek: A, poproszę...
Bolek: Panie Olek, pan się nadajesz do planszówek jak Danuta do pysania. Bierz pan te lytery y kombynuj...
Bronek: Ja już mam. Proszę bardzo: „pitból".
Olek: Ale to się inaszej pisze...
Bronek: Co inaczej? Pit?
Olek: I pit, i bull.
Bronek: O, nie, tu jestem pewien. „Ból" wyłącznie przez „ó" zamknięte.
Bolek: Ja siem nie odzywam, bo nie jestem ekspertem, ale w ynternecie mnie wyskakuje, że pan się myly, panie Bronek...
Bronek: To, co? Wszyscy mnie oszukali? Cały kraj tarzał się ze śmiechu, a teraz się okazuje, że to jednak ja miałem rację?!
Olek: Nie do końsa. Ból przez „ó", a pitbull przez „u" i podwójne „l".
Bronek: Podwójnie to chyba już kolega widzi.
Bolek: Nie chcem, ale muszem ogłosić, że nie uznajem. Pan Bronek zero.
Bronek: To inne ułożę. Prosze bardzo: „lut".
Olek: A so to?
Bronek: No, ludzie.
Bolek: Panie, mów pan, a nie grasz pan na czas.
Bronek: Przecież mówię: ludzie. Czyli inaczej: lut.
Olek: To przez „d" na końcu.
Bronek: Serio? Szlag mnie kiedyś trafi. Może ja mam tę, no, bezortografię? W takim razie: lut do lizania.
Olek: Dobra, zaliszmy mu to, bo lepiej nie będzie.
Bolek: No, panie, ale jak zaliczyć, skoro nie ma takiego słowa?
Bronek: Wymieniam kwadraciki.
Bolek: Proszem bardzo. To ja wykładam wszystkie osiem lyter. O, ludzie złoci, to ja mniałem jedną więcej? Nyc się nie stało. A słowo moje to jest: szpycel.
Olek: Chyba sznycel? A do sznycelka musi byś butelka, he, he...
Bolek: Szpy-cel. Siemdemdziesięć punktów. To co, kończymy?
Olek: Nu, kak eta? A ja?
Bolek: Panie, pan siem prendzej sam wyłoży niż te lytery. Kładziesz pan coś?
Olek: Nie ma słowa „szpycel".
Bolek: Co?
Bronek: Oczywiście, że jest.
Olek: Przez „i"!
Bolek: Panie, mów pan normalnie. Co przez „y"? Ycel?
Bronek: „Hycel" to przez „ce-ha" się pisze...
Olek: Chłopaki, no, nie, ja jednak muszę soś wam pojedzieć. Mnie się wydaje, sze wyście nie chozili do szkoły...
Bolek: Panie, zapytaj mnie pan z kablowania, to ja panu wszystko powiem. Albo jak mówić, żeby pana słuchaly, ale nie posłuchaly, bo ja przecież z temi esbekami to potrójnę grę prowadziłem. Ale czy ja muszem wiedzieć, jak się pisze każden wyraz?
Olek: No i mam słowo: „jełop".
Bolek: Kto?
Olek: Wyraz taki. Ile to będzie punktów?
Bolek: Panie, panie, czekaj pan, żebyś pan sobie za wcześnie nie wpysał. Mielim grać w sakreble, a siem obrażamy? Sam pan jesteś debyl, a do tego nie umniesz pan siem zachować w obecności nobelysty.
Olek: A, nie, szepraszam, mam „y". Szyli: „jełopy"...
Bolek: No to ja muszem wykluczyć pana z zawodów. Masz pan jakiś wyraz, panie Brąku?
Bronek: Gram vabank. Szogón.

eprasa.pl a7919b9646

WIEŻA BAB

Koniec udawania autorytetu

Tomaszowi Lisowi życzę zdrowia, ale nie powrotu do mediów

Rzadko zgadzam się z feministkami, jak np. Magdaleną Środą czy Moniką Płatek, ale w sprawie powrotu na antenę Radia TOK FM Tomasza Lisa trzeba im przyznać rację. Po tym wszystkim, czego dowiedzieliśmy się o dziennikarzu w ostatnich miesiącach, ktoś powinien wreszcie powiedzieć „stop" stawianiu tego pana w roli moralnego autorytetu.

Kilka dni temu Jacek Żakowski, gospodarz audycji w TOK FM zwanej popularnie „trzódką", ogłosił, że „czas zawieszenia Tomasza Lisa w programie dobiega końca". Lis został zawieszony po pojawieniu się pod jego adresem zarzutów o mobbing, gdy kierował „Newsweekiem". Według Żakowskiego niedawny wywiad Lisa dla „Krytyki Politycznej" zamyka temat oskarżeń o mobbing. „W ocenie Wiesława Władyki i mojej rozmowa Tomasza Lisa z Agnieszką Wiśniewską stanowi to wyjaśnienie, które było potrzebne, by Tomasz Lis mógł wrócić do naszego poranka" – ogłosił Żakowski.

Swojego zaskoczenia nie kryła autorka wspomnianego wywiadu. „Zaskoczona byłam tym, że Jacek do uzasadnienia swojej decyzji posłużył się wywiadem, który przeprowadziłam z Lisem" – napisała publicystka „Krytyki Politycznej". „Jacek powrót Lisa do programu omówił z Wiesławem, a decyzję ogłosił sam w paśmie przed naszą audycją. Kiedy usłyszałam tę informację, siedziałam na wakacjach w Nowym Jorku, była pierwsza w nocy. Oniemiałam" – dodaje dziennikarka. „Nie znam szczegółów tego, co wydarzyło się w redakcji »Newsweeka«. Za to od kilku już osób usłyszałam to, czego mniej więcej dowiedzieliśmy się w międzyczasie wszyscy – że model męskiej szatni ma się dobrze, a godność i szacunek przegrywają z chamstwem" – napisała Wiśniewska.

Do redakcji Radia TOK FM trafił także list w sprawie obecności byłego redaktora naczelnego „Newsweeka" w gronie komentatorów rozgłośni. Żakowski został skrytykowany za to, że mimo toczącego się postępowania w prokuraturze ponownie zaprosił Lisa do uczestnictwa w „Poranku Radia TOK FM", tym samym „publicznie wydając wyrok uniewinniający". Pod apelem podpisały się 33 osoby, w tym prof. Magdalena Środa, prof. Magdalena Płatek, Agnieszka Holland, Agata Diduszko-Zyglewska, Sylwia Chutnik, Katarzyna Kasia, Adam Leszczyński i Rafał Majka. Autorzy listu postrzegają jako nieetyczne przyjęcie argumentów i wyjaśnień samego Lisa w jego własnej sprawie za wystarczające. „Nie ferujemy wyroku w tej sprawie, bo nie mamy takiej kompetencji, tak samo nie ma jej redaktor Jacek Żakowski. Z jednej strony zwraca on uwagę na problem publicznych wyroków zapadających na skutek publikacji medialnych poza wszelkimi procedurami i instytucjami, które zgodnie z umową społeczną mają służyć rozstrzyganiu sporów dotyczących łamania prawa, z drugiej strony – sam robi dokładnie to samo. Korzystając ze swojej pozycji dziennikarza obecnego w popularnych mediach (TOK FM, »Gazeta Wyborcza«) i ignorując trwające postępowanie, wydaje publiczny wyrok uniewinniający" – czytamy w liście otwartym. Jak przypominają jego autorzy, choć trwają przesłuchania w tej sprawie, Żakowski twierdzi, że zarzuty zawarte w tekście nie potwierdziły się, Jadczaka określa jako kata, a jego tekst jako jednostronny i pałkarski.

Przypomnijmy, że niedługo po tym, gdy w maju zarząd Ringier Axel Springer Polska i Tomasz Lis nagle zakończyli współpracę, Szymon Jadczak na wp.pl opublikował tekst, w którym opisywał, jak dziennikarze „Newsweeka" od lat zgłaszali w wydawnictwie, do którego należy tygodnik, niewłaściwe zachowania swojego szefa. Według publikacji Lis, gdy był w dobrym nastroju, miał na kolegiach opowiadać świńskie, pełne seksualnych odniesień kawały. Gdy jednak humor mu nie dopisywał, wyśmiewał zgłaszane tematy, używał wulgarnego języka, a jego zachowania wobec podwładnych były po prostu skandaliczne. W kolejnych tygodniach w mediach społecznościowych pojawiały się kolejne opisy zwyczajnie niewłaściwych i chamskich zachowań byłego redaktora naczelnego „Newsweeka". Głośno było m.in. o niewłaściwych SMS-ach wysyłanych przez Lisa do jednej z podwładnych. I wciąż nie wiadomo, czy to wszystko, co wiemy o tej sprawie.

Lis od miesięcy przybiera się w piórka ofiary, Żakowski nie widzi problemu i uważa, że osoba, która znęcała się psychicznie nad współpracownikami (często kobietami), może wciąż komentować rzeczywistość z perspektywy autorytetu.

Tomaszowi Lisowi życzę zdrowia, ale nie powrotu do mediów. Tam już nie powinno być dla niego miejsca.

Dorota Łosiewicz

Policzek dla Waszyngtonu

Arabia Saudyjska

Presja wywierana przez Biały Dom na Arabii Saudyjskiej i innych producentach ropy naftowej zrzeszonych w OPEC zakończyła się niepowodzeniem. Kartel nie tylko nie zwiększył wydobycia ropy naftowej, ale też podjął decyzję, która wywołała furię w Waszyngtonie, o jego zmniejszeniu o 2 mln baryłek na dobę. Przed uzupełniającymi wyborami do Kongresu jest to dla demokratów bardzo zła wiadomość, trudno bowiem oczekiwać, że na amerykańskim rynku spadną ceny paliwa, a to one w największym stopniu wpływają na nastroje elektoratu i w efekcie na wyniki wyborów.

Dziennikarze CNN ujawnili dokument Departamentu Energii, w którym decyzję podjętą przez OPEC określa się mianem klęski, a nawet aktu wrogości. Amerykańscy komentatorzy mówią o policzku, który Waszyngtonowi wymierzyła Arabia Saudyjska. Upokorzenie jest tym większe, że trzy miesiące temu Joe Biden pojechał do Rijadu, gdzie spotkał się z Mohammedem bin Salmanem, następcą saudyjskiego tronu, by przekonać go do zwiększenia wydobycia.

Wzrost podaży ropy naftowej na światowych rynkach miał służyć kilku celom naraz. Chodziło zarówno o zmniejszenie presji inflacyjnej w państwach Zachodu i zaradzenie kryzysowi energetycznemu, jak i o wywarcie nacisku na Moskwę, by zmniejszyć skłonność Putina do kontynuowania wojny. Rozczarowanie w Waszyngtonie w związku z decyzją OPEC jest tak duże, że John Kirby, rzecznik Białego Domu zapowiedział rewizję dotychczasowej polityki Stanów Zjednoczonych wobec Arabii Saudyjskiej, która do tej pory była traktowana w kategoriach państwa sojuszniczego, a demokratyczni senatorowie zagrozili zamrożeniem pomocy wojskowej dla Rijadu. Tom Malinowski, demokratyczny kongresmen z New Jersey, złożył już nawet projekt rezolucji, w którym wzywa do wycofania amerykańskich wojsk z królestwa Saudów. A przewodniczący senackiej komisji spraw zagranicznych Robert Menendez powiedział mediom, że Arabia Saudyjska za pośrednictwem OPEC faktycznie wspiera wojnę Putina, podczas gdy „nie ma miejsca na grę po obu stronach konfliktu".

Zdaniem komentatorów podjęta przez Arabię Saudyjską decyzja może w konsekwencji doprowadzić nie tylko do redukcji amerykańskiej obecności w tej części świata, ale nawet oznaczać odwrócenie tradycyjnych sojuszy. Jest przy tym świadectwem nowego układu sił w regionie, wynikającego z faktu, że Arabia Saudyjska coraz więcej ropy naftowej eksportuje do Chin, co przyczynia się do wzrostu wpływów Pekinu.

Marek Budzisz

Fot. rocharibeiro/Shutterstock.com

Szwecja

Erdoğan rozgrywa NATO

Żeby Szwecja i Finlandia mogły przystąpić do NATO, konieczna jest ratyfikacja ich wniosków przez wszystkie państwa sojusznicze. Nie zrobiły tego dotąd parlamenty Węgier i Turcji. Szczególnie ostrą grę w tej sprawie prowadzi prezydent Recep Erdoğan. Proces ratyfikacji utknął w martwym punkcie. Rozwiązanie tego problemu to kluczowe zadanie dla nowego prawicowego rządu Szwecji, który wciąż jest w fazie formowania.

Turcja postanowiła wykorzystać wojnę na Ukrainie do wzmocnienia swojej pozycji. Ankara domaga się więc od Szwecji usunięcia działających tam organizacji prokurdyjskich i antytureckich oraz zniesienia embarga na dostawy uzbrojenia i sprzętu wojskowego do Turcji. Postulat dotyczący eksportu broni został już przez Szwecję spełniony. Gorzej jest z Kurdami.

W Szwecji istnieje liczna kurdyjska diaspora pochodząca głównie z Turcji. Chodzi oczywiście o działaczy Partii Pracujących Kurdystanu (PKK), a także ruchu Fethullaha Gülena, obwinianego o próbę przeprowadzenia nieudanego zamachu stanu w 2016 r. Ankara oskarża te środowiska o terroryzm i domaga się ekstradycji ich liderów. Z kolei dla Szwedów Turcja to państwo autorytarne, ograniczające wolność słowa i łamiące zasady praworządności.

Podjęto jednak pertraktacje, bo na szali leży akces do NATO i kwestia bezpieczeństwa w obliczu rosyjskiego zagrożenia. W ubiegłym tygodniu szyki negocjatorom pokrzyżował szwedzko-kurdyjski satyryk Kadir Meral, który na antenie szwedzkiej telewizji publicznej postanowił wyszydzić prezydenta Erdoğana. Zrobił to w chwili, gdy delegacja szwedzkiego ministerstwa sprawiedliwości prowadziła w Ankarze oficjalne rozmowy na temat ekstradycji. Sprawa zakończyła się wezwaniem na dywanik szwedzkiego ambasadora w Turcji.

Turcja zażądała też, by Szwecja przestała wspierać kurdyjskie organizacje zbrojne w Syrii. Spór na ten temat toczy się od roku, gdy rządzący Szwecją socjaldemokraci, potrzebując jednego głosu do powołania rządu Magdaleny Andersson, podpisali porozumienie z posłanką pochodzenia kurdyjskiego, w którym obiecali pomoc dla kurdyjskich ugrupowań działających w Syrii. Minister spraw zagranicznych Szwecji spotkała się wtedy z ich przedstawicielami, choć rząd zaprzeczał, jakoby państwo szwedzkie finansowało lub dozbrajało te ugrupowania. Turcja domaga się jednak całkowitego zerwania.

W przypadku Finlandii Erdoğan nie widzi żadnych przeszkód, by zgodzić się na jej członkostwo w NATO. Jednak Finlandia solidarnie wspiera Szwecję w sporze z Turcją. Dlatego proces akcesji obu państw do paktu może wydłużyć się nawet o rok.

Maciej Walaszczyk

Fot. Ververidis Vasilis/Shutterstock.com

eprasa.pl a7919b9646

Fot. LUDOVIC MARIN/AFP/East News

Zmiana sojuszy

Armenia

6 października podczas odbywającej się w Pradze inauguracji Europejskiej Wspólnoty Politycznej – nowej inicjatywy skupiającej państwa UE oraz 17 krajów spoza Unii – doszło do nieoczekiwanego spotkania premiera Armenii Nikola Pasziniana z prezydentem Azerbejdżanu Ilhamem Alijewem. Była to pierwsza rozmowa obu przywódców od wrześniowego ataku Azerbejdżanu na Armenię. Mediacji między stronami podjęli się prezydent Francji Emmanuel Macron i szef Rady Europejskiej Charles Michel.

Spotkanie zorganizowane pod auspicjami państw zachodnich mocno zirytowało Moskwę, która miała dotąd monopol na rozwiązywanie konfliktów na Zakaukaziu. „Do wybuchu putinowskiej wojny [na Ukrainie] nie sposób było sobie wyobrazić, że liderzy Armenii i Azerbejdżanu będą prowadzić czterostronne negocjacje pokojowe z Macronem i Michelem" – skomentował jeden z użytkowników rosyjskiego serwisu społecznościowego Telegram. „Rosyjska strefa wpływów zanika" – podsumował. A kremlowskiego politologa Siergieja Markowa mocno rozdrażniła wiadomość, że Armenia, która należy do kierowanej przez Rosję Organizacji Układu o Bezpieczeństwie Zbiorowym, zgodziła się na rozmieszczenie na granicy z Azerbejdżanem obserwatorów unijnych. „Lider państwa członkowskiego OUBZ zaprasza do siebie obserwatorów z Unii i NATO. Czy to nie jest zdrada? Oni wszyscy żądają, by rosyjscy żołnierze walczyli i umierali za nich na Kaukazie, a jeśli Rosja tego nie chce, to natychmiast ją zdradzają. Paszinian to główny zdrajca".

Z punktu widzenia Armenii i samego Pasziniana sytuacja wygląda inaczej. Tuż przed spotkaniem w Pradze na łamach pisma „The Armenian Times" ukazał się niepodpisany artykuł, którego autorem jest – jak się powszechnie sądzi – sam premier Armenii. Jeśli tak jest w rzeczywistości, to mamy do czynienia z reorientacją polityczną prorosyjskiej dotąd Armenii. Autor artykułu pisze wprost, że ostatnie konflikty zbrojne z Azerbejdżanem służą całkowitemu podporządkowaniu Armenii Moskwie. „Rosja chce od Armenii tego samego, czego chce od Ukrainy, a więc wejścia w skład wspólnego z Białorusią państwa związkowego lub Rosji. Tyle że na Ukrainie Rosja używa w tym celu własnych wojsk, a w Armenii wojsk azerskich".

Do niedawna Rosja – w myśl zasady „dziel i rządź" – utrzymywała napięcie na Zakaukaziu, pilnując, by żaden spór między Armenią i Azerbejdżanem, zwłaszcza ten dotyczący Górskiego Karabachu, nie został rozwiązany. Ostatnio jednak zmieniła politykę. Zdaniem cytowanej gazety decydujący okazał się wybuch wojny na Ukrainie i zaostrzenie relacji Moskwy z Zachodem. Rosja poświęciła armeńskie interesy na ołtarzu dobrych relacji z Turcją będącą sprzymierzeńcem Azerbejdżanu. Azerbejdżan – jeśli nie liczyć autonomii w Nachiczewanie – nie ma wspólnej granicy z Turcją, oddziela go bowiem od niej terytorium Armenii. Gazeta twierdzi, że Moskwa jest gotowa zabezpieczyć lądowe połączenie między Azerbejdżanem i Turcją wzdłuż południowych granic Armenii. Dlatego chce zmusić rząd w Erewanie do całkowitej uległości. W jaki sposób? Wystawiając Armenię na kolejne ataki zbrojne Azerbejdżanu.

Nic dziwnego, że Armenia zaczęła szukać ratunku na Zachodzie.

Konrad Kołodziejski

Toksyczny lek

Indie

W Gambii w ciągu zaledwie kilku tygodni zmarło co najmniej 66 dzieci, które zatruły się wyprodukowanym w Indiach syropem przeciwkaszlowym. Dochodzenie przeprowadzone przez Światową Organizację Zdrowia wykazało, że lek zawierał chorobotwórcze bakterie oraz niedopuszczalne ilości glikolu dietylenowego i etylenowego (dwóch substancji stosowanych w produkcji m.in. płynów hamulcowych lub płynów przeciw zamarzaniu), które potraktowano jako tańszy zamiennik dla wykorzystywanego w farmaceutyce glicerolu. Oba syntetyki mają działanie toksyczne, powodując ciężką niewydolność nerek.

Śledztwo w tej sprawie wszczął też rząd Indii, dla którego jest to poważny problem wizerunkowy. Jedna trzecia wszystkich leków na świecie jest bowiem produkowana w tym kraju. Co trzecia tabletka zażywana w USA i co czwarta w Wielkiej Brytanii pochodzi z Indii. Delhi zaspokaja też połowę światowego zapotrzebowania na szczepionki.

Gwałtowny rozwój sektora farmaceutycznego w Indiach jest związany z wprowadzeniem w latach 70. XX w. prawa patentowego umożliwiającego produkcję leków generycznych, czyli zamienników, zawierających tę samą substancję czynną, ale po znacznie niższej cenie. Dzięki temu medykamenty z Indii są niekiedy nawet o 99 proc. tańsze niż te wytwarzane w USA, przez co są dostępne dla najbiedniejszych krajów świata.

W ten sposób farmaceutyka stała się jednym z kół zamachowych indyjskiej gospodarki. O ile w 1970 r. działało w tej branży 2200 firm, o tyle w 1995 r. było ich już 24 tys. W 2021 r. wartość tamtejszego rynku farmaceutycznego wyceniono na 42 mld dol.

Okazuje się jednak, że niższa cena leków może oznaczać ich niższą jakość, o czym boleśnie przekonali się Gambijczycy. W ciągu ostatnich siedmiu lat co najmniej sześć leków wytworzonych przez Maiden Pharmaceuticals (producenta wspomnianego syropu) nie spełniało podstawowych standardów medycznych. Dla reputacji „globalnej apteki", którą są Indie, to poważny cios, grożący utratą rynków.

Grzegorz Górny

Fot. Oni Abimbola/Shutterstock.com

eprasa.pl a7919b9646

I ŚMIESZNO, I STRASZNO

Partia zagranicznych samorządowców

Jan Pietrzak

Do wyborów jeszcze kawał czasu, a tu kampania na całego. Popisują się kandydaci, robią mądre miny, wygłaszają płomienne spicze, obiecują kokosy i węgiel, a niektórzy łżą jak najęci. Ta ostatnia opcja jest znakiem rozpoznawczym samorządowców niemieckich (Uwaga! Nie chodzi o mniejszość narodową mieszkającą na Śląsku, którą pozdrawiam. Chodzi o polityków uzależnionych od obcych rządów). Kłamią, bo nie interesuje ich prawda „w tym kraju". To nie ich kraj, nie ich prawda. Ich obchodzą jedynie magistraty na prawie magdeburskim. Kilka zdołali opanować w poprzednich kadencjach i to im się finansowo sprawdziło.

Rzeczywiście była taka moda w średniowieczu, ale po paru stuleciach straciła na znaczeniu. Zwłaszcza dwie wszczęte przez sąsiadów, a wygrane przez Polskę wojny światowe uświadomiły Europie, że dużo lepiej działa praworządność polska, bez dołów śmierci i krematoriów. Robią nam z tego zarzut, z uporem maniaków czepiają się Polski jak pijany płotu. Ich führerek dawno ogłosił, że polskość to nienormalność. Istotnie, on jest normalny na sposób niemiecki albo rosyjski jako „ich człowiek w Warszawie". Pełen złości, agresywny i załgany, jest kwintesencją sąsiedzkich charakterów. Z zapałem zapowiada, kogo będzie wyrzucał, wsadzał i batożył, nie oglądając się na żadne prawa i obyczaje. Kiedy wpada w wiecowy amok, przypomina hitlerowskich mówców z początku lat 30. Nie ma żadnych zahamowań w poniżaniu, lżeniu upatrzonych wrogów.

Ostatnio zyskał potężne poparcie dyktatora Łukaszenki, który zachwyca się takim „silnym" politykiem. Pewnie poprze go w odpowiednim momencie, wpychając na graniczne ogrodzenie tłum pseudoimigrantów zwiezionych samolotami z Moskwy. Wpadną tu namieszać w naszych wyborach. Mają doświadczenie w wygrywaniu wyborów i referendów zawsze i wszędzie.

Komentowałem tego rodzaju wybory w czasach PRL tak: głosowali, jak chcieli, a wybrali, kogo trzeba. Z jakiegoś powodu bawiło to publiczność. Obecnie bardzo bawi publiczność płocha piosneczka: „Chlup, chlup, plusk, plusk, przechlapane ma już Tusk".

BRONISŁAW WILDSTEIN

W krzywym zwierciadle Urbana

Czy jest sens zajmować się Urbanem? Kanalii w życiu publicznym mamy sporo, a twórca „Nie" wbrew zachwytom, które słyszymy na jego temat, nie zostawił po sobie niczego znaczącego. Był wcieleniem filistra, choć swoją postawę wyrażał w sposób ekstremalny. Dlatego właśnie, o czym świadczą wspomniane hołdy, okazał się znaczącą postacią nie tylko PRL, ale i III RP i może być analizowany jako punkt dojścia dominującej mentalności liberalnej. Czy nie był zagorzałym rzecznikiem tej wolności, którą steoretyzował Isaiah Berlin w „Dwóch koncepcjach wolności"? Angielski autor dowodził, że jej prawdziwe ujęcie to wyłącznie „wolność od", także od porządku ideału i normy, które narzucane jednostce ograniczają ją i kreują niewolące człowieka systemy. To na tym liberalizmie strachu Urban zbudował swój światopogląd i wyciągnął z niego ostateczne wnioski. Jeśli fundamentem wszystkiego jest indywiduum, to liczy się wyłącznie jego osobnicza satysfakcja, która ma zmysłowy charakter. Wszystko inne to ograniczające człowieka ideologie bez różnicy, czy o religijnym, czy politycznym rodowodzie. Urban pojął liberalizm i wynikający z niego utylitaryzm dużo konsekwentniej niż wielu jego klasyków, np. John Stuart Mill.

Angielski filozof potrafił napisać: „Lepiej być niezadowolonym człowiekiem niż zadowoloną świnią; lepiej być niezadowolonym Sokratesem niż zadowolonym głupcem. A jeśli głupiec i świnia są innego zdania, to dlatego, że umieją patrzeć na sprawę wyłącznie ze swojego punktu widzenia. Drugiej stronie oba punkty są znane".

Urban prychnąłby mu w nos. Lepiej być niezadowolonym niż zadowolonym? Przecież to sprzeczność. Jeśli miarą ma być osobnicza satysfakcja, to liczy się jedynie wymierne, a więc doraźne zadowolenie. Cała reszta to religianckie czy ideologiczne majaki, które przeszkadzają w jego osiągnięciu. Wolność negatywna wydaje nas na łup popędów? Tym lepiej. Upodobnimy się w ten sposób do świni? Jeszcze lepiej! Człowiek to świnia, a im bardziej świnia, tym bardziej człowiek! Natura ludzka, ideał człowieczeństwa są narzucone jednostce, a więc ograniczają jej wolność. Trzeba się ich ze szczętem pozbyć, by czerpać przyjemności z życia.

Czy nie są to konsekwencje liberalizmu ufundowanego na wyobrażeniu wolnego indywiduum, które samo z siebie czerpie miary? Cała reszta to kulturowe atawizmy, przesądy z minionego czasu, które nie przystają do oświeconej emancypacji.

To głosił, rechocząc nam w twarz Urban. I to stanowi fundament myślowy ukształtowanej przez niego „polityki", która mentalnie zdominowała III RP. Całe zło komunizmu zostało wpisane w opozycję indywidualizm – kolektywizm. Solidarność była niebezpieczna, bo odwoływała się do wspólnotowej, czytaj: kolektywnej, tożsamości. Intensywnie przeżywana miała być znacznie groźniejsza niż późny PRL, który utracił zęby, a w jego ideologię nikt już nie wierzył. Zagrożeniem jest Kościół, jeśli odwołuje się do katolickiej nauki i religijnej eklezji. Rozliczenie zła komunizmu było niebezpieczne nie tylko dlatego, że pociągnęłoby do odpowiedzialności Urbana i jego kompanów, ale musiałoby odwoływać się do porządku etycznego, który stanowi zgubny fundamentalizm. Przecież każdy ma swoją prawdę. Czy nie były to idee dziennika najbliższego przyjaciela Urbana, Adama Michnika?

Urban był paskudny i swoje opinie głosił w całej ich brzydocie. Stanowiło to pewną przeszkodę, bo choćbyśmy oficjalnie zanegowali piękno, to realnie kiepsko znosimy szpetotę. Mimo wszystko nie potrafimy się obyć bez ładu poznawczo-aksjologicznego, toteż nie mamy ochoty się oglądać w lustrze ostentacyjnego nihilizmu. Ratunkiem pozostaje więc szyderstwo, czyli humor znieprawiony, który jest dziś prezentowany jako cecha wyższych umysłów. W epoce zagubionej dystynkcji nie odróżniamy prawdziwej, sokratycznej ironii, która pozwala obalić pozory, by odsłonić istotę rzeczy od jej nihilistycznej karykatury, która polega na taniej deformacji. „Szczęśliwy mąż, który nie szedł za radą niegodziwych [...], a w kole szyderców nie zasiadał". Głosi psalmista. „Chcemy do koła szyderców!" – słyszymy zewsząd.

Prawdziwy humor jest sztuką wyrafinowaną i zaprzeczeniem trywialnego przekręcania rzeczy, które jest nam obecnie przedstawiane jako humor. Grubiański rechot to antypody ironii i ma się do niej tak jak „Nie" do sokratejskich dialogów. Demonstrował to Urban. Wyrafinowanie to rzecz trudna i należy przedłożyć nad nie rechot świni – podkreślał to każdym swoim grepsem.

Co bardziej złożone umysły lewicy nie czują się z tym dobrze i usiłują uszminkować Urbana w maskę prowokacyjnego trickstera, szybko jednak wysuwa się spod niej język twórcy „Nie", który szydzi z tych wysiłków i odsłania prawdę dominującej dziś ideologii. Dlatego co rozumniejsi przedstawiciele salonu III RP przyznają się do Urbana półgębkiem, chociaż jest on i pozostanie ich prawdziwym patronem.

Fot. Andrzej Wiktor

Autopromocja

eprasa.pl a7919b9646

Walizka Wojciecha Reszczyńskiego

dziennikarza prasowego, radiowego, telewizyjnego

Zacznę od popularnej definicji żeglarstwa – żeglarstwo to nieustanne zmywanie naczyń. Na jachcie nie mam pralki, dlatego moje wielkie torby żeglarskie zawierają rzeczy brudne, gdy schodzę na ląd, i czyste, gdy wracam na łódkę. Nie mam też wanny, ale wszystko inne w zasadzie na łódce mam. Od wielu sezonów najczęściej żegluję na Śniardwach, które dla początkujących żeglarzy są akwenem dosyć niebezpiecznym z racji dosyć wysokiej fali, silniejszego wiatru i kamienistych mielizn. Żeby bezpiecznie pływać, trzeba dobrze poznać jezioro. Wspomniane wyżej okoliczności powodują, że na Śniardwach jest mniej łódek, a już jesienią żeglują tylko najwytrwalsi. Jeżeli chodzi o morskie akweny, to żeglowałem na dużych jachtach jak Zawisza czy Pogoria i mniejszych, czarterowanych. Tak poznałem Morze Śródziemne, Egejskie, Wyspy Liparyjskie, Korsykę, Sardynię, Sycylię, całe wybrzeże Włoch z przepięknym porcikiem w Portofino. W przyszłym roku wybieram się z kolegami do Chorwacji, gdzie jeszcze nie żeglowałem. W każdym razie nie wyobrażam sobie, żeby gdziekolwiek będąc nad wodą, nie wsiąść na jakąś balię z żaglem.

URZĄDZENIA NAWIGACYJNE

Wiatromierz pokazuje siłę i kierunek natarcia wiatru. Prędkościomierz wskazuje szybkość łódki, a echosonda – ile jest metrów do dna. Te zegary prawie przez rok nie działały, aż w końcu polutowałem styki i zaczęły pracować. Ciekawostką jest to, że te urządzenia są produkowane przez amerykańską firmę Raytheon, producenta rakiet Patriot. Mam nadzieję, że przy naszych rakietach lutownica nie będzie potrzebna.

ŚW. BRENDAN

Wizerunek patrona żeglarzy wisi na honorowym miejscu w mesie obok ikony z Chrystusem. A św. Brendan przypomina nam: „Żeglarzu, jeśli kochasz swoje życie, powyżej 6 stopni w skali Beauforta nie wypływaj".

KARAFKA

Orzechówka Anno Domini 2000. Zalecenie lekarza: „Stosować wewnętrznie, fasować wtedy, kiedy trzeba, po jednej jednostce". Nadal trwają dyskusje, jak wielka jest ta jedna jednostka.

eprasa.pl a7919b9646

APTECZKA

Agrafki, apap, aspiryna, altacet, bandaże, węgiel, wapno, gaza opatrunkowa, gencjana, nożyczki do zaciskania żył lub tętnic, sterylne igły, krople żołądkowe, pyralgina, rennie, skalpele, stoperan, tantum verde, woda utleniona, wata, spirytus salicylowy... a wszystko w muzealnym pojemniku do sterylizowana narzędzi we wrzątku.

SZABLA

Prezent od kolegi z racji noszenia przeze mnie czapki konfederatki. W Ameryce była wojna secesyjna, a u nas powstanie styczniowe.

LAMPA

Tradycyjna na naftę. Wykonana z miedzi i mosiądzu, na górze system wentylacyjny, na dole wysuwany knot.

LEKTURA

Książka Stefana Wysockiego ma tę przewagę nad innymi, że autor opisuje etykietę jachtową, na którą składają się obyczaje, prezencja załogi, wygląd jachtu, stosunki towarzyskie, reguły, jaką, gdzie i kiedy zawiesić flagę... Tam znajdują się też takie proste zasady jak ta, że nie można chodzić boso po pokładzie (bo można się skaleczyć, co eliminuje z załogi) czy siadać z nogami na burtach, co na jachcie śródlądowym jest nie do przyjęcia.

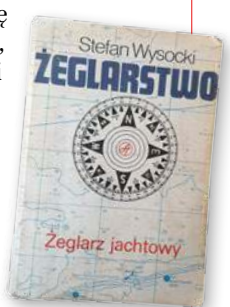

KONFEDERATKA

Czapka konfederatka jest moim ulubionym nakryciem głowy ze względu na wykończenie ze skóry irchowej zatrzymującej wiatr i grzejącej głowę, czyli to, co najsłabsze. Poza tym jest to ukłon w kierunku konfederatów walczących – tak jak armia północna – o wolność.

SZPRECHTUBA

Gdy zawodzą wszystkie środki łączności, różne trąby, sygnały dźwiękowe, rzucam się do swojej niezawodnej szprechtuby, dzięki której słyszy mnie nawet najgłuchszy żeglarz na Mazurach.

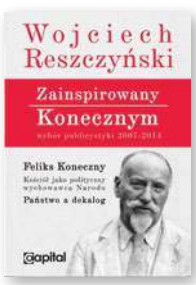

ZAINSPIROWANY KONECZNYM

Bardzo ją cenię, tym bardziej że rozwinięcie tej tematyki będzie w następnej mojej – prawie już gotowej – książce „Wokół Konecznego". To będzie hołd złożony naszemu najwybitniejszemu historiozofowi, którym był prof. Feliks Koneczny.

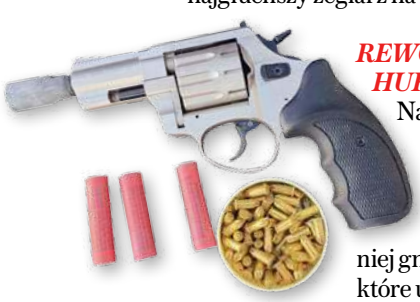

REWOLWER HUKOWY

Na wyposażeniu prawie każdego żeglarza w Wierzbie. Hukiem na wiosnę chronimy wyspę przed zakładaniem na niej gniazd przez kormorany, które uśmiercają drzewa swoimi toksycznymi odchodami. Chronimy w ten sposób wyspę, która zatrzymuje wiatr od Jeziora Mikołajskiego i Śniardw. Dzięki temu jest tam ciągle zacisznie.

FLAGA

Na moim maszcie dumnie powiewa historyczna flaga Rzeczypospolitej Trojga Narodów, unii, która istniała w latach 1658–1659. Łączyła Koronę Królestwa Polskiego, której symbolem jest Orzeł Biały, Wielkie Księstwo Litewskie symbolizowane przez Pogoń, a więc rycerza na białym koniu, i Archanioła Michała symbolizującego Ruś. Unia Polaków, Litwinów i Rusinów trwała bardzo krótko, a flaga pojawiła się ponownie podczas powstania styczniowego.

ZEGARY

Przechyłomierz pokazuje wychylenie jachtu na prawym lub lewym halsie. Higrometr wskazuje wilgotność na łódce. Barometr jest chyba najważniejszym urządzeniem na jachcie, ponieważ dzięki niemu wcale nie trzeba patrzeć w niebo, żeby wiedzieć, co nas czeka.

Wysłuchał i zapisał
Michał Korsun

Fot. Michał Korsun

eprasa.pl a7919b9640

OGNIEM NA WPROST

350 mln dol. w błoto

Wielu polityków opozycji często szermowało argumentem, że bycie w Unii Europejskiej jest gwarantem naszego bezpieczeństwa. Słowa te niczym mantrę wkładali do głów Polakom Tusk i jego akolici. Ponieważ najsilniejsi w UE są Niemcy, to oni nam pomogą. Te rojenia okazują się słynną trzecią prawdą ks. Tischnera. Właśnie na sąsiedniej Litwie, którą według umów NATO (nawet nie Unii) ma bronić kontyngent zza naszej zachodniej granicy, wybuchła afera. Podczas wizyty szefowej resortu obrony Niemiec Christine Lambrecht w bazie wojskowej w Rukłe podczas inauguracji komponentu dowodzenia niemieckiej brygady padły znamienne słowa. Pani minister raczyła stwierdzić, że niemieckie jednostki będą brały udział w regularnych ćwiczeniach, co już zaniepokoiło litewskiego ministra spraw zagranicznych, bo ich rolą jest stałe stacjonowanie na terenie państwa litewskiego. W dodatku polityk podkreśliła, że w przypadku zagrożenia żołnierze dotrą na Litwę w przeciągu 10 dni. Według szefa resortu spraw zagranicznych Litwy Gabrieliusa Landsbergisa umowa z rządem w Berlinie dotyczyła stałej obecności brygady na terenie kraju, a nie tylko podczas ćwiczeń. To raz. A dwa – w 10 dni to Ruski może wejść na Litwę jak nóż w masło i cała ta spóźniona pomoc będzie funta kłaków warta. Tak to jest z tą niemiecką pomocą. Wśród najlepszych przyjaciół psy zająca zjadły.

Po brutalnych atakach na ukraińskie miasta analitycy na Zachodzie zadają sobie pytanie, ile pocisków w miarę precyzyjnych, potrafiących razić na średnie i dalekie odległości pozostało Moskalowi. Temat ten poruszył specjalistyczny portal Defence24.pl. Pod koniec czerwca br. liczne źródła informowały, że Rosjanie wystrzelili łącznie ponad 2,5 tys. pocisków, a dane te uściślił 8 sierpnia Reuters, podając liczbę ponad 3650 pocisków. Zakładając, że od tamtego czasu Moskale wystrzeliliby dodatkowo jeszcze 5–10 proc. amunicji, oznaczałoby to, że pozostało by im maksymalnie 1,1–1,3 tys. pocisków manewrujących, nieco ponad 100 Iskanderów, nieznana ilość Toczek-U i ok. 1,2 tys. pocisków lotniczych innych typów, wystrzeliwanych przez mniejsze bombowce, tzw. frontowe (Su-34, Su-24). Teoretyczne to nadal duży potencjał. Ale tylko teoretycznie. Rosjanie prawdopodobnie nie są skłonni wystrzelić wszystkich zapasów uzbrojenia. Po pierwsze, ze względu na koszt – efekt, a po drugie, w magazynach musi pozostać zasób pocisków różnych typów na wypadek problemów z NATO czy chociażby Chinami i Japonią. Musi też pozostać zapas do przenoszenia taktycznych głowic atomowych. Czyli jednym słowem – zapas się poważnie skurczył. Ostatnia salwa ponad 80 pocisków wymierzona w ukraińską ludność cywilną kosztowała Kreml 400–700 mln dol., a połowa z tej liczby została strącona. Jednym słowem – 200–350 mln dol. trafiło w błoto. W ciągu doby uruchomiono ponownie zasilanie w prąd Charkowa i innych miast. Zginęli cywile. Zachód się wściekł i nawet Niemcy zapowiedzieli wysłanie więcej broni, nie wspominając o Amerykanach. Prowadź tę wojnę tak dalej, leningradzki bandyto z dołów społecznych, sprawujący funkcję cara, a na wiosnę nie będzie miała z czego strzelać twoja zafajdana armia.

Amost Krymski, za który mścił się Putin, mimo zapewnień kremlowskiej propagandy jest praktycznie nieprzejezdny dla transportów wojska i amunicji. Choć dla picu ocalałym torem przejechał pociąg i zestaw remontowy (wszystko dla kamer), to maszyniści ryzykowali życiem z powodu poważnej możliwości zawalenia się konstrukcji. Płonęły tam cysterny i powstała wysoka temperatura, która mogła roztopić bądź osłabić stalowe pręty w betonie. A to m.in. na nich opiera się konstrukcja budowli. Podobnie jak konstrukcja wież World Trade Center. Jeśli spojrzymy na dwie nitki mostu drogowego, to jedna pływa w Cieśninie Kerczeńskiej, a druga, choć się nie zawaliła, nie daje żadnej gwarancji na bezpieczny przejazd niczego poza lekkimi samochodami osobowymi i autobusami. Do tego idzie zima, a wraz z nią silne wiatry i sztormy. Nie wiadomo też, czy jedna z podpór nie wymaga wymiany. Ogólnie pół roku roboty, jak twierdzą fachowcy. Ukraińcy w kilka minut rozpirzyli dumę Putina „w drabiazgi", a moskiewscy spece od kłamliwej propagandy wygadali się. W zmasowanym ataku rakietowym wymierzonym w ludność cywilną Ukrainy chodziło o podniesienie sondażowych notowań gita-cara, któremu groziło, że jego poddani będą go mieli za mięczaka.

Andrzej Rafał Potocki

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl a7919b9646

Przenikanie

Marta Kaczyńska-Zielińska

Na kanwie ostatnich dekad ponurej współpracy Niemiec z Federacją Rosyjską, która dzięki splątaniu Europy śmiercionośnymi rurociągami miała prowadzić do nowej architektury Starego Kontynentu, często słychać odwołania do historycznych uwarunkowań wzajemnego zaufania Niemców i Rosjan, wielowiekowej tradycji wspierania się i swoistej fascynacji naszych zachodnich sąsiadów wschodnim imperium, które od wieków jest przede wszystkim znane ze swojej zbrodniczej natury. Mroczna i przerażająca postać Niemki carycy Katarzyny wdzięcznie nadaje się do ekranizacji czy też publikacji kolejnych, pełnych pikantnych szczegółów biografii.

O najtragiczniejszym dla dziejów świata przenikaniu ideologii, które zaowocowały największą skalą zbrodni, powszechnie wiadomo niewiele. W społecznej świadomości nie jest rozważane zagadnienie lewicowości faszyzmu i nazizmu. Dla współczesnych lewicowych działaczy kojarzenie hitlerowskich Niemiec z doktrynami stanowiącymi szkielet komunizmu może być co najmniej kłopotliwe. Wedle mainstreamu, faszyzm i nazizm należy kojarzyć z prawicowością – konserwatyzmem w skrajnej postaci, odrzucającym liberalizm, wolność i równość oraz koncepcję praw człowieka stawiane jako fundament dzisiejszego Zachodu.

W 1923 r. Nikołaj Bucharin, jeden z czołowych przywódców komunistycznych, wskazywał, że „charakterystyczne dla faszystów jest to, że w większym stopniu niż jakakolwiek inna partia przyswoili sobie i zastosowali w praktyce doświadczenia rewolucji rosyjskiej. Jeśli spojrzeć na nich z formalnego punktu widzenia, to znaczy z punktu widzenia ich metod politycznych, widać, że zastosowali w pełni taktykę bolszewicką, zwłaszcza taktykę rosyjskiego bolszewizmu, w sensie błyskawicznej koncentracji sił i energicznej akcji ściśle zhierarchizowanej organizacji wojskowej".

Napisany przez Antona Drexlera i Adolfa Hitlera program Niemieckiej Partii Robotniczej (DAP), poprzedniczki NSDAP, wzywał do rozprawy z uprzywilejowanymi, zapowiadał przejęcie przez państwo przynajmniej 51 proc. własności w przemyśle, opowiadał się także za częściową nacjonalizacją sektora bankowego i finansowego oraz powszechną edukacją i systemem emerytalnym. Naziści nazywali się nawzajem towarzyszami, posługiwali się czerwoną flagą, a robotników uznawali za filar społeczeństwa. Hitler przyznawał: „Wiele się od marksizmu nauczyłem, przyznaję to bez wahania. Nie chodzi oczywiście o nudną naukę społeczną i materialistyczne ujęcie historii [...]. Ale nauczyłem się ich metod [...]. Wystarczy, że przejąłem te metody i rozwinąłem je, i już miałem w zasadzie wszystko, czego mi było trzeba".

Joseph Goebbels mawiał, że z socjaldemokraty nie sposób zrobić dobrego narodowego socjalisty, ale z komunisty jak najbardziej. W 1931 r. Goebbels opisał ruch nazistowski następująco: „Zgodnie z ideą NSDAP to my jesteśmy niemiecką lewicą [...]. Niczego bardziej nie nienawidzimy niż prawicowego narodowego bloku bogatego mieszczaństwa".

Hitler doskonale znał poglądy Marksa i Engelsa, który pisał, że narody stojące na drodze rewolucji, stanowią „rasowe odpadki" i jako takie powinny zniknąć z powierzchni ziemi. Do narodów takich Marks i Engels zaliczyli m.in. Żydów i Słowian. W artykule „W kwestii żydowskiej" Karol Marks wyraził przekonanie, że Żydzi stanowili najbardziej zaciekły element kontrrewolucyjny jako zagorzali zwolennicy kapitalizmu, pieniądza i własności prywatnej. Nazizm podobnie jak komunizm był systemem rewolucyjnym obalającym tradycyjne aksjomaty, takie jak tradycja, religia, i wprowadzającym nową moralność, nowego człowieka, niepostrzeganego już indywidualnie, podmiotowo, jak to się dzieje w chrześcijaństwie, ale jedynie jako element machiny totalitarnego państwa. W wydanej w 1926 r. książce zatytułowanej „Druga rewolucja" Goebbels pisał: „Dobry nazista spogląda ku Rosji, ponieważ Rosja jest krajem, który z największym prawdopodobieństwem podejmie wspólnie z nami drogę do socjalizmu. Bo Rosja jest sojusznikiem danym nam przez naturę przeciw szatańskim zakusom i zepsuciu Zachodu".

REKLAMA

49/0922/F

eprasa.pl a7919b9646

Wina Putina. Kto i dlaczego odwraca od niej uwagę?

Samuel Pereira

W systemach demokratycznych główną rolą mediów jest przekazywanie informacji. Niestety, w Polsce niektóre prywatne media uważają, że owszem, należy opinii publicznej prezentować fakty, ale tylko pod warunkiem że są one korzystne dla Donalda Tuska. Ileż to hektolitrów hejtu wylało się na media publiczne i prawicowe tylko za to, że mają czelność podawać fakty z okresu rządów polityka, który pretenduje do powrotu do władzy.

Ostatnio red. Jarosława Olechowskiego postanowił w tej sprawie obszczekać Janusz Schwertner. Stanął dzielnie w obronie dobrego imienia przewodniczącego Platformy Obywatelskiej i napisał: „Pan z TVP oskarża Donalda Tuska, że jest współwinny mordowania Ukraińców przez Putina. Ten obłęd musi się zakończyć". Co tak zdenerwowało pracownika Onetu? Słowa Olechowskiego, że „bandyta Putin przegrywa wojnę, którą sam wywołał" i to, co się dzieje, to „także wina polityków pokroju Merkel czy Tuska, którzy przez lata wmawiali nam, że konieczna jest bliska współpraca z Rosją taką, jaka ona jest". Okazuje się, że (według pracowników Onetu) obserwując skutki, nie można mówić o przyczynach.

Podobnie rzecz się ma, gdy mowa o problemie wysokich cen energii i inflacji. Politycy opozycji i sprzyjające im media w tym kontekście chętnie atakują polski rząd, zasłaniając tym samym głównego winowajcę, czyli Rosję. Im gorzej na Ukraińcach i całej Europie odbija się polityka Władimira Putina, tym mocniej opozycja uderza w jego największego wroga w UE, czyli polski rząd. Jak bardzo musi to cieszyć panów na Kremlu, skoro właśnie taki był cel energetycznej wojny, którą wypowiedzieli nam i innym europejskim krajom. Rosji właśnie o to chodzi, żeby obniżyć morale obywateli naszego kontynentu, którzy w konsekwencji mają naciskać na swoje rządy, żeby wycofały się ze wspierania Ukrainy, a wtedy Rosja spokojnie, kawałek po kawałku, będzie mogła ją sobie konsumować. Sytuacja jest groźna, dlatego tym bardziej musimy mieć świadomość, że kto wzbudza panikę w Polsce i dzieli Polaków w tak newralgicznym momencie – gra w rosyjskiej orkiestrze, czy tego chce, czy nie.

Autor jest szefem portalu tvp.info

Częściej wybieram szpilki

Z aktorką Joanną Opozdą rozmawia Jolanta Gajda-Zadworna

Fot. Materiały promocyjne dystybutora

Podobno do tytułowej roli w filmie „Brigitte Bardot cudowna" wybrała panią sama BB?

Joanna Opozda: To historia, którą opowiada reżyser filmu, Lech Majewski. Taki był wymóg gwiazdy – chciała mieć decydujący głos. Dla mnie to zaszczyt, że zostałam wybrana spośród tylu kandydatek, nie tylko z Polski. Dodatkowym warunkiem było to, że kwestie wypowiadane przez bohaterkę – pochodzące z pamiętników, wywiadów i książki BB – są mówione po francusku. Uczyłam się ich fonetycznie, oczywiście wiedząc, co znaczą.

Czy coś szczególnego łączy panią z bohaterką?

Kiedy, przygotowując się do roli, starałam się dowiedzieć o niej jak najwięcej, okazało się, że łączy nas całkiem sporo. Np. kochamy zwierzęta. Nie zgadzam się na współpracę z firmami, które testują kosmetyki na zwierzętach. Obie mamy też na koncie trochę nieudanych związków. I miałyśmy podobne początki w aktorstwie. Kiedy czytałam pierwsze wywiady z BB, miałam czasami wrażenie, jakbym słyszała siebie.

A czuje się pani symbolem seksu?

Nie. Chociaż wydaje mi się, że będąc bardzo młodą osobą, BB też tak siebie nie postrzegała. W pierwszych filmach widać, że była nieśmiała. Została wrzucona na głęboką wodę. Jej pewność siebie przyszła z czasem.

Czy jest jakiś element garderoby BB, który chętnie by pani przejęła?

Uwielbiam jej styl: taliowane spodnie z wysokim stanem, odsłonięte ramiona, tapir, mocno podkreślone oko, bardotka... Wszystko to jest bardzo sexy. Nawet balerinki. Chociaż częściej wybieram szpilki.

eprasa.pl a7919b9646

Rysują ***Mr Donk & dr Fish***

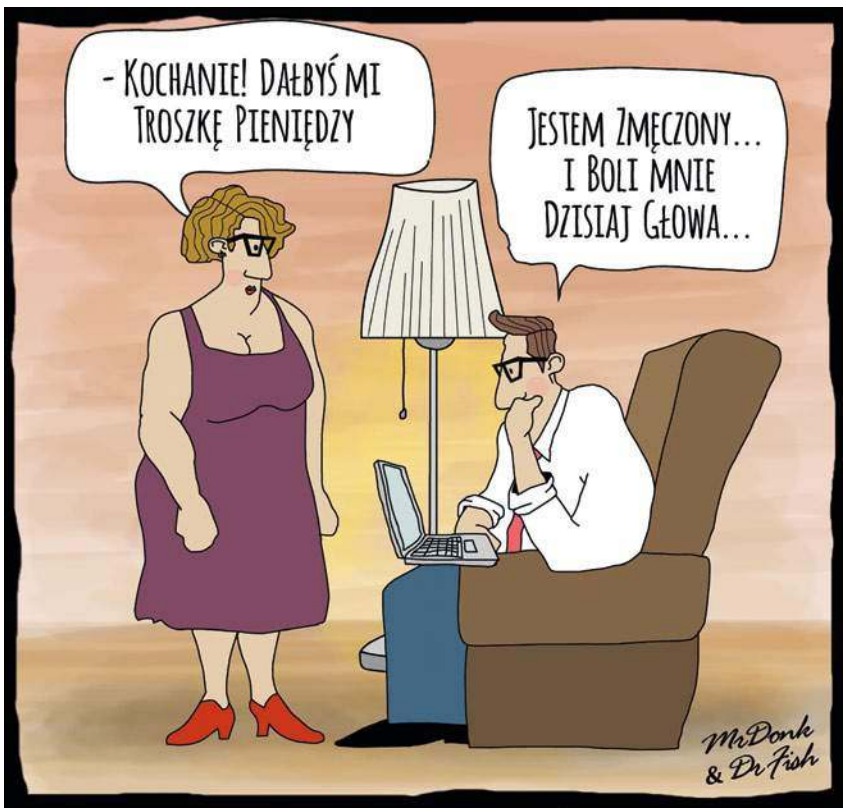

SIECI

ISSN 2544-2694

www.wSIECIprawdy.pl

REDAKTOR NACZELNY: JACEK KARNOWSKI

ZASTĘPCY REDAKTORA NACZELNEGO: DOROTA ŁOSIEWICZ, TOMASZ OZDOWY, MAREK PYZA, MARCIN WIKŁO

E-MAIL: REDAKCJA@FRATRIA.PL; TEL. (22) 616 36 00, (22) 255 93 32; UL. FINLANDZKA 10, 03-903 WARSZAWA

AUTORZY: ŁUKASZ ADAMSKI, GORAN ANDRIJANIĆ, PRZEMYSŁAW BARSZCZ, MAREK BUDZISZ, ADAM CIESIELSKI, PIOTR CYWIŃSKI, LESZEK DŁUGOSZ, KRZYSZTOF FEUSETTE, JOLANTA GAJDA-ZADWORNA, GRZEGORZ GÓRNY, JERZY JACHOWICZ, STANISŁAW JANECKI, MARTA KACZYŃSKA-ZIELIŃSKA, MICHAŁ KARNOWSKI, KONRAD KOŁODZIEJSKI, CEZARY KOWALSKI, ANDRZEJ KRAUZE, JAROMIR KWIATKOWSKI, JAKUB MACIEJEWSKI, RYSZARD MAKOWSKI, MAJA NARBUTT, MARZENA NYKIEL, SAMUEL PEREIRA, JAN PIETRZAK, JAN POSPIESZALSKI, ANDRZEJ RAFAŁ POTOCKI, WOJCIECH RESZCZYŃSKI, JAN ROKITA, ALEKSANDRA RYBIŃSKA, WOJCIECH STANISŁAWSKI, WIKTOR ŚWIETLIK, ROBERT TEKIELI, MACIEJ WALASZCZYK, BRONISŁAW WILDSTEIN, PIOTR ZAREMBA, DOMINIK ZDORT, ANDRZEJ ZYBERTOWICZ

WYDAWCA: FRATRIA SP. Z O.O.
PREZES: ROMUALD ORZEŁ
UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA
REDAKCJA@FRATRIA.PL, WWW.FRATRIA.PL

FRATRIA grupa mediaina

DYREKTOR WYDAWNICZY: MACIEJ WOŚKO

PRODUKCJA I DYSTRYBUCJA: MARIOLA BARCIKOWSKA, MARIOLA.BARCIKOWSKA@FRATRIA.PL

DYREKTOR ARTYSTYCZNY: MICHAŁ KORSUN, MICHAL.KORSUN@FRATRIA.PL

STUDIO GRAFICZNE: ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI (KIEROWNIK), ANDRZEJ.SKWARCZYNSKI@FRATRIA.PL, LIDIA SŁOWIKOWSKA-SMOLIŃSKA, KATARZYNA LASKOWSKA
PROJEKT GRAFICZNY: MICHAŁ KORSUN
FOTOEDYCJA: ANNA ŁABĘCKA, ANIA.LABECKA@FRATRIA.PL,
OBRÓBKA ZDJĘĆ: TOMASZ KIERAS

PRENUMERATA WYDANIA PAPIEROWEGO:
TEL. (22) 616 36 00 (GODZ. 9.00 – 17.00), (22) 255 93 32
PRENUMERATA@FRATRIA.PL
REGULAMIN ORAZ WARUNKI PRENUMERATY NA STRONIE WWW.WSIECIPRAWDY.PL

WPŁAT ZA PRENUMERATĘ PROSIMY DOKONYWAĆ NA KONTO:
91 1240 5354 1111 0010 7713 6290
FRATRIA SP. Z O.O., UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA,
W TYTULE WPŁATY WPISUJĄC PEŁNE DANE ADRESOWE DO WYSYŁKI ORAZ RODZAJ PRENUMERATY

PRENUMERATA REALIZOWANA PRZEZ RUCH S.A.:
ZAMÓWIENIA NA PRENUMERATĘ W WERSJI PAPIEROWEJ I NA E-WYDANIA MOŻNA SKŁADAĆ BEZPOŚREDNIO NA STRONIE WWW.PRENUMERATA.RUCH.COM.PL.

EWENTUALNE PYTANIA PROSIMY KIEROWAĆ NA ADRES E-MAIL: PRENUMERATA@RUCH.COM.PL LUB KONTAKTUJĄC SIĘ Z CENTRUM OBSŁUGI KLIENTA „RUCH" POD NUMERAMI: 22 693 70 00 LUB 801 800 803 – CZYNNE W DNI ROBOCZE W GODZINACH 7^{00} – 17^{00}.
KOSZT POŁĄCZENIA WG TARYFY OPERATORA.

DRUK: WALSTEAD KRAKÓW SP. Z O.O.

DYREKTOR DS. ROZWOJU BIZNESU:
KATARZYNA MARCHEWKA – KATARZYNA.MARCHEWKA@FRATRIA.PL

BIURO REKLAMY:
REKLAMA@FRATRIA.PL, TEL. (22) 463 49 93
PAULINA KĄKOL – PAULINA.KAKOL@FRATRIA.PL
MARCIN DĄBROWSKI – MARCIN.DABROWSKI@FRATRIA.PL

KOLPORTAŻ: KOLPORTAZ@FRATRIA.PL

REDAKCJA ZASTRZEGA SOBIE PRAWO DO REDAGOWANIA I SKRACANIA TEKSTÓW. COPYRIGHT © FRATRIA SP. Z O.O. WSZYSTKIE PRAWA ZASTRZEŻONE (WŁĄCZNIE Z TŁUMACZENIEM NA JĘZYKI OBCE). REDAKCJA NIE ZWRACA MATERIAŁÓW NIEZAMÓWIONYCH. OGŁOSZENIA I REKLAMY NIE STANOWIĄ MATERIAŁU POCHODZĄCEGO OD WYDAWCY. BEZUMOWNA SPRZEDAŻ NUMERÓW BIEŻĄCYCH I ARCHIWALNYCH PO CENIE NIŻSZEJ OD USTALONEJ PRZEZ WYDAWCĘ JEST ZABRONIONA, NIELEGALNA I GROZI ODPOWIEDZIALNOŚCIĄ KARNĄ.

FOT. NA OKŁADCE: J.DOMINSKI/REPORTER, A.WIKTOR 3X, V.TOLOCHKO/EASTNEWS, L.SHCHEGLOV, A.NEMENOV / AFP/ EASTNEWS, BEMBO20, ATK WORK, ALPHASPIRIT.IT, PHICHAI/ SHUTTERSTOCK 5X, MONWOT

pracownia **Social Changes** dla wPolityce.pl

nasz sondaż

Na które ugrupowanie polityczne oddałaby Pani/ oddałby Pan głos, gdyby wybory do polskiego parlamentu odbywały się w najbliższą niedzielę? (bez niezdecydowanych)

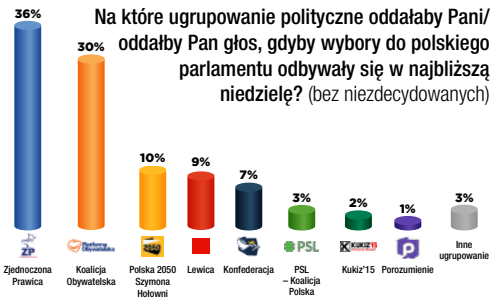

Czy wzięłaby Pani/wzięłaby Pan udział w wyborach do polskiego parlamentu, gdyby odbywały się one w najbliższą niedzielę?

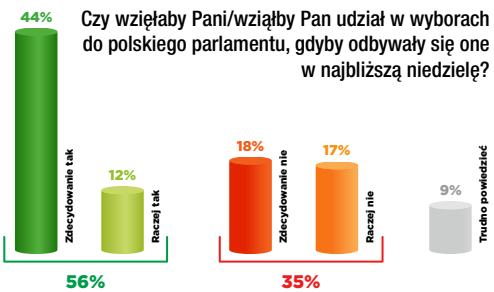

Czy samorządy lokalne powinny się włączyć we wsparcie zaopatrzenia mieszkańców w węgiel?

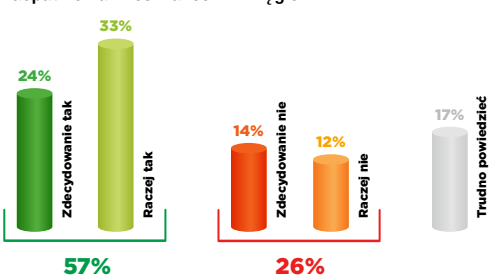

Czy wprowadzenie podatku od zwiększonych zysków dużych firm jest słuszne?

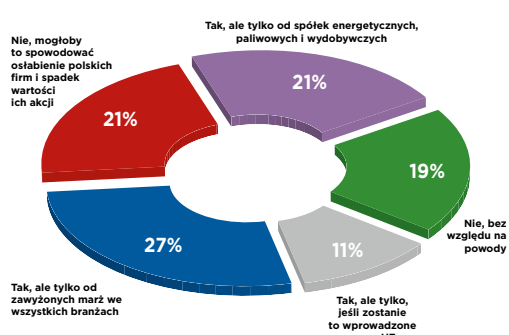

Badania zrealizowane metodą CAWI (Computer Assisted Web Interview) na panelu internetowym. Badania przeprowadzone na ogólnopolskiej, reprezentatywnej (pod względem: płci, wieku, wielkości miejsca zamieszkania) próbie Polaków. W badaniu wzięło udział N=1077.

Zakres czasowy badania 7–10 października 2022 r.

eprasa.pl a7919b9646

Fala ruszyła

Czy na granicy z Białorusią czeka nas powtórka scenariusza z zeszłego roku? Wszystko wskazuje, że Putin z Łukaszenką zaczęli kolejną operację przerzucania do Polski nielegalnych migrantów. A opozycja wraz z tzw. aktywistami tylko czeka, by znów się tam zakotłowało

MAREK PYZA MARCIN WIKŁO

Od nieco ponad tygodnia na granicy z Białorusią jest wyraźny ruch. A tuż przed zimą będziemy mogli mówić o kolejnej wielkiej wędrówce nielegalnych imigrantów – mówią nam strażnicy graniczni.

Ubiegłoroczny napór na polską granicę, dziś widać to wyraźnie, był pierwszym akordem rosyjskiej napaści na Ukrainę. Nie można nie wiązać z sobą tych zdarzeń. Dzikie obozowisko w Usnarzu, fizyczne starcia z polskimi funkcjonariuszami, nocne szturmy z wykorzystaniem ostrych narzędzi, a czasem także broni, to miał być test odporności państwa polskiego. Specjaliści, z którymi rozmawiamy, nie mają wątpliwości – to nie koniec, Łukaszenka ponownie spróbuje zdestabilizować sytuację w Polsce.

REŻIMY WYDAJĄ WIZY

– To nie będzie ta skala, co w ub.r., bo mamy już fizyczną zaporę, ale przed zimą i przed zamontowaniem urządzeń perymetrycznych na barierze strona białoruska będzie starała się wypchnąć do nas jak najwięcej nielegalnych imigrantów – mówi tygodnikowi „Sieci" gen. Tomasz Praga, komendant główny Straży Granicznej. – Już dziś widać, że aktywny jest kierunek moskiewski. Osoby, które próbują nielegalnie dostać się do Polski, mają stemple rosyjskie w dokumentach – dodaje dowódca SG.

Najbardziej niepokojące wydają się informacje płynące od służb, że Rosjanie i Białorusini wydają obywatelom państw Bliskiego Wschodu coraz więcej wiz, w tym studenckich. Są też odtwarzane zawieszone jakiś czas temu połączenia lotnicze z egzotycznych krajów do Moskwy czy Mińska, tutaj przykładem jest Dubaj. Gdy dodamy do tego ustalenie, że coraz częściej kursują też pociągi z Rosji na Białoruś, to w zasadzie cały ten nielegalny szlak migracyjny układa nam się w całość.

– Obserwujemy trend rosnącej liczby prób nielegalnego przekraczania granicy każdego dnia – mówi nam minister Stanisław Żaryn, pełnomocnik rządu ds. bezpieczeństwa przestrzeni informacyjnej RP.

W tej chwili w pobliżu granicy z Polską ma przebywać ok. 1–1,5 tys. ludzi. Przybywają np. z Iraku, gdzie sytuacja wciąż nie jest stabilna. Co ciekawe, ale także niepokojące, są wśród nich osoby, które próbują ponownie przedrzeć się na Zachód. W ub.r. im się nie udało, musiały wrócić do domu. I choć kosztuje ich to fortunę, to nie ustają. Przez Rosję trafiają na Białoruś, gdzie są już pogrupowani, a „opiekunowie" mają nad nimi pełną kontrolę. Będą służyć do systematycznego atakowania granicy. Zazwyczaj są wysyłani w miejsca, w których nie ma fizycznej zapory – np. na rzece Świsłocz.

Warto w tym miejscu spojrzeć w statystyki Straży Granicznej dotyczące prób nielegalnego przekroczenia polskiej granicy wschodniej w 2022 r. Przez pierwsze zaledwie 11 dni października było ich aż 916. Wrzesień zamknął się bilansem 1350 prób, najmniej było w lutym – tylko 501. Dziennie jest teraz odnotowywanych ok. 100 prób wtargnięcia na teren Polski. Czasem kończą się one na podejściu do masywnego płotu, czasem imigranci próbują go pokonać jak słynny już „nietoperz z Podlasia".

BURZA WOKÓŁ „NIETOPERZA"

Mężczyzna został znaleziony 6 października w okolicach Białowieży, gdy zwisał głową w dół zaplątany w drut kolczasty na górze bariery. W mediach społecznościowych pojawił się film, na którym widać, jak podchodzą do niego żołnierze patrolujący strefę nadgraniczną. „Wait!" (Zaczekaj!) – słychać, jak namawiają go, by nie próbował samodzielnie się oswobodzić, bo upadek z kilku metrów może skończyć się poważnymi obrażeniami. Zanim jednak zdążą interweniować, mężczyzna spada. Mundurowi podchodzą i komentują: „Zajebisty jest". Tu nagranie się urywa.

– Lepiej by było, by takie zdjęcia nie krążyły, a żołnierze zachowywali się troszkę inaczej. Propagandowo wygląda to źle, ale merytorycznie nie ma się do czego przyczepić. Człowiek próbował nielegalnie przejść przez zaporę graniczną i tam zawisł. Mieli mu kolację podać? – słyszymy od funkcjonariusza SG.

W internecie ktoś podpisał zdjęcie z tego wydarzenia „Nietoperz z Podlasia". I wtedy się zaczęło. Dla wielu komentujących większym problemem było zachowanie żołnierzy niż fakt, że reżim Łukaszenki posuwa się do posyłania ekonomicznych migrantów nawet na druty kolczaste, a ci bezceremonialnie próbują forsować instalacje chroniące polską granicę.

Najbardziej obrywa się posłowi Pawłowi Lisieckiemu. Za okraszony fotografią wiszącego na płocie wpis na Twitterze: „To zdjęcie powinno pojawić się w serwisach internetowych na Bliskim Wschodzie z informacją, że tak się kończą wycieczki organizowane przez Aleksandra Łukaszenkę". Parlamentarzysta ma rację, a jego post nie zawiera ani krztyny pogardy wobec migranta. Jednak to Lisieckiemu rzucono się do gardła.

Anna Maria Żukowska z Lewicy nagle przypomniała sobie o istnieniu Jezusa Chrystusa, a Zuzanna Dąbrowska z „Rzeczpospolitej" oskarża posła o „wspieranie naziolskich ekscesów".

Pojawiają się tyleż haniebne, co głupie porównania do zdjęć z warszawskiego getta i Żydów próbujących przedostać się przez mur.

Emocje sięgają zenitu, po dwóch dniach ktoś niszczy drzwi i okna w biurze poselskim Pawła Lisieckiego.

„Aktywiści" wspierający przemyt ludzi są w histerii. Ogłaszają, że w Polsce znalazł się wujek człowieka z filmu, który swojego krewnego poszukuje od kilku miesięcy. Podobieństwo do jego bliskiego ograniczało się do... kurtki. Ale najważniejsze, że mężczyzna z płotu jest Egipcjaninem. A „wujek" – Irakijczykiem. Jak dowiadujemy się w Straży Granicznej, mężczyzna nie chciał rozmawiać z jej funkcjonariuszami, wolał opierać się na działalności blogerów.

SG upewniła się, że zdrowiu „nietoperza" nic nie zagraża, odebrała od niego dane oraz oświadczenie, że nie potrzebuje ochrony międzynarodowej w Polsce i nie chce zostać w naszym kraju, lecz wybiera się do Niemiec. Wobec tego zostało wydane postano-

Fot. LEONID SHCHEGLOV/AFP/East News

eprasa.pl a7919b9646

wienie o zakazie przebywania w strefie Schengen i zgodnie z nim Egipcjanin został zawrócony do linii granicy.

Trzeba pamiętać, że za naszą zachodnią granicą wcale nie widać otwartych ramion dla nielegalnych migrantów. Od początku roku Niemcy przekazali do Polski już 200 cudzoziemców, z czego 60 trafiło tam przez Polskę z Białorusi. Widać więc, że jeżeli polskie służby puściłyby falę organizowaną na Białorusi, spora jej część mogłaby ostatecznie stać się naszym problemem, nawet jeśli przybysze nie byliby zainteresowani pozostaniem w Polsce.

KONWÓJ MŁODYCH

Ciekawe informacje przynosi na swoim twitterowym koncie Klara Sołtan, była pracownica polskich placówek na Bliskim Wschodzie, doskonale orientująca się w szlakach przemytniczych, bacznie śledząca ruchy migracyjne z tego regionu. Pisze często, dokumentując swoje doniesienia informacjami zamieszczanymi przez ludzi organizujących proceder. Jej działalność z jednej strony alarmuje decydentów na Zachodzie, by dostrzegali skalę problemu, który do nas się zbliża. Z drugiej – jest otrzeźwiająca dla wszystkich zbytnio pochylających się nad rzekomymi prześladowaniami migrantów.

Wkleja dowody na to, że największy ubaw z kolegi, który zawisł na płocie, mają jego pobratymcy. Regularnie publikuje też wiadomości znajdowane na arabskich forach, m.in. takie: „Mr Q. informuje o dzisiejszym wyjeździe z Moskwy na granicę BY-PL. Podróż (ta do granicy) ma być według niego uzgodniona z »armią rosyjską i białoruską«". Pisze o determinacji przybyszów, drobiazgowym przygotowaniu według instrukcji zamieszczanych w sieci i charakterystyce migrantów. Jej doniesienia o tym, kto korzysta z „konwoju światła" (to popularne w arabskim internecie określenie na masowy ruch migracyjny z Bliskiego Wschodu do Europy) potwierdzają nasi rozmówcy.

– Całe rodziny już się właściwie nie pojawiają, samotne kobiety bardzo rzadko. To w zasadzie pojedyncze przypadki jak ten sprzed kilku dni, gdy na Podlasiu znaleźliśmy kobietę w ciąży. Zaopiekowaliśmy się nią, została w Polsce – opowiada gen. Praga.

Inny przypadek. Kilka dni później funkcjonariusze SG znaleźli w lesie wycieńczoną 27-letnią Syryjkę, która przyleciała do Moskwy, a do Mińska przywieziono ją samochodem. Relacja polskich funkcjonariuszy jest szokująca: „Cudzoziemkę samą w lesie pozostawili aktywiści, z którymi skontaktowali się przemytnicy [...], granicę przekroczyła w grupie osób, którą prowadziło dwóch przewodników – to oni zadzwonili po aktywistów. [...] Po raz kolejny potwierdziło się, że aktywiści są w kontakcie nie tylko z cudzoziemcami po stronie Białorusi, ale również z organizatorami nielegalnego przekraczania granicy".

> Najbardziej niepokojące wydają się informacje płynące od służb, że Rosjanie i Białorusini wydają obywatelom państw Bliskiego Wschodu coraz więcej wiz, w tym studenckich. Odtwarzane są też zawieszone jakiś czas temu połączenia lotnicze z egzotycznych krajów do Moskwy czy Mińska

Tzw. przejścia grupowe ostatnio zdarzały się rzadko. Dlatego ze zdziwieniem odnotowano po stronie białoruskiej obecność 34 mężczyzn, których dowieziono z głębi kraju ciężarówką. Szli brzegiem jednego z granicznych jezior. Gdy zobaczyli polskich funkcjonariuszy, wrócili do lasu. Najczęściej próbę wtargnięcia do Polski podejmują młodzi mężczyźni w wieku 25–35 lat.

– Od ub.r. zmieniło się wiele, ale jedna rzecz zasadniczo, nie ma dziś fizycznych, brutalnych ataków kamieniami czy gałęziami, z czym funkcjonariusze rok temu musieli mierzyć się w zasadzie każdego dnia i każdej nocy. Zapora to uniemożliwia, jednak Białorusini wciąż biorą czynny udział w dostarczaniu nielegalnych migrantów na teren nadgraniczny i w kierowaniu ich na poszczególne odcinki. Musimy zachować czujność, bo profil ataków na naszą granicę może zmienić się w każdej chwili – dodaje komendant główny SG.

NOWE WYZWANIA

Podobnie jak zmieniać się mogą kierunki obierane przez wschodnich dyktatorów. Coraz poważniej rozważa się zagrożenia, które mogą pojawić się na granicy z obwodem kaliningradzkim. Tam też zdarzają się takie historie jak ta z września, gdy funkcjonariusze warmińsko-mazurskiego oddziału SG zatrzymali czterech obywateli Tadżykistanu. „Są w wieku od 30 do 39 lat. Jak przyznali, przylecieli samolotem do Kaliningradu, stamtąd taksówką w rejon granicy, a potem przez tzw. zieloną granicę dostali się do Polski. Po przekroczeniu granicy rosyjsko-polskiej, przebrali się w czyste ubrania, a brudne porzucili w przydrożnych krzakach. Idąc w głąb kraju zacierali ślady gazem pieprzowym" – mówiła Radiu Olsztyn mjr Mirosława Aleksandrowicz z SG.

Polskie władze chcą przygotować się na wszystkie scenariusze ze strony rosyjskiej. „Obwód kaliningradzki jest kolejnym po odcinku granicy z Białorusią, gdzie będzie powstawał skuteczny, nowoczesny system ochrony tej granicy. Na dzisiaj mówimy o bardzo zaawansowanym systemie perymetrycznym i bardzo zaawansowanym systemie elektronicznym. Na to są przeznaczone duże środki" – zapowiadał wiceszef MSWiA Bartosz Grodecki.

Problemem jest też szlak przez państwa bałtyckie. – To oznacza, że musimy zintensyfikować patrole drogowe po naszej stronie przesmyku suwalskiego i uważniej monitorować, kto do nas wjeżdża – mówi Stanisław Żaryn.

Minister opowiada też o sytuacji sprzed kilku dni, o której poinformowały

eprasa.pl a7919b9646

służby w Tallinie. Rosjanie porwali liczącą ok. 1 tys. osób grupę Ukraińców, których przetransportowali na granicę z Estonią i umieścili w obozowisku. Ostatecznie zrezygnowano z rzucenia ich na granicę, a po Ukraińcach ślad zaginął.

Trzeba zatem liczyć się ze scenariuszem rosyjsko-białoruskich gierek z wykorzystaniem ludzi porwanych na Ukrainie. Nietrudno wyobrazić sobie prowokację z wymieszaniem Ukraińców oraz migrantów z Bliskiego Wschodu, Azji czy Afryki. – I co wtedy, mamy wpuszczać Ukraińców bez weryfikacji czy zatrzymywać i ich odsyłać? Albo narazimy się na zarzut odmawiania pomocy napadniętym przez Rosję, albo na zarzut rasizmu, jeśli potraktujemy ich inaczej niż przybyszów z krajów arabskich – słyszymy od jednego z funkcjonariuszy.

Pewną nadzieją na uspokojenie sytuacji na wschodzie Polski jest korekta trasy migracyjnej. Na dziś głównego uderzenia można się bowiem spodziewać przez Bałkany. W Europie jest świadomość, że ten szlak już ruszył. Stąd konkretne decyzje w niektórych państwach. Czeska policja pod koniec września rozpoczęła kontrole na granicy ze Słowacją. Od początku roku Czesi zatrzymali ponad 12 tys. nielegalnych migrantów, co tamtejszy minister spraw wewnętrznych określił jako zjawisko bez precedensu. Kontrole obejmują 17 drogowych, siedem kolejowych i trzy rzeczne dawne przejścia. Przekraczanie granicy możliwe jest wyłącznie w tych miejscach. Turyści nie mogą już swobodnie poruszać się po ścieżkach i drogach, które prowadzą wzdłuż linii granicznej lub naprzemiennie przez oba państwa. Kontrole na granicy ze Słowacją przywrócili też Austriacy.

Polska na razie jedynie wzmocniła patrole na południu, bo choć obecnie przeniesienia ciężaru na naszą granicą południową nie widać, to – jak wskazują nasi rozmówcy – nie można tego nie monitorować.

WBREW LOGICE

Fot. Piotr Molecki/East News

Dziś największe niebezpieczeństwa wciąż jednak są związane z granicą białoruską, której całkowitą szczelność mamy osiągnąć, gdy bariera zostanie wzmocniona elektroniką. Ten etap nieco się przesuwa, ale prace trwają. W ubiegłym tygodniu słupy do kamer (co 100 m) były już postawione na 136 km, okablowanie do nich – na 110 km. Czujniki perymetryczne zostaną położone na szczycie zapory i w ziemi do końca listopada. Realny termin zakończenia prac to koniec roku. Wzdłuż całego płotu (ok. 180 km) są już wytyczone drogi techniczne, co pozwala patrolom błyskawicznie dotrzeć w każde miejsce.

Zanim jednak osiągniemy maksymalne bezpieczeństwo granicy, należy spodziewać się kolejnej fali hejtu ze strony opozycji, która zachowuje się, jakby kibicowała białoruskiemu reżimowi destabilizującemu sytuację w Polsce. Jeszcze nie opadły emocje po ubiegłorocznych „występach" posłów Sterczewskiego, Jachiry, Jońskiego czy Szczerby, a już temat nadchodzącego ponownie naporu imigranckiego podgrzewa sam Donald Tusk. „Jednym z największych łajdactw, jakie w Polsce się zdarzyły, była przemyślana operacja, która miała na celu postawić znak równości między skutecznym egzekwowaniem prawa, w tym prawa azylanckiego, skutecznym pilnowaniem bezpiecznej granicy a bezlitosnym traktowaniem tych ludzi, tych kobiet, tych uchodźców, którzy potrzebują pomocy po to, żeby przeżyć" – manipulował szef PO odbierając nagrodę od Kongresu Kobiet. Znów nie ma w jego słowach zrozumienia dla polskiej racji stanu.

Każda próba podkopu (jest ich bardzo mało) czy przedarcia się ponad barierą (także niewiele) jest skrupulatnie odnotowywana przez media sprzyjające opozycji, by wykazać, że to inwestycja nieudana. Choć to przecież wbrew zdrowemu rozsądkowi. To także przejaw frustracji, bo przecież Tusk zapowiadał, że zapora nie powstanie, że „to będzie wał, a nie mur". Dziś widać, jak bardzo mylił się także w tej diagnozie. Z logiką konsekwentnie mija się też Janina Ochojska, kiedyś ceniona działaczka humanitarna, obecnie europoseł PO i zapiekła przeciwniczka polskiego rządu. Opisywała niedawno historię odrzuconego przez Polskę inż. Hamadi Mballo. Miał on uciekać z Senegalu przed reżimem, który zainstalował się tam po zmianie władzy. W tej historii, jak dowiedli internauci, nic się nie zgadza. Nie wiadomo nawet, czy nazywa się tak, jak twierdzi Ochojska, pewne jest zaś to, że w Senegalu żadnego przewrotu nie było, a rzekomy Mballo ma na Instagramie sporo radosnych zdjęć wykonanych w... Rosji.

Polaryzowanie debaty publicznej to wciąż aktualna metoda opozycji. I poniekąd skuteczna, bo moralny szantaż działa na wielu. Tyle że stosujący go ignorują zarówno okoliczności, w których dochodzi do poruszających scen na granicy (wojnę hybrydową Moskwy i Mińska), jak i wartość nadrzędną – bezpieczeństwo Polski i jej obywateli. A przecież od ub.r. dla wszystkich powinno być oczywistością, że ataki na granicę to element przygotowań do destabilizacji sytuacji nie tylko w Polsce, lecz i w Europie, poprzedzający inwazję militarną Rosji.

Reklama | 16/1022/F

eprasa.pl a7919b9646

ZAPEWNIAMY BEZPIECZEŃSTWO ENERGETYCZNE

Strategia dywersyfikacji realizowana w ostatnich latach przez **rząd Rzeczypospolitej Polskiej i PGNiG przyniosła Polsce suwerenność energetyczną**. Jednym z jej filarów jest **gazociąg Baltic Pipe**, który poprzez Danię połączył Polskę ze złożami gazu w Norwegii. Już dzisiaj Polska jest krajem zabezpieczonym pod względem dostaw gazu – dzięki dostawom gazociągiem Baltic Pipe (z własnego wydobycia i podpisanych kontraktów), dostawom skroplonego gazu ziemnego poprzez Terminal LNG im. Prezydenta Lecha Kaczyńskiego w Świnoujściu, a także własnemu wydobyciu krajowemu i dostawom poprzez Terminal LNG w Kłajpedzie oraz zapełnionym magazynom gazu. **Potrzeby klientów PGNiG w zakresie dostaw gazu będą w pełni zaspokojone zarówno w obecnym sezonie, jak i w latach kolejnych.**

PGNiG

eprasa.pl a7919b9646

Jacek Karnowski, prezydent Sopotu

V rozbiór Polski

Chcąc stworzyć Polskę samorządową, opozycja doprowadzi do likwidacji unitarnego państwa polskiego

STANISŁAW JANECKI

Sprawa dostaw węgla dla obywateli przez samorządy, dla których skądinąd jest to obowiązek wynikający z konstytucji, prawa energetycznego i ustawy o samorządach, pokazuje, że w nowy etap weszło dążenie dużej części opozycji do stworzenia alternatywnego rządu czy wręcz państwa – w samorządach, a przede wszystkim w wielkich miastach.

Już Kongres Liberalno-Demokratyczny na początku lat 90., gdy jego szefem był Donald Tusk, proponował w Polsce ustrój podobny do tego w Niemczech. Polska miała być strukturą landową z dużą autonomią regionów znacznie większych niż obecne województwa. I te regiony miały się orientować na szersze struktury europejskie – euroregiony. Pierwszy euroregion z udziałem Polski (Nysa) powstał w grudniu 1991 r., a potem jeszcze 15 (ostatni we wrześniu 2003 r.). Szczególne znaczenie miały te na polsko-niemieckim pograniczu: poza Nysą jeszcze Sprewa–Nysa–Bóbr, Pro Europa Viadrina i Pomerania. W zachodniej części Polski utworzenie w pełni autonomicznych regionów, zorientowanych głównie na niemieckie landy położone w sąsiedztwie, stało się dla różnych organizacji i stowarzyszeń zaproszeniem do sprawdzenia, czy da się oderwać od Polski Śląsk, Dolny Śląsk, Pomorze Zachodnie i Pomorze Gdańskie, a nawet Wielkopolskę.

Otwarcie do oderwania od Polski Górnego Śląska i Opolszczyzny nawoływał Ruch Autonomii Śląska. Z RAŚ Platforma Obywatelska rządziła na Śląsku w latach 2010–2013 (szef RAŚ Jerzy Gorzelik wszedł w skład zarządu województwa śląskiego). Wcześniej, w 2001 r., dwóch działaczy RAŚ startowało do Sejmu z listy PO. W czerwcu 2015 r. lokalna PO ponownie zawarła porozumienie o współpracy z RAŚ w sejmiku wojewódzkim, nobilitując i wspierając dążenia tej organizacji do autonomizacji Śląska graniczącej z jego oderwaniem od Polski. Przykład Górnego Śląska jest ważny, gdyż w tym regionie najlepiej widać, jak ewoluuje pomysł landyzacji, szczególnie wtedy, gdy silny ruch separatystyczny połączy siły z tymi, którzy rządzą na poziomie województwa. Oderwanie kolejnych regionów od Polski miałoby się dokonać najpierw przez uzyskanie dużo większej autonomii niż Śląsk miał w II RP – na mocy Statutu Organicznego Województwa Śląskiego (np. Sejm Śląski, w którym zasiadali przedstawiciele niemieckich partii), co wiązałoby się najpierw z powołaniem własnej administracji, także skarbowej, szkolnej oraz np. policji, posiadaniem własnego skarbu i oddawaniem do polskiego budżetu jedynie małej części zebranych podatków. Po stworzeniu autonomicznego minipaństwa lokalny parlament mógłby podjąć decyzję o oderwaniu się od Polski, po czym decyzję tę potwierdzono by w referendum.

DWA KROKI DO LANDYZACJI

Dwa najważniejsze przedsięwzięcia prowadzące do landyzacji Polski to program

eprasa.pl a7919b9646

Rafał Trzaskowski, prezydent Warszawy

Jacek Sutryk, prezydent Wrocławia

Fot. Andrzej Wiktor

Platformy Obywatelskiej „Samorządna Polska", zaprezentowany 21 października 2017 r. oraz program „Samorządna Rzeczpospolita" („21 Tez Samorządowych") przyjęty 4 czerwca 2019 r. Ale już w maju 2008 r., w drugim roku rządów PO, Jarosław Kaczyński ostrzegał, że Polsce grozi wprowadzenie landyzacji tylnymi drzwiami. Prezes Prawa i Sprawiedliwości wymieniał w tym kontekście przekazanie do pełnej dyspozycji służby zdrowia samorządom, w tym także wojewódzkim. Wymienił „plan przekazania [samorządom] lokalnych telewizji i państwowych rozgłośni radiowych, co [...] ogranicza i tak słabą kontrolę społeczną nad władzami samorządowymi". To wszystko nakładało się na radykalne zmniejszenie liczebności obsady urzędów wojewódzkich, które byłyby tylko atrapą przy silnych samorządach. Prezes PiS przestrzegał w 2008 r. przed „siatką nieformalnych powiązań osób pełniących władzę na szczeblu lokalnym [...] poza kontrolą, władzy poddanej dużo mocniej niż władza centralna regułom politycznej rozgrywki".

Projekt pełzającej landyzacji miał prowadzić do osłabiania państwa. A w połączeniu z integracją polskich samorządów wojewódzkich na terenach przygranicznych w ramach euroregionów i za duże pieniądze z UE prowadziłoby to do silniejszego związania tych samorządów z innymi państwami niż z Polską, a przynajmniej do ich radykalnego usamodzielnienia się w ramach państwa polskiego. Było to tym groźniejsze, że separatystyczne pomysły w polskich regionach wspierały otwarcie rząd Niemiec, rządy landowe i różne niemieckie instytucje i organizacje, finansując dążenia do usamodzielnienia się. Pod pozorem sponsorowania edukacyjnych i kulturalnych przedsięwzięć – najpierw mniejszości niemieckiej, a potem wszelkich autonomistów. A także finansując tworzenie struktur ponadregionalnych (europejskich) w różnych dziedzinach – od gospodarki, przez edukację, po współpracę administracji, a nawet organów ścigania.

Nieprzypadkowo różni politycy Platformy proponowali wzmocnienie regionów znacznie większym udziałem w podatkach, a nawet dysponowania przez nie podatkiem PIT i CIT (resztki przekazywano by do budżetu centralnego). I PO, i związani z opozycją samorządowcy postulowali likwidację urzędów wojewodów, żeby państwo nie miało wpływu na to, co dzieje się w regionach. Pojawiał się też postulat powołania wyłącznie regionalnej policji, a ta centralna zajmowałaby się przestępstwami ponadregionalnymi. Pozbawienie państwa wpływu na administrację, organy ścigania, administrację skarbową, podatki czy edukację czyniłoby z regionów minipaństwa. Utworzenie kilku dużych landów z własną władzą legislacyjną i wykonawczą oraz w ograniczonym zakresie sądowniczą sprawiałoby, że lokalne parlamenty mogłyby bojkotować ogólnopolskie prawo i polecenia władzy wykonawczej, organizując referenda w najważniejszych sprawach. Na podstawie tych referendów, przeprowadzonych na zasadzie plebiscytu, a właściwie wotum nieufności wobec rządu i państwa polskiego, można by potem likwidować resztki zależności od polskiego państwa.

Najważniejszą rolę w wizji Polski landowej miałyby odgrywać największe miasta. One już obecnie odcinają się w wielu aspektach od lojalności i zależności od polskiego państwa. Najniebezpieczniejsze jest to w przypadku miast leżących na tzw. Ziemiach Odzyskanych, bo one forsują model wolnych miast, w stylu Wolnego Miasta Gdańska. Sprawa dystrybucji węgla pokazuje, że procesy występowania samorządów przeciw Polsce się pogłębiają. Temu ma też służyć namawianie Komisji Europejskiej, by przekazywała unijne środki wyłącznie do samorządów z pominięciem rządu i administracji państwowej.

ODDOLNY ROZBIÓR POLSKI

Program Platformy Obywatelskiej „Samorządna Polska" (z 2017 r.) był chyba najśmielszym w III RP programem demontażu, a wręcz likwidacji polskiego państwa. Czymś w rodzaju oddolnego rozbioru Polski. Piątego z kolei (czwartym było rozgrabienie II RP przez Rzeszę Niemiecką i Związek Sowiecki w 1939 r.). Ten demontaż został ubrany w piękne słowa. Kierujący wtedy PO Grzegorz Schetyna mówił: „Uważamy, że mieszkańcy poszczególnych regionów najlepiej znają swoje lokalne problemy i sami potrafią je rozwiązywać. Uważamy, że będą lepiej zarządzać swoimi małymi ojczyznami niż partyjni urzędnicy". A wszystko dlatego, że „partia, która jest obecnie u władzy [...] buduje państwo scentralizowane i etatystyczne,

eprasa.pl a7919b9646

w którym najważniejsze decyzje zapadają w Warszawie". Realizacja wizji PO sprawiłaby, że najważniejsze decyzje zapadałyby w Brukseli, Berlinie i Paryżu oraz w regionach-landach. A polskie państwo nie byłoby do niczego potrzebne, przynajmniej jednolite państwo polskie. Wystarczyłaby luźna federacja samorządów, czyli polskie landy, ale bez silnej władzy centralnej, jaka jednak istnieje w ojczyźnie landów, czyli w Niemczech. Już w latach 2007–2009 istniał pomysł landyzacji. Wtedy proponowano zrobienie z urzędów wojewódzkich kadłubków, w 2017 r. i w „21 Tezach Samorządowych" zapowiedziano likwidację urzędów wojewódzkich, „ponieważ uprawnienia wojewodów krzyżują się z uprawnieniami marszałków". Likwidacja urzędów wojewódzkich oznaczałaby jeszcze większą autonomizację regionów-landów, praktycznie niekontrolowanych przez władze centralne, co prowadziłoby do stopniowego rugowania państwa z jego podstawowych funkcji i do likwidowania ścisłych więzi regionów z władzą centralną. Pewnie na początku z wyjątkiem armii i polityki zagranicznej.

Autorzy „21 Tez Samorządowych" zażądali „zapewnienia możliwości rozwoju naszych miast i gmin zgodnie z Konstytucją RP i Europejską Kartą Samorządu Lokalnego". Ani konstytucji, ani karty chyba jednak nie znają. Artykuł 3 konstytucji stanowi, że Polska jest państwem jednolitym. Ta zasada unitaryzmu oznacza jednorodny charakter Polski pod względem struktury terytorialnej, systemu prawa oraz struktury społeczno-politycznej. Oznacza, że konstytucja wyklucza zarówno federacyjny ustrój państwa, jak i autonomię terytorialną regionów. Wprawdzie art. 15 ust. 1 konstytucji zapewnia decentralizację władzy publicznej, lecz zasada unitarności wyznacza decentralizacji nieprzekraczalną granicę. Zgodnie z art. 16 ust. 2 konstytucji samorząd terytorialny uczestniczy w sprawowaniu władzy publicznej, ale nie ma uprawnień władzy ustawodawczej.

Gdy chodzi o przyjętą 15 października 1985 r. w Strasburgu Europejską Kartę Samorządu Lokalnego, to w jej art. 4 ust. 1 stwierdzono, że podstawowe kompetencje społeczności lokalnych wyznaczają konstytucje i ustawy w poszczególnych państwach. Jeśli wziąć pod uwagę zapisy karty oraz orzecznictwo polskiego Trybunału Konstytucyjnego, na podstawie karty nie można przeprowadzić żadnych zmian ustrojowych w Polsce zmierzających do wprowadzenia ustroju federalnego. Wprowadzenie w życie zapisu tezy 5 (konsultowanie z samorządami wszystkich ustaw) sparaliżowałoby stanowienie prawa, a sama Europejska Karta Samorządu Lokalnego nic nie mówi o obowiązku konsultacji wszystkich projektów ustaw z samorządem. Realizacja zapisu tezy 3 (przekształcenie Senatu RP w Izbę Samorządową), uczyniłaby z Senatu organ samorządowy, co jest ewidentnie sprzeczne z konstytucją. Teza 17 (likwidacja urzędu wojewody) jest absurdalna z wielu powodów. Wojewoda reprezentuje Radę Ministrów w województwie, nadzoruje administrację rządową i jest organem nadzorczym nad działalnością jednostek samorządu terytorialnego i ich związków. Wojewoda jest zatem w pełni uprawniony do kontroli legalności, rzetelności i gospodarności działań samorządów będących w kompetencji administracji rządowej. Kiedy samorządowcy postulują (w tezie 17) „likwidację urzędu wojewody" oraz (teza 1) „pełne prawo wspólnoty samorządowej do samodzielnego decydowania o całokształcie spraw lokalnych", gdyż „jedynym organem nadzoru dla samorządów w kwestiach lokalnych są mieszkańcy", dowodzą, że nie mają pojęcia o tym, iż art. 8 Europejskiej Karty Samorządu Lokalnego zakłada istnienie kontroli administracyjnej nad działalnością lokalnych społeczności. Gdyby samorządy (teza 14) wprowadziły „maksymalną decentralizację funduszy UE" doszłoby do złamania zasady równoważenia interesów konkretnej społeczności lokalnej i interesów wszystkich obywateli. Praktycznie niemożliwe byłoby wyrównywanie szans między różnymi regionami.

> Sprawa dystrybucji węgla pokazuje, że procesy występowania samorządów przeciw Polsce się pogłębiają. Temu ma też służyć namawianie Komisji Europejskiej, by przekazywała unijne środki wyłącznie do samorządów

W INTERESIE PUTINA

Samorządy-landy powinny mieć oczywiście własne pieniądze, gdyż wtedy ich autonomizacja byłaby jeszcze pełniejsza. Grzegorz Schetyna proponował w 2017 r.: „Zostawimy każdą złotówkę z podatków PIT i CIT tam, gdzie mieszkają obywatele: w gminach, powiatach i województwach. Dzięki temu mieszkańcy będą mieli kontrolę nad tym, na co są wydawane ich pieniądze". Pozostawienie tak wielkich środków do wyłącznej dyspozycji samorządów oznaczałoby poważne wsparcie autonomizacji, a wręcz separatyzmów, ale także zaproszenie do przekrętów. Przy osłabionej kontroli państwa nad pieniędzmi samorządów (prezydent Andrzej Duda zawetował ustawę wzmacniającą kontrolną funkcję państwa nad finansami samorządów), lokalne sitwy mogłyby swobodnie dysponować dziesiątkami miliardów złotych, umacniając i opłacając swoją klientelę, czyli kupując sobie wyborcze poparcie i pielęgnując separatystyczne tendencje tam, gdzie będą one im na rękę. A byłyby, gdyż regionalne władze nie są zdolne do kontrolowania lokalnych koterii.

Do tego trzeba dodać „przywrócenie swobody obrotu ziemią", umożliwiające wzmocnienie separatyzmów przez własność ziemi. Trzeba też dodać pełne oddanie szkół samorządom, czyli możliwość prowadzenia regionalnej polityki edukacyjnej, co też wzmacnia dążenia do szerokiej autonomii.

Osłabienie Polski i jej rozmycie jako państwa jednolitego, w pełni suwerennego i samodzielnego jest na rękę wielu stolicom państw UE. Jest też oczywiście na rękę Rosji Putina. Program i postulaty różnych form landyzacji Polski mogą więc liczyć na mocne zagraniczne wsparcie i osłonę, przede wszystkim medialną. Tyle tylko, że jest to plan faktycznej likwidacji Polski jako jednolitego, suwerennego państwa. Plan piątego rozbioru Polski.

eprasa.pl a7919b9646

Baltic Pipe zapewnia Polsce strategiczne dostawy gazu ze złóż norweskich. Powinien być szczególnie chroniony

Fot. Materiały prasowe

Zachowaj czujność!

Rosja nie musi zrzucać bomby atomowej, by zakłócić lub uniemożliwić funkcjonowanie państwa. Wystarczy przecież wysadzić gazociągi, zniszczyć linie telekomunikacyjne, sparaliżować system bankowy lub wywołać panikę w społeczeństwie. Takie scenariusze są dziś poważnie rozpatrywane w państwach NATO

KONRAD KOŁODZIEJSKI

Zmasowane uderzenie rakietowe na ukraińskie miasta, do którego doszło w poprzedni poniedziałek, po tym jak uszkodzony został most Kerczeński łączący Krym z Rosją, było największym tego rodzaju atakiem od chwili wybuchu wojny. Jednak równie bezprecedensowy co skala tego uderzenia (agresorzy wystrzelili 83 rakiety) był jego cel, którym obok zatłoczonych centrów miast stały się obiekty o strategicznym znaczeniu dla funkcjonowania państwa – przede wszystkim elektrownie i ciepłownie.

Oczywiście Rosjanie już wcześniej atakowali takie cele, ale zwykle były to akcje skierowane przeciwko pojedynczym obiektom, teraz zaś uderzyli jednocześnie w wiele zakładów rozrzuconych po całym kraju. Brak prądu, ciepła i wody – szczególnie dotkliwy zimą – ma w zamierzeniu Kremla skruszyć morale obrońców i zmusić ich do ustępstw lub do całkowitej kapitulacji.

Prawdopodobieństwo, że Ukraińcy dadzą się złamać, jest niewielkie, jednak nie w tym rzecz. Chodzi o to, że Moskwa zmodyfikowała swoją dotychczasową taktykę. I eskalacja wojny, której wielu upatrywało w ataku nuklearnym, przybiera – przynajmniej na razie – inny kierunek. Rosjanie próbują sparaliżować funkcjonowanie państwa ukraińskiego, uderzając masowo w jego infrastrukturę krytyczną.

TAJEMNICZE AWARIE

Wiele wskazuje na to, że Moskwa jest gotowa zastosować zbliżoną strategię również wobec państw NATO. Rzecz jasna nie będzie to polegać na uderzeniach rakietowych, bo to oznaczałoby otwarty konflikt z Zachodem. Zamiast tego można posłużyć się skrytymi akcjami sabotażowymi, choćby takimi jak wysadzenie trzech nitek obu gazociągów Nord Stream na Bałtyku.

O tym, że mamy do czynienia z realnym scenariuszem, świadczy nie tylko zagadkowa historia eksplozji Nord Streamu, ale również zniszczenie podwodnych łączy energetycznych łączących bałtycką wyspę Bornholm ze stałym lądem. Z tego powodu na duńskim Bornholmie nagle zabrakło prądu, a wstępne ustalenia w tej sprawie sugerują celowe działanie Moskwy. Media poinformowały również, że z niewyjaśnionych przyczyn awarii uległ także podwodny kabel energetyczny łączący Polskę ze Szwecją, co uniemożliwia tymczasowo przesył energii między obydwoma państwami.

Do zniszczeń doszło na wodach międzynarodowych, co można uznać za jeszcze jedną poszlakę wskazującą na działanie Moskwy, która woli unikać działań na terytorium należącym do państw NATO. Sytuacja stała się na tyle poważna, że w ostatni wtorek sekretarz generalny paktu Jens Stoltenberg przestrzegł Rosję przed podejmowaniem akcji dywersyjnych i przypomniał, że ataki hybrydowe skierowane przeciw państwom NATO mogą być podstawą do uruchomienia art. 5 traktatu północnoatlantyckiego.

eprasa.pl a7919b9646

Eskalacyjna taktyka Moskwy powinna skłaniać nas do zachowania wyjątkowej czujności, bo przecież w rejonie Bornholmu, gdzie doszło do wybuchu Nord Streamu, przechodzi również gazociąg Baltic Pipe zapewniający Polsce strategiczne dostawy gazu ze złóż norweskich. Nie powinno być więc żadnych wątpliwości, że tak ważna instalacja zajmuje wysoką pozycję na liście potencjalnych celów Rosji. W Moskwie doskonale wiedzą, że zatrzymanie dostaw gazu zimą doprowadziłoby do poważnych perturbacji w Polsce. I taka perspektywa z pewnością jest dla Kremla bardzo kusząca.

W tym kontekście wiele pytań rodzi zagadkowy wyciek ropy naftowej, który w ostatnim tygodniu zauważono pod jedną z zachodnich nitek rurociągu Przyjaźń w odległości 70 km od Płocka. Rurą tłoczono rosyjskie paliwo do Niemiec, więc pojawiły się hipotezy, że podobnie jak w przypadku Nord Streamu możemy mieć do czynienia z rosyjskim sabotażem, którego celem jest wywarcie presji na Berlin albo też z rodzajem przekazu płynącego z Kremla, że polskie instalacje nie są w pełni bezpieczne.

W chwili, gdy piszę te słowa, przyczyny wycieku nie były znane, co jednak nie zmienia faktu, że awaria rurociągu musi stanowić dla nas sygnał ostrzegawczy i powinna być jak najszybciej wyjaśniona. Bo nawet jeżeli nie jest ona skutkiem sabotażu (a miejmy nadzieję, że nie), to tego rodzaju sugestie mogą wywoływać społeczny niepokój. Zwłaszcza w epoce mediów społecznościowych, które stanowią dziś dla Moskwy bardzo skuteczne narzędzie dezinformacji.

ROSJANIE „BADAJĄ" MORZA

Świadomość rosyjskiego zagrożenia skłoniła niedawno Norwegów do rozmieszczenia na swoich instalacjach wydobywczych posterunków wojskowych. Wcześniej zresztą mieli oni już do czynienia z różnymi niewyjaśnionymi awariami infrastruktury. Przykładowo na początku stycznia został przerwany jeden z dwóch kabli telekomunikacyjnych łączących norweski archipelag Svalbard z resztą świata, co spowodowało poważne zakłócenia łączności na wyspach. Śledztwo dotyczące tej awarii nie przyniosło do tej pory rezultatów.

Wiadomo jednak, że Rosjanie są bardzo aktywni na tym akwenie. A ich Flota Północna posiada specjalne łodzie podwodne wyposażone w narzędzia do prowadzenia prac na dnie morza. O jednym z takich okrętów, nazwanym Łoszarik, zrobiło się głośno po tym, gdy w czerwcu 2019 r. zatonął na Morzu Barentsa wraz z liczącą 25 osób załogą.

Łoszarik był niewielką łodzią podwodną o napędzie atomowym, czymś w rodzaju wojskowego batyskafu, który może opuścić się na głębokość do 3 km (klasyczne okręty podwodne zanurzają się na kilkaset metrów). Oficjalnie zadaniem Łoszarika były prace badawcze dna morskiego, w tym podnoszenie zatopionych szczątków. Eksperci nie mieli jednak wątpliwości, że okręt mógł wykonywać misje wywiadowcze polegające np. na niszczeniu podwodnych kabli telekomunikacyjnych lub instalowaniu przy nich urządzeń podsłuchowych. Zatonął prawdopodobnie podczas wykonywania jakiejś misji wojskowej na dnie morza. Oczywiście Rosja utajniła wszystkie szczegóły, w tym dane personalne załogi.

> Wiele pytań rodzi zagadkowy wyciek ropy pod jedną z zachodnich nitek rurociągu Przyjaźń. Możemy mieć do czynienia z rodzajem przekazu, że polskie instalacje nie są w pełni bezpieczne

Jednak Norwegowie do pewnego stopnia sami są sobie winni. Regularnie udzielali bowiem zgody na misje naukowe rosyjskich statków na swoim szelfie kontynentalnym. Jedną z takich jednostek, która nadal operuje w okolicy Norwegii, jest Siergiej Wawiłow – oficjalnie okręt badawczy, który wcześniej działał na Bałtyku, w rejonie uszkodzonego gazociągu Nord Stream. Podobny rejs przeprowadził Akademik Triosznikow, który widziano na Morzu Północnym oraz dwukrotnie na Bałtyku – w czerwcu i we wrześniu okręt ten pływał u wybrzeży Bornholmu. Inny statek to Borys Pietrow, wyposażony w liczne anteny i wciągarki dla pojazdów podwodnych, który na początku października zjawił się w pobliżu pola naftowego Gjøa. Łącznie w rejonie norweskich złóż i instalacji wydobywczych zaobserwowano od czerwca aż dziewięć rosyjskich statków „badawczych". Nad platformami wiertniczymi pojawiały się także niezidentyfikowane drony.

Tak duża aktywność Rosjan, którzy podczas wojny na Ukrainie postanowili nagle prowadzić „badania" w bezpośredniej okolicy zachodnich instalacji wydobywczych i przesyłowych, wzbudziła uzasadnione podejrzenia, że mogą oni szykować kolejne akcje sabotażowe.

SCENARIUSZ PARALIŻU

Infrastruktura krytyczna to inaczej wszystkie obiekty i instalacje zapewniające funkcjonowanie państwa. Ich lista jest ze zro-

Jednostki ratowniczo-gaśnicze na miejscu awarii rurociągu Przyjaźń

Fot. Twitter PERN SA

eprasa.pl a7919b9646

zumiałych powodów tajna. Łatwo jednak domyśleć się, że w skład infrastruktury krytycznej wchodzą m.in. ważne strategicznie zakłady przemysłowe (np. zbrojeniowe), rurociągi i magazyny paliw, elektrownie, ciepłownie, wodociągi, system bankowo-finansowy, łączność, transport oraz linie telekomunikacyjne, w tym zwłaszcza sieci światłowodowe zapewniające nieprzerwany przesył danych między instytucjami.

Można bez trudu przewidzieć, jakie skutki dla działania państwa oraz życia ludzi miałoby uszkodzenie ważnej linii energetycznej, gazociągu czy elektrociepłowni. I nie chodzi tu wcale o zamach bombowy. Żyjemy przecież w cyfrowym świecie, gdzie wszystko jest podpięte do sieci i sterowane za pomocą komputerów. Sieć internetowa jest dziś chyba najwrażliwszym elementem infrastruktury, stanowi krwioobieg państwa, więc uderzenie w nią może spowodować jego zawał. Najłatwiej więc dokonać sabotażu za pomocą ataku hakerskiego.

Rosjanie mają wiele wyspecjalizowanych grup hakerskich, które wielokrotnie dopuszczały się cyberataków na różne ważne instytucje i obiekty przemysłowe na świecie. Dochodziło też do włamań do różnych baz danych, z których w zależności od celu ataku przechwytywano poufne informacje lub dokonywano kontrolowanych wycieków służących wywołaniu wewnętrznych konfliktów w państwach uznawanych przez Moskwę za wrogie. Wielu Amerykanów do dziś jest przekonanych, że służby rosyjskie ingerowały w przebieg wyborów prezydenckich w 2016 r., które wygrał Donald Trump.

Dobrze przeprowadzone cyberataki są w stanie doprowadzić do paraliżu państwa i jego gospodarki. Ich rezultatem może być zakłócenie pracy zakładów przemysłowych, systemu bankowego czy transportu. Wyobraźmy sobie, że nagle przestają działać bankomaty i elektroniczne przelewy, a chwilę później w wielu domach gaśnie prąd lub wyłącza się ogrzewanie. Zaraz potem media społecznościowe zostają zalane falą fejków i plotek podważających zdolność państwa do funkcjonowania. Skutkiem będzie masowa dezorientacja społeczeństwa, która szybko może przerodzić się w panikę.

Idealny i niestety możliwy scenariusz uderzenia hybrydowego polegałby więc na połączeniu kilku elementów: akcji sabotażowej, cyberataku oraz paniki wznieconej za pomocą mediów społecznościowych. Takie uderzenie przeprowadzone na dużą skalę może mieć siłę porównywalną z atakiem militarnym, bo prowadzi do podobnego skutku, jakim jest sparaliżowanie państwa.

FANATYCY Z INSPIRACJI

Wiosną doszło w Polsce do gigantycznych zakłóceń na kolejach, które podobnie jak wszystko dzisiaj są uzależnione od elektroniki. Pojawiły się wtedy obawy, że Rosjanie uszkodzili kolejowy system sterowania ruchem, co doprowadziło do zatrzymania pociągów. Ostatecznie okazało się, że przyczyną był systemowy błąd urządzeń, jednak dało to wyobrażenie chaosu, który może spowodować cyberatak na sieć kolejową. I nie chodzi tu wyłącznie o przewóz pasażerów, ale o transport ważnych ładunków, od paliw poczynając, na uzbrojeniu kończąc. W przypadku zagrożenia wojennego może to poważnie osłabić potencjał obronny zaatakowanego państwa.

Niedawno przekonali się o tym Niemcy, gdzie ktoś przeciął dwie ważne magistrale światłowodowe sterujące ruchem pociągów w północnej części kraju. Ten ktoś musiał doskonale wiedzieć, co robi, ponieważ znalezienie odpowiednich wiązek przewodów w gąszczu innych kabli nie jest wcale łatwe. Trzeba też przeciąć rezerwowe przewody, które przejmują transfer danych w przypadku zniszczenia właściwych kabli.

Śledztwo, które przejęła niemiecka służba wywiadowcza BND, zakłada, że sabotażu dokonały dwie grupy lewackich aktywistów, którzy chcieli zatrzymać transporty węgla z portów. Niewykluczone, że to dobry trop. Warto jednak się zastanowić, czy na pewno jedyny i czy domniemani aktywiści działali wyłącznie we własnym imieniu.

Nie przesądzając niczego, warto zauważyć, że sabotażu nie muszą dokonywać rosyjscy dywersanci zrzuceni na spadochronach. Mogą to być przecież miejscowi fanatycy opłaceni lub tylko inspirowani przez moskiewską agenturę. To zdejmuje z Moskwy zarzut prowadzenia bezpośrednich akcji sabotażowych na terytorium państw NATO i może stanowić wskazówkę na temat możliwych metod działania Rosji.

ZMIANA HASŁA

W tym kontekście warto przypomnieć sobie zagadkowy pożar mostu Łazienkowskiego w Warszawie, do którego doszło w lutym 2015 r. Mosty stanowiące wąskie gardła transportowe są oczywistym elementem infrastruktury krytycznej. Jednak oprócz prowadzenia transportu drogowego lub kolejowego są także arteriami do przesyłu danych.

Przez most Łazienkowski przechodziła ważna magistrala światłowodowa zapewniająca m.in. wymianę informacji między różnymi jednostkami MON. Pożar mostu spowodował uszkodzenie magistrali i doprowadził do zakłócenia łączności. W śledztwie ustalono, że most został podpalony, jednak sprawców nigdy nie odnaleziono. Były hipotezy dotyczące bezdomnych, zresztą dość mało przekonujące, mówiono też o świadkach, którzy widzieli jakoby podejrzane osoby z kanistrami benzyny. W tej sytuacji nie można więc odrzucić wersji, że pożar mostu mógł być aktem sabotażu. Z czyjej strony? Tego akurat łatwo się domyśleć.

Po pożarze wyszło na jaw, że ważne strategicznie przeprawy w ogóle nie są chronione. Nie chodzi oczywiście o wojskowe posterunki, ale o zupełną beztroskę ówczesnych władz w podejściu do zagrożeń. W mediach pojawiły się wówczas zdjęcia źle zabezpieczonych skrzynek z kablami światłowodowymi zrobione na sąsiednim moście Poniatowskiego. Każdy mógł z łatwością otworzyć taką skrzynkę i mieć dostęp do przewodów.

Po wybuchu wojny na Ukrainie z rosyjskiej ambasady w Warszawie wydalono 45 rosyjskich dyplomatów, w znakomitej większości prowadzących podwójną działalność w naszym kraju. Można być pewnym, że w poprzednich latach zdołali oni zgromadzić i przekazać do Moskwy dużą dokumentację dotyczącą naszej infrastruktury krytycznej, dostępu do niej i stosowanych zabezpieczeń (lub ich braku). Zebrana przez nich wiedza jest teraz naszą potencjalną słabością.

Oczywiście mostów, fabryk czy linii kolejowych nie ukryjemy, ale infrastrukturę musimy lepiej chronić lub zmienić dotychczasowe zabezpieczenia. To trochę tak jak z hasłem komputerowym, jeśli istnieje ryzyko, że ktoś je złamał, trzeba wprowadzić nowe, silniejsze. No i przede wszystkim nie przekazywać go nikomu oraz zachować czujność. Tym bardziej, że wojna trwa nadal.

eprasa.pl a7919b9646

Fot. Andrzej Wiktor

Plemienna lojalność sierot po komunizmie

Państwowcy, polscy patrioci, działacze demokratycznej opozycji. Dawni właściciele PRL i ich sojusznicy, którym w demokratycznym rozstrzygnięciu odebrano także III Rzeczpospolitą. Im dalej od czasów komunistycznych, tym bardziej ślepi na jego istotę. I znów spotkali się razem. Przy jakiej okazji

MACIEJ WALASZCZYK

Pogrzeb Jerzego Urbana, który odbył się na warszawskich Powązkach Wojskowych zgromadził w jednym miejscu wyjątkową grupę. Głównie część dawnej elity SLD i postkomunistycznych przyległości. Marek Siwiec, 20 lat temu minister w kancelarii prezydenta Aleksandra Kwaśniewskiego, przedstawia kolegom działacza lewicowej młodzieżówki. – To jest młoda lewica, a to są stare, najprawdziwsze komuchy – mówi, wskazując Zbigniewa Sobotkę, Krzysztofa Janika i Zbigniewa Siemiątkowskiego. Czyli najważniejszych polityków SLD byłego okresu. – Od nas na lewo już tylko „czerwone brygady" – podkreśla jeden z nich. Oczywiście przesadza, a to rzeczywiście to samo plemię.

Jerzego Urbana żegnali były prezydent Aleksander Kwaśniewski, redaktor naczelny „Gazety Wyborczej" Adam Michnik, filozof Jan Hartman, były działacz PPR i dziennikarz „Polityki" Marian Turski, Olga Lipińska, reżyserka politycznego kabaretu popularnego niegdyś w TVP, prof. Jerzy Wiatr, specjalista od marksizmu, ludzie związani z tygodnikiem „Nie". Przybyli na pogrzeb znajomego i przyjaciela. Przede wszystkim odprowadzali tego, który bez żadnych kompleksów wskazywał im drogę po 1989 r.

W tym układzie Urban obok Michnika odgrywał rolę politycznego psa przewodnika dla byłych komunistów, sierot po PRL. Politycznej i społecznej bazy sił nieustannie prowadzących zimną wojnę z milczącą większością. To Urban dał im sygnał, by nie przepraszać, nie kajać się za przeszłość. Nawet okrągły stół był dla niego niepotrzebną manifestacją słabości, którą w 1989 r. powinny zastąpić krótkie negocjacje ws. wyborów i ostra kampania wyborcza. Jak twierdził – wbrew dzisiejszej mitologii – okrągły stół przekształcił się w niekończącą się kampanię opozycji, ułatwiając jej sukces. Od początku uważał, że lewica postkomunistyczna powinna przyjąć formułę konfrontacji, walki z przeciwnikiem politycznym. Dlatego w 1990 r. na chwilę przed jej rozwiązaniem chciał wstąpić nawet do PZPR. Uważał, że jedynym

eprasa.pl a7919b9646

sposobem jest nieodpuszczanie przeciwnikowi i stosowanie, używanej przez niego w czasie stanu wojennego, „zimnej logiki zwycięzców, którzy pastwią się nad pokonanym".

Podczas pogrzebu Urbana sięgnął po tę metodę Aleksander Kwaśniewski. Nawiązując do roli rzecznika prasowego ostatnich PRL-owskich rządów, postawił tezę, że wszyscy potem tylko starali się naśladować go w tej roli. Oświadczył, że dzisiaj rolę tę przejął na siebie premier Mateusz Morawiecki, nie mając za grosz jego talentu. – On zarzucał Urbanowi, że ten w okresie PRL kłamał. Zdarzało się. A premier Morawiecki? – mówił Kwaśniewski, wywołując tym salę śmiechu i burzę oklasków. – Ten język jest, można powiedzieć, ostrzejszy – stwierdził. To ta strategia: nie przepraszać, nie odpuszczać, odwrócić dobro i zło, przeszłość zmieszać w morzu ambiwalencji. Już zapowiedziano, że życiorys Urbana i jego ocena muszą podlegać takim zabiegom, jakim podlegały życiorysy dawnych działaczy PZPR, PRL-owskich notabli, reżyserów ugody okrągłego stołu.

ZWIĄZEK PATRIOTÓW POLSKICH (FRAKCJA LIBERALNA)

Już teraz Urban w oczach kolegów zdaje się raczej szermierzem liberalizmu, wolności słowa, filantropem niż uosobieniem cynizmu i brutalnej prowokacji. W jednym z tekstów opublikowanych po jego śmierci zastanawiano się nawet, dlaczego nie przystąpił w latach 70. do opozycji demokratycznej (paradoksalnie sam Urban takie samo pytanie zadawał sobie, myśląc o Aleksandrze Kwaśniewskim). W przypadku wiernego sługi Jaruzelskiego zdecydowały względy kulturowe: niechęć do tradycji narodowych, nienawiść do religii i pogarda dla mas. W końcu ten sam Kwaśniewski, stojąc nad urną z prochami, ogłosił go patriotą i państwowcem.

Małgorzata Fornalska, działaczka KPP, zawodowa rewolucjonistka na usługach Moskwy i kominternu, prywatnie matka Aleksandry Jasińskiej-Bierut, mówiła, że jeśli kiedyś zginie, to zginie za Polskę. Świetnie ową ewolucję opisuje Aleksander Smolar na przykładzie swojego ojca. Żydowski chłopak w 1920 r. wita armię bolszewicką, stoi po stronie wojsk Tuchaczewskiego podbijających Polskę, działa w KPZB, okres międzywojenny spędza w Sowietach, w Komsomole, kończy partyjne szkoły, jest aktywny w Żydowskim Komitecie Antyfaszystowskim, w czasie wojny w sowieckiej partyzantce (walczącej z oddziałami AK), jest patriotą komunistycznej utopii, który – jak sądzi Smolar – dopiero w Izraelu staje się... polskim patriotą.

Także dzieci komunistów, sieroty po skompromitowanej ideologii przeobraziły się w egalitarystów, komunizowanie zamieniając w socjaldemokratyzm, a w rzeczywistości czysty liberalizm, ekonomiczny, kulturowy, społeczny. W obliczu bankructwa wiary rodziców podszyty często nihilizmem, zgodnym z obserwacją, że „liberalny burżuj jest starszym bratem bolszewika". Tą drogą poszli praktycznie wszyscy. Jasińska-Bierutówna już jako emerytowany profesor socjologii deklarowała, że ważna jest dla niej identyfikacja z całą ludzkością, a obcy nacjonalizm. Ernest Skalski uważa się za liberała, a nawet przeciwnika lewicy. Także Urban objawił się głównie jako praktykujący wolny rynek kapitalista i wróg nacjonalizmu, wieszczący od początku lat 90. podobnie jak Adam Michnik nadejście prawicowej, nacjonalistycznej dyktatury.

Urban był przekonany o tym, że społeczeństwo nie wie, co zrobić z wolnością, a naród jest za głupi, by odnaleźć się w warunkach niepodległości. Agnieszka Holland twierdzi, że dobrym tego przykładem mają być rządy Zjednoczonej Prawicy będące konserwatywną próbą odtworzenia świata, w którym władza może być sprawcza. A to jest nieliberalne. Andrzej Titkow (syn Walentego Titkowa – wieloletniego działacza komunistycznego, PPR, PZPR) w liberalnym zwidzie zupełnie nie potrafi ocenić rzeczywistości, sklejając dawne rządy aparatu PZPR z endeckim nacjonalizmem, a rządy PiS z „inaczej niż kiedyś zainscenizowanym autorytaryzmem".

KOMUNIŚCI CHCIELI DOBRZE

Zgodnie z filozofią plemienia, z którego się wywodzą, są solidarnie wyrozumiali dla komunistycznego romantyzmu czasów przedwojennych. Apostołów „pięknej idei, sprawiedliwego świata i sensu życia" (Włodzimierz Grudziński), proroków lepszego społeczeństwa. Piotr Fejgin (syn Anatola, byłego dyrektora X Departamentu MBP) do końca uważał, że komunizm to niemożność przejścia obojętnie wobec osoby, której dzieje się krzywda, i zainteresowanie drugim człowiekiem. Jasińska-Bierutówna z jednej strony okres represji stalinowskich traktuje jako zły czas, ale samooskarżanie się czy wyznawanie domniemanych win opisuje jako rytuały, bo był to konieczny elementy tamtego systemu politycznego, z kolei odrodzoną w ostatnich latach pamięć o żołnierzach podziemia antykomunistycznego uważa za coś niewłaściwego, bo przecież „także zabijali". Tego rodzaju równania to nieodłączny element ich dialektyki.

eprasa.pl a7919b9646

Wszyscy przyznają, że komunizm w Polsce był zjawiskiem narzuconym siłą, nieautentycznym, szkodliwym, opartym na przemocy, represyjnym i totalitarnym. Jednocześnie potrafią znaleźć argumenty na uzasadnienie zaangażowania się w ten nurt, a opór wobec niego – szczególnie powojenny – wpisać w logikę niepotrzebnej „wojny domowej", walki przegranych, pogrobowców przedwojennej, niesprawiedliwej, antysemickiej i faszyzującej Polski. „Było zupełnie logiczne, że tacy ludzie jak mój ojciec wstępowali do komunistycznej partii" – tłumaczyła Agnieszka Holland (jej ojciec Henryk Holland – dziennikarz, członek PZPR – popełnił samobójstwo podczas rewizji po przekazaniu informacji na temat tajnego referatu Chruszczowa jednemu zagranicznych dziennikarzy). W tych równaniach ciągle przebija się logika walki klas, wielkich młynów historii, w której stawiający opór tym mechanizmom są głupcami.

Aleksander Smolar mówiący o braku świadomości (ok. 1956 r.), o istnieniu i skali zbrodni popełnianych w Związku Sowieckim absolutnie szokuje. Mówimy o synu człowieka (Grzegorza Smolara – działacza KPZB, PPR, PZPR), przez wiele lat żyjącego w Sowietach, będącego członkiem komunistycznej międzynarodówki, która została eksterminowana. Nie mówiąc o milionach ofiar terroru, głodu i obozów koncentracyjnych zwanych gułagami. Agnieszka Holland dostrzegła, że z socjalizmem jest coś nie tak dopiero w 1967 r., gdy zamieszkała w Pradze i przeżyła wydarzenia praskiej wiosny i częściowej liberalizacji. Włodzimierz Grudziński (ojciec Jan Grudziński – działacz PZPR, usunięty z partii w 1968 r.) dopiero po wydarzeniach marcowych zdał sobie sprawę, że coś w tym „dobrym socjalistycznym systemie" i jego ideach jest nie tak.

Charakterystyczne, że nie ma w tych rozważaniach żadnego odniesienia do losu normalnych Polaków, nieżydowskiej inteligencji poddanej często deklasacji, wydziedziczonego ziemiaństwa, eksterminowanych przedwojennych elit politycznych czy trwającego na straży narodowej wolności i również poddanego represjom Kościoła katolickiego. Ich punkt widzenia jest wyłącznie skupiony na własnej, wąskiej grupie społecznej wywodzącej się z przedwojennej sekty komunistycznych działaczy lub nowych elit przewiezionych do Polski wraz z sowiecką armią i NKWD. Aleksander Smolar na chłodno przyznaje, że wielu ma ochotę ukryć związki z komunizmem i oczekiwać rozgrzeszenia. Problemem jest jednak przekonanie o pozytywnych skutkach komunistycznego przewrotu. Większość uważa, że oni lub ich rodzice służyli dobrej sprawie.

Agnieszka Holland oczywiście słusznie twierdzi, że PRL-owski komunizm nigdy nie był wzorcowym komunizmem, a ludzie z generacji jej ojca, głęboko wierzący w jego idealistyczną wersję i wizję budowy nowego, wspaniałego świata, często nie rozpoznawali się w tym, co zdarzyło w jego realnej wersji. Ale trudno z jej relacji wyciągnąć wniosek, czy lepsza była realna wersja doby PRL, czy utopia, której nie udało się zrealizować.

> To Urban dał sygnał, by nie przepraszać, nie kajać się za przeszłość. Nawet okrągły stół był dla niego niepotrzebną manifestacją słabości

Inna historia. Gdy Anatola Fejgina aresztowano w 1956 r. za nadużycia i zbrodnie popełnione przez kierowany przez niego X Departament Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego, matka powiedziała synowi, by nie wierzył w to, co mówią ludzie, bo „ojciec jest prawdziwym komunistą". Piotr Fejgin, choć krytyczny w stosunku do PRL, proces ojca, Romkowskiego i Różańskiego uznawał za mistyfikację. Ojciec nie akceptował tych metod, miał pisać odwołania, wstawiać się i ratować, a jeśli już brali kogoś na wielotygodniowe przesłuchania, to realizowano procedury, które ktoś wymyślił – przekonywał syn.

Śmieszne jest jednak, że po 1989 r. Anatol Fejgin, jeśli już czuł się w obowiązku, to nie wyjaśnić swoje życie, ale korzystnie zeznawać w procesach swoich byłych podwładnych, np. Adama Humera. Podobnie Aleksandra Jasińska-Bierut na przeciwnej szali do odrzuconych przez ojca (wówczas prezydenta RP) wniosków o ułaskawienie skazanych na śmierć niewinnych ludzi stawia tych, których ojciec miał rzekomo wyciągnąć z łagrów. Mówi o złym systemie zmuszającym dobrych ludzi do czynienia zła, „wyobcowaniu partyjnej awangardy z ruchu masowego" (o tym samym pisał Jerzy Urban w popaździernikowym „Po Prostu"). Była świadkiem aresztowania siostry matki i jej męża przez NKWD. Jako dziecko znalazła się w Moskwie w samym sercu stalinowskiej czystki, doświadczyła koszmaru życia w sowieckim raju, zakosztowała głodu. W jej wspomnieniach nie ma śladu refleksji, a raczej chęć ciągłego szukania alibi, wyjaśniania motywów. „Byłam do końca istnienia partii, nie wystąpiłam nigdy, nawet w stanie wojennym" – przyznawała.

I na koniec kwestia żydowskich korzeni ludzi zaangażowanych w budowę totalitarnego państwa, transformację kultury, stosunków społecznych i terror. Z relacji dzieci byłych komunistów wszyscy oni odrzucali istnienie przedwojennej Polski, byli jej wrodzy lub obojętni. W ich przekazach to potwór zgodny z obrazem sowieckiej propagandy. W przeciwieństwie do czasów komunistycznych w żadnej z rozmów nie są zdolni do niuansowania warunków politycznych historycznych i ekonomicznych, w jakich niepodległa Polska funkcjonowała. Holokaust z ich perspektywy jest konsekwencją wszystkiego, co „było wcześniej". Była dla nich światem obcym, a oni jej wrogami, którzy przyszli rządzić po 1945 r. Komuniści i ich dzieci są przekonani, że Polak powinien być wzięty w karby, poddany reedukacji, by to, co było przed wojną, nigdy nie wróciło. Ten pomysł wciąż jest aktualny.

Korzystałem z relacji zawartych w książce Krystyny Naszkowskiej „My, dzieci komunistów. Mówią: Jasińska-Bierutówna, Fejgin, Smolar, Holland, Skalski, Grudziński, Titkow". Wydawnictwo Czerwone i Czarne, Warszawa 2019

Reklama | 8/0822/F

eprasa.pl a7919b9646

Więcej, szybciej, lepiej!

Z APLIKACJĄ **ORLEN VITAY** ZAWSZE ZYSKUJESZ!

Ekstrapunkty i dodatkowe rabaty dzięki atrakcyjnym kuponom w aplikacji.

Mobilne płatności bez podchodzenia do kasy.

Wirtualna karta VITAY zawsze w zasięgu ręki.

Zeskanuj QR kod i pobierz aplikację **ORLEN VITAY**

eprasa.pl a7919b9646

Świat według TVN

Artykuł pisany w warunkach szkodliwych dla zdrowia

Z TVN-owskich programów wynika, że nie ma czegoś takiego jak państwo polskie. Są samorządy, partie, organizacje, obszar jako część Unii, ale nie ma integralnego, niezależnego bytu ze swoimi prawami, kulturą, historią. Tego, co mieści się na terenie zwanym Polska, nic nie spaja

DARIUSZ MATUSZAK

Kiedy przystępowałem do eksperymentu na swoim organizmie, niewiele wiedziałem o ostatnich produktach i poczynaniach TVN i jego departamentów, jak TVN24. Choćby tego, że to stacja, na której antenie można mówić o ludziach per „sprzedajna szmata" czy o żołnierzach, że to „wataha psów i śmiecie", a reakcją konferansjerów programu jest pełny aprobaty uśmiech.

DOBRA I ZŁA WIADOMOŚĆ

Tak czy owak po latach życia w nieuświadomieniu siadłem przed ekranem i puściłem sobie wiadomości i komentarze, które w TVN wyprodukowali, i od razu się zorientowałem, że z opisem tego, jak rzeczywistość przedstawia i interpretuje stacja, jest fundamentalny kłopot. Należałoby się bowiem odnieść tylko do tego, co głosi opozycja. To, co nadaje TVN, to wyłącznie jej przekaz, przyjmowany bez powściągliwości, dbania o prawdę i sens. Należałby też sprostować niemal każdą relację, wyjaśnić ją, pokazać rzecz od innej, sensownej strony i wykazywać, np. że szydzenie z faceta, który w trakcie popełniania przestępstwa zawisł na płocie, nie jest łamaniem praw człowieka, jak chcieliby pretensjonalni dziennikarze TVN,

eprasa.pl a7919b9646

a ci, którzy pomagają nielegalnym imigrantom wedrzeć się do naszego kraju, uczestniczą w akcji zmontowanej przez wrogi reżim i wymierzonej w Polskę.

„Wilcze prawo opozycji" – to jedno z głupszych i nędzniejszych powiedzeń w polskiej polityce, oznaczające, że wszystkie chwyty są dozwolone, że im gorzej, tym lepiej. Dopuszczające krwiożerczość w dążeniu do władzy. Nie ma praw, nie ma wspólnych interesów, są tylko tereny do opanowania, stado do podporządkowania, a wszelkie stworzenie jest zwierzyną łowną. W tym dziele zagryza się przeciwnika, a czasami jego miot. Wilcze prawo – prawo natury, a nie cywilizacji. Jak się więc odnieść do medium, które sobie takie wilcze prawo nadaje, które bez wstydu samo jest opozycją? Media nigdy nie były obiektywne, a teraz żyjemy w epoce jawnie tożsamościowych.

Ale mimo emocji we wszystkim trzeba znać miarę i nawet w propagandowym przekazie musi być sens, jakaś prawda. Inaczej będzie jak z relacjami z rozruchów w Ameryce, kiedy to podpalenia, rabunki, demolowanie miast dokonywane przez rasistowską organizację BLM nazywano w CNN pokojowymi protestami. Przykład CNN jest wart wzmianki, bo to dla TVN stacja pochodząca z jednej rodziny, wzór i wyrocznia. Najgorsza rzecz, która mogłaby spotkać propagandowe departamenty TVN, to zwycięstwo opozycji, o które bezwstydnie walczy. CNN wyhodowało widownię sektę – ludzi nienawidzących Trumpa. Gdy przestał być prezydentem, jeszcze przez chwilę można było urządzać seanse nienawiści. Gdy znikły, pozbawiony codziennej porcji narkotyku widz przełączył się na programy o patelniach. Tak skończy TVN24 i nikomu poza właścicielami i redaktorami, którzy stracą pracę – podobnie jak ich dziesiątki idolów z CNN – nie będzie żal.

Po obejrzeniu niedających się oglądać programów mam dwie wiadomości – dobrą i złą. Obydwie są obiektywne, to fakty, a nie opinie. Zła jest taka, że publicystycznych i informacyjnych produkcji TVN nie da się oglądać ani na kacu, ani na trzeźwo, po spożyciu, na czczo czy po jedzeniu. Do absorbowania tej produkcji trzeba mieć bowiem specjalnie skonstruowany mózg, który powinien odbierać jeden bodziec naraz, w tym przypadku informację czy komentarz, zachowywać je tylko w pamięci chwilowej, niczego z sobą nie łącząc.

Wszystko funkcjonuje oddzielnie, a więc to taki mózg, który nie kojarzy pisku opon z obrazem gwałtownie hamującego samochodu. W „Faktach" można poinformować o walkach na Ukrainie, sankcjach, zniszczeniu Nord Stream, a potem o cenach energii w Polsce i inflacji i między tym nie będzie związku przyczynowo-skutkowego. Ta wojna nie dzieje się za miedzą, tylko w kosmosie, miliony ludzi przybywają, ale to nie ma wpływu na wydatki państwa, euro w stosunku do dolara leci na twarz, ale w świecie TVN pozostaje to bez wpływu na kurs złotówki. Ten bowiem zależy tylko od jakiegoś „gościa" z PiS, który siedzi w jakimś banku, podejmuje głupie decyzje, a czasami występuje jak kabareciarz. W TVN Irakijczycy, Kongijczycy wzięli się w Puszczy Białowieskiej skądś, to naturalne, że tam są, może nawet od wieków byli, może zstąpili z nieba, przylecieli jak baron Münchhausen na armatnim pocisku (w TVN był taki jeden, który płynął z Syrii do Polski w lutym sześć dni rzeką), a teraz Anno Domini 2022 uciekają przed prześladowaniami.

Nie twierdzę, że widzowie TVN są mało inteligentni, tylko że stacja ich za takich uważa i dlatego serwuje im pełną bredni opowieść o świecie, w którym wojna nie ma wpływu na inflację, a wyniki wyborów na to, kto rządzi. W TVN nie ma ciągłości zdarzeń, tylko pojedyncze historie. Należy poczynić jednak pewne zastrzeżenie. Ta zasada nie dotyczy przekazu o tym, jak zły jest PiS. Tu logiczne ciągi są nader rozbudowane: PiS łamie praworządność, dyskryminuje Śmiszka, więc Bruksela nie daje pieniędzy i dlatego nieleczone dzieci umierają, uczniowie zamarzają w lodowatych szkołach.

Ale jest i dobra wiadomość – dla tych, którzy mają jakieś zdolności aktorskie, np. potrafią powiedzieć coś infantylnego dramatycznym tonem. Do tego gładka prezencja i to w zasadzie wystarczy, by zostać dziennikarzem TVN24. Oczywiście jakaś tam wiedza na poziomie gazetowym się przyda – wiadomo, gdzie jej szukać.

NIE MA POLSKI, JEST TYLKO PIS

Z TVN-owskich programów wynika, że nie ma czegoś takiego jak państwo polskie. Są samorządy, partie, organizacje, obszar jako część Unii, ale nie ma integralnego, niezależnego bytu ze swoimi prawami, kulturą, historią. Tego, co mieści się na terenie zwanym Polska, nic nie spaja. Nie ma instytucji państwa, tylko przypadkowe, które skądś się wzięły, najczęściej z zagarnięcia, gdy z nieznanego powodu PiS zaczął rządzić. Są instytucje pisowskie, rządowe, ale nie ma polskich. A jeśli były, to gdy tylko PiS je obsadził, przestają być polskimi. Nie są wspólne, lepiej, gorzej zarządzane, tylko pisowskie, istniejące po to, by pisowcy w nich zarobili. Nie ma Trybunału Konstytucyjnego, tylko Trybunał Przyłębskiej. Nie ma NBP, tylko pisowski bank z pisowskim „gościem", którego Tusk z Siemoniakiem i osiłkami wyprowadzą. Nie ma sądów, więc Tusk mówi, że kto się z PiS nawinie, to będzie siedział. Prorok jaki czy co? W TVN żaden dynamiczny reporter na tropie nie zapyta: „A skąd pan to wiesz, że będą siedzieć, i jak pan będziesz tego »gościa« z banku wyprowadzał? W kajdanach czy bez?". Obszar zwany Polską nie ma też swojej prokuratury, policji, tylko pisowski aparat represji.

A co do samego PiS to tak naprawdę nie wiadomo, dlaczego rządzi. W Polsce, której nie ma, nie było wyborów, tylko kopertowe, których też nie było, więc PiS władzę sobie jakoś wziął, a teraz powinien ją oddać. Tak przynajmniej uważa aparat partyjny PSL i jakiejś Lewicy – ugrupowań, które czołgają się po progu wyborczym. No i Trzaskowski też by wziął władzę, co TVN zaświadcza i pokazuje. PiS ma rządy oddać tak, jakby to było coś, co znalazł, ukradł. W TVN nie ma czegoś takiego jak wyniki wyborów i sprawowanie władzy w imieniu i dla tych, którzy ją powierzyli. Ma rządzić Kosiniak-Kamysz, Leszczyna, Trzaskowski i kto tam jeszcze.

Wybory pojawiają się w jednym kontekście. Chodzi o te przyszłe, które wygrała opozycja, a jeśli nie, to dlatego, że jak dziś się podejrzewa, one za rok były sfałszowane. Rozumiem, że to dziwna konstrukcja, ale nie wiem, jak

eprasa.pl a7919b9646

oddać logikę świata TVN. To bowiem uniwersum, w którym z braku węgla człek marznie w maju od grudniowych mrozów.

Wróćmy do pojęcia państwa. W TVN pojawia się ono tylko jako właściciel przedsiębiorstw, które żerują na widzach stacji. Nie szkodzi, że redaktor nie odróżnia przedsiębiorstwa państwowego od spółki skarbu państwa, albo firmy, w której państwo jest jednym z akcjonariuszy. Redaktorzy TVN przedstawiają, że ma być jak za towarzysza Babiucha albo junty Jaruzelskiego. Pan i władca, który rozwiązał niejeden problem, jak np. towarzysz Miller, podnosi słuchawkę i mówi: „Weźta mi tam, towarzyszu Obajtek czy jaki inny, cenę na benzynę, prąd, cukier, ziemniaki obniżta, bo rośnie niezadowolenie klasy robotniczej".

Firmy też nie są polskie, tylko pisowskie. Jeśli mają dobre wyniki finansowe, to biorą się one z ograbienia Polaków i nie przekłada się to na wyższe wpływy do budżetu państwa – z podatków i dywidend, tylko wzbogaca reżim i pisowskich oligarchów

BUDOWANIE ATMOSFERY GROZY

Logikę TVN-owskich wizji można prześledzić na przykładzie relacji z wieców samorządowców i problemów z węglem. W „Faktach" z 7 października dziennikarz (nie pamiętam który, bo nie warto) tak rozpoczyna relację: „Pierwszy postulat do rządu: nie spychajcie własnych problemów i odpowiedzialności na innych". Potem pojawia się Trzaskowski, który krzyczy, by PiS/rząd oddał władzę, w domyśle jemu i innym takim. Ceny energii, dostawy węgla to nie problem państwa, dźwigającego koszty wojny i światowego kryzysu, do rozwiązania przez wspólnotę, tylko kłopot rządu PiS, jego „własne problemy". Po okrzykach Trzaskowskiego, dla którego wynajem wywrotek i znalezienie placu jest wyzwaniem nie do uniesienia, widzimy hasła: „PiS = ciemność", „Rząd ściemnia miasta", „Polacy okradani przez państwowe spółki". To, co mówią włodarze, sprowadza się do stwierdzenia: nigdzie nie jest napisane, że samorządy mają sprowadzać węgiel i nim handlować. A gdzie jest napisane, że rząd ma węgiel wozić? Infantylne i żałosne, a jednak smutne. „Kwestia węgla to sposób na to, by braki surowca czy wysokie ceny stały się w oczach mieszkańców winą władz lokalnych, a nie władzy PiS, słyszymy" – nadaje reporter. Nie ma wojny, obłędne ceny wzięły się stąd, że PiS rządzi i nie dość, że do nich doprowadził, to jeszcze wykorzystuje problemy do walki z opozycją. Ale to za mało, więc widzimy Tuska, który apeluje: „Byśmy nie dali się skłócić tej władzy, która chce napuścić obywateli na swoje samorządy". I bardzo to głupie jak żądania prezydenta Sopotu ustawowych gwarancji, że będzie węgiel, i to o określonej cenie. I infantylne jak apel prezydenta Wrocławia, byśmy „rozmawiali serio, poważnie traktowali Polaków".

> Nie chodzi o wartość merytoryczną przekazu, ale o budowanie atmosfery grozy. Trzeba się bać, bo świat się wali i jeśli PiS wciąż będzie rządził, to jak u Kononowicza – nie będzie niczego

Samorządy według TVN są wielokrotnie pognębione przez PiS. Nie dostają pieniędzy na: chodniki, ulice, obwodnice, szkoły, inwestycje, drogi, rozwój kraju, lokalny transport, zdrowie, zieloną energię, lokalną scenę, bibliotekę, miejsce spotkań, ocieplenie, remont. W kolejnym programie znów pojawiają się drogi, wodociągi, oczyszczalnie, transport zbiorowy, ochrona zdrowia, edukacja, pomoc społeczna, sale sportowe, baseny. Wiem, że wymienianie tego jest idiotyczne, ale powtarzam za relacjami o pieniądzach, które Bruksela chciałaby dać, ale PiS – tu znów pojawia się Tusk – nas z nich okradł. Ta historia ciągnie się w nieskończoność, więc w kolejnych odsłonach muszą się pojawić i umierający, bo nie ma pieniędzy na leczenie, albo zamarzający w szpitalnych salach skutych lodem.

Podpowiedź: jak ktoś chce zostać reporterem TVN, to na sucho może w domu poćwiczyć wymienianie tego, na co brak pieniędzy. Na buty, bułkę, pastę do podłogi, kino, ogórki, podwawelską, paluszki surimi, odświeżacz do ubikacji i ust x 2, mąkę, deskę do prasowania.

To niekończące się wymienianie ma jednak sens. Nie chodzi o wartość merytoryczną przekazu, ale o budowanie atmosfery grozy. Trzeba się bać, bo świat się wali i jeśli PiS wciąż będzie rządził, to jak u Kononowicza – nie będzie niczego. Ani pieniędzy z KPO, ani 24 mld euro z tzw. polityki spójności, bo PiS dopuszcza do dyskryminacji – tu reporter bredzi o strefach wolnych od LGBT+. Nie ma sensu analizować, bo tezy są proste i niezmienne: Bruksela dałaby pieniądze, ale PiS nie przestrzega prawa – ta sama opowieść od miesięcy, którą od dowolnego działacza opozycji można usłyszeć na pstryknięcie palcem.

Kiedy napisałem, że TVN nie da się oglądać, to niewiele przesadzałem. Niezbędne jest bowiem specjalne nastawienie. Rozumiem je i przyznam się, że sam jestem gotów cierpieć dla wyższych celów. Jeśli pogodzić się z tym, że zadaniem produkcji informacyjnych i publicystycznych TVN nie jest opowiadanie o świecie i objaśnianie go, tylko wykazywanie, że PiS jest zły, trzeba go pozbawić władzy, dostarczyć argumentów za tym, to da się znieść apokaliptyczny obraz, który nam rysuje. Trzeba uzmysłowić sobie, że nie ma programów informacyjnych, tylko impresyjne. Nie chodzi o przekazanie wiadomości, tylko o wykreowanie nastroju. Oglądam i cierpię, świadom, że to, co mi pokazują, jest niedorzeczne. Groza mnie ogarnia, gdy słyszę, w jakie klęski popadła moja ojczyzna, mam koszmary, ale trwam, bo wiem, że tam, gdzieś na końcu tunelu, ciemnej doliny, którą kroczymy, jest światło i zbawienie i ostateczne PiS do więzienia wsadzenie.

Reklama | 34/0922/F

eprasa.pl a7919b9646

IKONA WYGODY W TWOIM TELEFONIE

Aplikacja IKO ułatwia codzienne sprawy, nie tylko bankowe:

- płać Blikiem i przelewaj na telefon
- kupuj bilety komunikacji miejskiej, płać za parking czy autostradę
- korzystaj z ubezpieczeń np. AC/OC, domu, podróży
- wymieniaj waluty online

Bank Polski
dzień dobry

Pobierz IKO z oficjalnego sklepu z aplikacjami, w Twoim telefonie.

www.pkobp.pl, infolinia: 800 302 302 brak opłat dla numerów krajowych na terenie kraju; w pozostałych przypadkach opłata zgodna z taryfą operatora, +48 81 535 60 60 opłata zgodna z taryfą operatora.

Aplikacja IKO stanowi usługę bankowości elektronicznej. Bilety komunikacji miejskiej i opłaty parkingowe są usługami dostępnymi w wybranych miastach i realizowanymi przez operatora aplikacji moBILET. Usługa opłaty za autostrady świadczona jest za pośrednictwem PKO BP Finat. PKO Bank Polski działa jako agent ubezpieczeniowy. Szczegółowe informacje o ubezpieczeniach, w tym o ograniczeniach i wyłączeniach odpowiedzialności Ubezpieczyciela znajdują się w Ogólnych Warunkach Ubezpieczenia poszczególnych produktów dostępnych na www.pkobp.pl. Szczegóły dotyczące funkcji IKO dostępne są na iko.pkobp.pl.

eprasa.pl a7919b9646

Brutalny świat polskich Carringtonów

Niewyobrażalne pieniądze, przemoc domowa, orgie, zdrady i ogrom ludzkiego dramatu. To nie jest świat z produkcji Netfliksa. On istnieje obok nas, w podwarszawskim Konstancinie. Jest tak straszny, że aż nie do wiary, że prawdziwy

DOROTA ŁOSIEWICZ

Ten świat opisała w książce „Żony Konstancina" Ewelina Ślotała, prawniczka, architektka wnętrz, szerszej publiczności znana jako była partnerka piłkarza Jakuba Rzeźniczaka, która poznała Konstancin od podszewki, a raczej od strony luksusowych samochodów, obłędnie drogich strojów, zegarków i torebek. Po rozstaniu z piłkarzem Ślotała wyszła za mąż za grubą rybę biznesu, mieszkającą w luksusowej rezydencji w podwarszawskiej mekce polskich Carringtonów. Wejście w świat pozornie „z bajki" okazał się początkiem gehenny i przyjęciem brutalnych reguł, które zwykłym zjadaczom

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl a7919b9646

chleba wydają się wręcz nierealne. Wszyscy znamy powiedzenie, że pieniądze szczęścia nie dają. O tym, jak bardzo mogą zdehumanizować, Ślotała przekonała się na własnej skórze.

PO PIERWSZE – PIENIĄDZE

„Wyobraź sobie, że jesteś mną. Właśnie szofer odwiózł cię do domu, a konkretnie do 800-metrowej willi wartej 20 mln zł. Z bagażnika wyjmuje torby z zakupami. W godzinę wydałaś 100 tys. na rzeczy, których nie potrzebujesz i w których przez najbliższe dni będzie cię widywała tylko służba. Twoja czarna karta nie ma limitu, a prezenty od męża nigdy się nie kończą. Jesteś kimś, należysz do najbardziej elitarnej i hermetycznej grupy ludzi, wzbudzasz zachwyt i podziw. Masz wszystko do momentu, aż lukier z tortu spłynie na marmurową posadzkę. Tę samą, na której od wielu godzin leżysz – samotna, nieszczęśliwa, poniżona. Twoje usta zamiast słodką polewą są umazane krwią. A ty wierzysz, że na to zasłużyłaś, wierzysz, że jesteś nic nie warta. I że jutro będzie lepiej. Bo jesteś mną, żoną Konstancina" – te słowa z tylnej okładki w pigułce oddają treść publikacji. Ta książka jest przerażająca. I nie chodzi wcale o jej walor artystyczny. Być może mogłaby być lepiej napisana i lepiej zredagowana. Jest przerażająca, bo wydaje się dość wiernym opisem skrajnie zepsutego, patologicznego świata, w którym rządzi mamona i przemoc.

Rzućmy okiem na świat, który szkicuje autorka. „To prawdziwa mekka dla najbogatszych i najbardziej wpływowych mieszkańców Polski. Ulicami mkną najnowsze bentleye, mercedesy G AMG z tuningiem od Brabusa, lamborghini aventadory, porsche GT3 czy maserati, a w nich samce alfa. Oczywiście tym samym samochodem w tygodniu zwykle jeżdżą nie więcej niż dwa razy. Przecież każdy ma w garażu kilka takich cacek. A koszt jednego to minimum 1 mln zł. Prawdziwymi rekordzistami są konstancinianie, którzy mieli upolitycznionych rodziców – ich dawne kontakty ze służbami owocują do dziś. Z takim wsparciem miło się wygrywa najróżniejsze przetargi. Podobnie jest, gdy za przyjaciół ma się rosyjskich oligarchów – wtedy już tylko sky is the limit. Ich garaże wyglądają jak luksusowe salony samochodowe i gdyby nie to, że złota fura to obciach (a do tego może zwrócić uwagę skarbówki), stałyby tam same złotka. Królowe samców alfa jeżdżą limuzynami z własnym szoferem, a księżniczki muszą się zadowolić »matkowozami«, czyli popularnymi range roverami. Z luksusową tapicerką na zamówienie i felgami to koszt ok. 100 średnich pensji Polaka (licząc, że taka pensja to 5 tys. zł). Takimi autami wożą się tu wielopokoleniowe rodziny rodem z arystokracji, prominentni politycy, gwiazdy telewizji, projektanci mody, modelki, dziennikarze, jednak w większości prawdziwe rekiny biznesu. Śmietanka przedsiębiorców i strategów, którzy zajmują honorowe miejsca w Polskiej Radzie Biznesu. Brzmi luksusowo i snobistycznie? Tak. Ale spokojnie, obok nich jeżdżą też bogaci prywaciarze, byli ubecy oraz drobna gangsterka (choć nie za drobne tu mieszka). Dla każdego coś miłego" – czytamy w książce. Samochody są tylko dodatkiem do wielkich rezydencji, służby, wypadów na weekendowe zakupy do Paryża, Mediolanu czy Monako. I wielkiej samotności.

PO DRUGIE – ZDRADA

Bo za tą fasadą luksusowych marek i wielkich pieniędzy kryje się zdrada. „W Konstancinie niemal każdy szanujący się samiec alfa zdradza. I nie ma co na ten temat deliberować. Po prostu tak jest i już. Wiedzą o tym wszyscy, włącznie z żonami owych samców. Najwidoczniej tutejszy mikroklimat wyjątkowo wpływa na męską chuć. Dlatego konstancinian się nie pyta, czy mają kochankę, tylko ile ich mają i jak je ukrywają. Czy mówiłam, że w dobrym stylu jest mieć co najmniej dwie towarzyszki życia? A w najlepszym utrzymywać je, czyli kupić im po sympatycznym apartamenciku na Mokotowie albo Powiślu i co miesiąc robić przelew? Ale spokojnie, nie przekracza on 100 tys. zł miesięcznie. Samiec alfa pamięta, że kochanka to nie żona, a żony taką samą gażą znieważyć nie może. Dlaczego kobiety się na to godzą? Nie godzą się, ale nikt nie pyta ich o zdanie. Poza tym rolą kobiety w Konstancinie jest przede wszystkim nie przeszkadzać mężowi, więc jeżeli nadal chcesz nią zostać, to buzia na kłódkę. Najczęściej zdradzają samce z grupy B i C. Tych ostatnich nie stać oczywiście na gniazdko dla swojej towarzyszki, musi jej wystarczyć piękny widok z okna warszawskich hoteli, zaproszenie na kolację, ewentualnie jakaś mała torebeczka czy bucik z czerwoną podeszwą. Kochanka nie może mieć więcej niż 25 lat, musi wyglądać jak modelka, ale taka, w którą pan zainwestował trochę siana, i najlepiej, żeby raz na jakiś czas mógł pochwalić się nią w męskim gronie. Oczywiście wśród takich pań jest ciągła rotacja, a co za tym idzie – konkurencja" – opisuje Ewelina Ślotała.

PO TRZECIE – UŻYWKI I KAMUFLOWANA PRZEMOC

Wielkim pieniądzom i zdradom muszą oczywiście towarzyszyć psychotropy, alkohol i używki. Bez nich nie da się wytrzymać „idealnego życia" w Konstancinie. „Społeczeństwo jest przekonane, że bogacze wpadają w nałogi wyłącznie z nudy lub pragnienia uciech, a tak naprawdę ich skłonności biorą się z narcystycznej osobowości. Potrzeba bycia w centrum uwagi – zawsze i wszędzie – sprawia, że tylko sygnały wysyłane z zewnątrz, i to dość intensywne, są w stanie ich zadowolić" – pisze autorka „Żon Konstancina". I przekonuje, że w Konstancinie na porządku dziennym jest przemoc. A zdaniem Ślotały ta nie musi wiązać się wyłącznie z tzw. społecznymi dołami i tzw. patologią, żyjącą wyłącznie z pomocy społecznej. „Przemoc w konstancińskich kręgach jest zawoalowana i perfekcyjnie kamuflowana. Wszyscy wiedzą, że ma miejsce, ale nikt nie ma na nią twardych dowodów. Siniaki można doskonale zakamuflować, a z tych bardziej dotkliwych obrażeń jakoś się wytłumaczyć. Nigdy nikt nie zgłasza takich przypadków na policję. Ciekawe, że większość kobiet nie lubi przyznawać się do zabiegów medycyny estetycznej, ale jak mąż przetrąci im buźkę, wolą powiedzieć koleżankom, że były na prostowaniu nosa czy korekcie żuchwy. Konstancińskich mężczyzn, tych słynnych rekinów biznesu, w domu irytuje praktycznie wszystko. Narzekanie żony na kolejne zdrady, płacz dziecka. Jak coś nie jest przygotowane perfekcyjnie, pod linijkę,

eprasa.pl a7919b9646

według ich zamysłu, dyskusja przeradza się w kilkudniowy konflikt. Często wtedy wychodzą z nich prawdziwe bestie" – czytamy w książce.

„Wśród mężczyzn panuje przyzwolenie na przemoc, i to jest najbardziej szokujące – mówiła w jednym z wywiadów Ślotała. – Właśnie dlatego napisałam książkę, żeby pokazać to publicznie. Mężczyźni, którzy stosują przemoc, wcale się z tym nie kryją, wręcz czasami między kolegami sobie z tego żartują" – mówiła autorka w „Dzień dobry TVN".

„Zaczyna się od tego, że kobieta będąca po studiach, wykształcona, inteligentna, znająca języki słyszy od męża: »Kochanie, nie musisz pracować, ja dużo zarabiam, zajmij się dziećmi, zajmij się domem, czytaj książki, rozwijaj się«. A gdy już żona staje się ekonomicznie zależna od męża, wówczas mężczyzna pozwala sobie na więcej. Zaczyna się przemoc słowna, psychiczna. »Siedzisz w domu, jesteś nic nie warta, jesteś pijawką« – słyszy" – opowiadała m.in. o swoich doświadczeniach Ślotała.

PRAWDA CZY FAŁSZ?

Czy opisany świat jest prawdziwy? Nawet jeśli jakaś część książki jest literacką fikcją, a imiona bohaterów zostały zmienione, nie ma powodu, żeby nie wierzyć autorce, że świat, który opisuje, istnieje naprawdę. Zwłaszcza że nietrudno znaleźć w sieci ślady przemocy, jakiej doświadczyła sama Ewelina Ślotała. Zdjęcia twarzy zalanej krwią kobiety mrożą krew w żyłach. Z mediów dowiadujemy się, że architektka została wielokrotnie ciężko pobita przez męża. Pierwszy raz miał to zrobić w Hiszpanii, a później właśnie w willi w Konstancinie. Gdy wreszcie kobieta uciekła do Warszawy, zwróciła się o pomoc do detektywa Rutkowskiego. „Kiedyś mężowie bili żony, bo zupa była za słona. A teraz, bo futro było za drogie" – komentował Rutkowski.

W „Żonach Konstancina" jaskółką, która zwiastuje, że „książę", czyli mąż bohaterki, zamieni się w potwora, jest za ciasna koszula i... masło. „Jak mam teraz wyjść do tych ludzi? Wszyscy odjebani w metki od najlepszych projektantów, a mnie się guziki rozłażą na brzuchu. Miałaś dawać mi mniej masła na kanapki i używać majonezu light, kurwa! [...] Miałaś tylko jedno, kurwa, zadanie! Pilnować, żebym nie utył! I co teraz?!"

> Wielkim pieniądzom i zdradom muszą oczywiście towarzyszyć psychotropy, alkohol i używki. Bez nich nie da się wytrzymać „idealnego życia" w Konstancinie. Jest też przemoc, i to na porządku dziennym, jak przekonuje Ewelina Ślotała, autorka „Żon Konstancina"

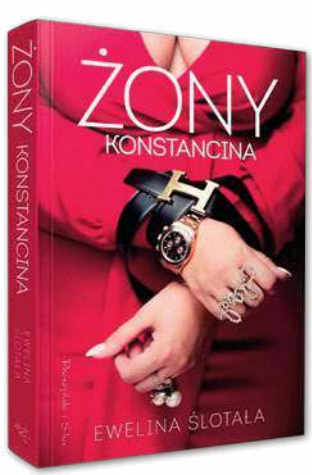

– wrzeszczy rozłoszczony samiec alfa, który kilka chwil później po raz pierwszy spoliczkuje żonę i wygoni ją w sylwestrową noc w sukni za kilkadziesiąt tysięcy złotych do lobby luksusowego hotelu w Paryżu.

„Pieprzona patologia. Cały Konstancin nadaje się tylko do tego, żeby spuścić na niego bombę" – podsumowuje w książce Betty, jedna z tytułowych żon.

BYŁA RZEŹNICZAKA

Gdy jednak przeglądam medialne przekazy na temat książki, trafiam głównie na relacje dotyczące Jakuba Rzeźniczaka. Nim Ewelina Ślotała trafiła do Konstancina, była partnerką piłkarza. Plotkarskie portale chętnie cytują kilka zdań z początku publikacji, opatrując je przyciągającymi tytułami: „Była partnerka Jakuba Rzeźniczaka o tym, co kobiety w nim widzą. Ujawniła intymne szczegóły z ich życia". Co takiego ujawniła Ślotała? „Kuba był bardzo dobrym człowiekiem i cudownym, podkreślam: cudownym kochankiem. Z perspektywy czasu rozumiem te tabuny kobiet, które za nim latają [...]. To aż uzależniające. A przy tym ma tyle gracji, wdzięku, fantazji... i traktuje kobietę jak księżniczkę. Do tego stopnia, że z uśmiechem wybaczamy mu kolejne zdrady. Wiem, co mówię, sama przymykałam oko na blond kłaki na naszej sofie. Ach, ten Kuba!" – pisze była Rzeźniczaka.

Dużo też w internecie opisów konstancińskiego blichtru i oszałamiającego bogactwa. Zdecydowanie mniej chętnie plotkarskie portale zajmują się już tym, co jest pod warstwą owego lukru, czyli brutalną przemocą w czterech ścianach luksusowych rezydencji. Na szczęście udaje mi się trafić na rozmowę w „Dzień dobry TVN" o problemie przemocy. Mam jednak wrażenie, że współprowadzący wywiad Andrzej Sołtysik rozmywa trafne i dobre pytania Anny Kalczyńskiej, jakby bojąc się, żeby Ewelina Ślotała nie powiedziała zbyt dużo, nie odsłoniła zbyt wiele. Wydaje się, że Ślotała powinna być pozytywną bohaterką feministek, ale trudno oprzeć się wrażeniu, że wszyscy omijają ją szerokim łukiem, nie do końca wiedząc, co z tym fantem zrobić.

Dlaczego kobiety Konstancina (i nie tylko) godzą się na taki los? Dla kilku bardzo drogich torebek, paru markowych sukienek, dobrych perfum, poczucia luksusu i komfortu? Ładne przedmioty, wystawne życie, smaczne jedzenie i drogi alkohol są warte tego bólu, upokorzenia i ludzkiego dramatu? Samodzielność może aż tak przerażać? Autorka książki zdecydowała się na rozwód i wyrwała z tego zaklętego kręgu. Dziś pomaga innym ofiarom przemocy. Jednak ten świat wciąż istnieje i nic nie wskazuje na to, by miał zniknąć i by ktoś miał zburzyć spokój podwarszawskiej elitki.

eprasa.pl a7919b9646

Strategiczna rola kolei w Polsce i na świecie

Holding Grupy PKP na targach InnoTrans w Berlinie

Targi InnoTrans to największe na świecie tego typu wydarzenie dla branży transportu szynowego. Odbywają się co dwa lata w Berlinie. Tegoroczna edycja targów trwała cztery dni i zgromadziła ponad 3 tys. wystawców z kilkudziesięciu państw świata oraz ponad 150 tys. gości. Na tym wydarzeniu nie mogło zabraknąć Polskich Kolei Państwowych, które – choć uczestniczą w InnoTrans od lat – po raz pierwszy wzięły w nich udział w nowej strukturze – jako holding Grupy PKP.

O tym, jak istotną rolę odgrywa Grupa PKP w strategicznych obszarach nie tylko w Polsce, ale i na świecie, uczestnicy targów InnoTrans mieli okazję przekonać się podczas wspólnej konferencji prasowej Krzysztofa Mamińskiego, prezesa zarządu PKP SA, i Ołeksandra Kamyszyna, prezesa zarządu Kolei Ukraińskich (Ukrzaliznycia). Prezesi podpisali wspólne oświadczenie o rozwoju, kontynuacji i zacieśnieniu współpracy, która ma przełożyć się na dalszy rozwój stosunków gospodarczych między Polską i Ukrainą.

Fot. Materiały PKP S.A.

Podczas tegorocznych targów InnoTrans w Berlinie spółki Grupy PKP akcentowały istotną rolę polskich kolei w europejskiej i światowej gospodarce. Ponadto Grupa PKP i jej honorowy gość – Koleje Ukraińskie – zadeklarowały chęć zacieśnienia i rozwoju współpracy

– Zbrodnicza agresja Rosji na Ukrainę postawiła w trudnej sytuacji nie tylko ukraiński naród, ale także nas. Musieliśmy znaleźć nowe rozwiązania, żeby odnaleźć się w nowej rzeczywistości. Kolej ukraińska zdaje ten trudny egzamin, ale również kolej polska zdała egzamin z solidarności – powiedział Krzysztof Mamiński. Przypomniał też, że Grupa PKP włączyła się do działań pomocowych na rzecz obywateli Ukrainy niemal natychmiast po wybuchu rosyjskiej agresji. Współorganizowała pomoc rzeczową i humanitarną, zapewniła bezpłatne przejazdy swoimi pociągami, udostępniła na dworcach kolejowych powierzchnię na potrzeby organizacji punktów pomocowych dla uchodźców.

Co ważne, działania na rzecz dotkniętej wojną Ukrainy i jej obywateli są i będą kontynuowane. Grupa PKP wraz ze swoim ukraińskim partnerem przygotowuje się m.in. do powołania spółki spedycyjnej w formule joint venture, której zadaniem będzie zapewnienie łańcucha dostaw towarów przewożonych z Ukrainy.

– Jesteśmy atakowani codziennie. Strona rosyjska bombarduje stacje, pociągi, a my musimy płacić także najcięższą cenę tej wojny, a więc ludzkie życie. Na dziś straciliśmy 244 kolejarzy, a 425 zostało rannych. Ale tak jak powiedział prezes Mamiński: zdajemy ten trudny egzamin. I jesteśmy wdzięczni za każdą pomoc, którą nam udzieliliście oraz udzielacie – powiedział Ołeksandr Kamyszyn.

Jak wielokrotnie podkreślał w rozmowach z dziennikarzami Krzysztof Mamiński, wojna na Ukrainie wyznaczyła zupełnie nowe wyzwania dla transportu kolejowego. Grupa PKP zdaje ten niezwykle trudny egzamin z powodzeniem. Nie byłoby to możliwe, gdyby nie jej silna pozycja i rozwój oraz stworzone ku temu warunki dzięki realizowanej polityce polskiego rządu. Kolej w Polsce po wielu latach odzyskała należną jej rolę. Świadczy o tym chociażby rekordowy wzrost liczby podróżnych wybierających ofertę narodowego przewoźnika, czyli wchodzącej w skład holdingu Grupy PKP spółki PKP Intercity.

Tekst powstał we współpracy z partnerem komercyjnym | 40/0822/F

eprasa.pl a7919b9646

Czy rozwód jest cool?

Historia romansu dwójki znanych prezenterów TVP doskonale wpisuje się w trwający obecnie w Polsce medialny i społecznościowy nurt, który można określić mianem promocji kultury rozwodu. Dlaczego tak się dzieje?

GORAN ANDRIJANIĆ

Mamy nową parę w świecie celebrytów. Ich historia już od dłuższego czasu nie opuszcza pierwszych stron tabloidów. To dziennikarz sportowy Maciej Kurzajewski i aktorka Katarzyna Cichopek, znane twarze z małego ekranu (razem prowadzą program „Pytanie na śnadanie" w TVP). Ich nowo odnaleziona miłość nieustanie łaskocze wyobraźnię czytelników polskich brukowców, a wszystko zaczęło się od jednej relacji z Ziemi Świętej dla dwójkowej audycji śniadaniowej.

Słynna para dołączyła do porannego programu z Izraela, gdzie razem podróżowali. Było to publiczne ogłoszenie związku, o którym do tej pory tylko spekulowano. Uśmiechając się, opowiadali o swojej miłości i szczęściu, nowym etapie w życiu, zamknięciu poprzednich oraz o tym, jak wielki wpływ na ich uczucia ma to wyjątkowe miejsce.

Opinia publiczna zawrzała. Nastąpiła lawina komentarzy, czego zresztą należało się spodziewać. Wiele osób podkreślało, że zarówno Cichopek, jak i Kurzajewski mają za sobą sakramentalne związki małżeńskie, które w oczach Kościoła są dalej ważne. I choć czasy nie są łatwe, cywilizacyjne presje spadające na społeczeństwo potężne, a człowiek zawsze ułomny, to nie wszystko zasługuje na oklaski. Są sytuacje, którymi epatować się nie powinno, w imię spraw ważniejszych niż wybory jednostek.

Dziwną sytuację skomentował ks. Janusz Koplewski, związany ze światem celebrytów, którego media nazywają spowiednikiem gwiazd. Wyrażając swoją sympatię dla pary, którą nazwał ludźmi utalentowanymi, stwierdził: „Ja bym się tak nie chwalił wiarą po tym, gdy rozbiło się sakramentalny związek, bo tu wiary zabrakło. Nie ma tu czego naśladować. I on rozbił małżeństwo, i ona".

AKCEPTACJA I WSPARCIE

Zostawmy na razie kwestię katolickiego sumienia celebrytów, bo każdy ma prawo do samodzielnego decydowania o tym, jak chce żyć. Zwróćmy uwagę na coś innego. Historia romansu dwójki znanych prezenterów TVP niestety doskonale wpisuje się w trwający obecnie w Polsce nurt medialny i społecznościowy, który można określić mianem promocji kultury rozwodu. Czyli sytuacji, w której rozwód – zjawisko społeczne, mające według wszelkich badań negatywny wpływ na społeczeństwo – staje się czymś akceptowanym, a ponadto wspieranym.

NARASTAJĄCE ZJAWISKO

Wszystkie dane pokazują, że liczba rozwodów w polskich rodzinach rośnie w ciągu ostatnich dwóch dekad. Bolesnym tego dowodem są spisy ludności. W 2011 r. 5 proc. Polaków przyznało się do rozwodu. 10 lat później w nowym spisie liczba ta wyniosła już 7,6 proc., co oznacza, że prawie 2,5 mln małżonków zakończyło swój związek rozwodem. Możemy się tylko domyślać, ile dzieci doświadczyło tej traumatycznej sytuacji.

CIERPIĄ DZIECI

Robert Skrzypczak, znany polski ksiądz i psycholog, wskazuje właśnie na ten społeczny aspekt konsekwencji rozwodów. – Trafiłem kiedyś na bardzo ciekawy raport zlecony przez administrację byłego amerykańskiego prezydenta Baracka Obamy, który pokazywał skutki pojawienia się pokolenia sierot porozwodowych. Dzieci wychowywane przez jednego z rodziców – najczęściej jest to kobieta, matka – mają o wiele gorsze wyniki w nauce, nie potrafią wykształcić trwałych więzi z najbliższymi, jest wśród nich częściej obecne zjawisko samookaleczania się i mobbingu. Nie wspomnę o narkotykach, alkoholu, pornografii. Również wyniki badań z ostatnich lat przeprowadzonych w Anglii pokazują, że zjawisko wychowywania dzieci przez jednego rodzica lub w związkach nietrwałych, nieuregulowanych prawnie z roku na rok narasta – mówi ks. Skrzypczak.

Psychologowie i analitycy na Zachodzie wskazują na całe pokolenia dzieci dorastających w rozbitych rodzinach od czasu rewolucji seksualnej. Doświadczenie dorastania z traumą rozwodu już dawno znalazło swój wyraz w kulturze popularnej, gdzie najlepiej wyrażane są nastroje i uczucia młodych ludzi.

Przykładów jest więcej, a jednym z najlepszych jest „Stay Together for the Kids" (Zostańcie razem dla dzieci), piosenka poppunkowego zespołu Blink-182 z 2001 r., w której wokalista i gitarzysta Tom DeLonge opowiadał o swojej traumie dorastania w takich warunkach. „Pewnego dnia wróciłem do domu, meble mojego taty zniknęły, mama płakała i w tym momencie wszystko po prostu wybuchło. Miałem 18 lat i siedziałem na moim podjeździe, kiedy wszystko się popsuło. Więc po prostu zebrałem wszystko z tamtego dnia i umieściłem to w piosence" – powiedział kiedyś DeLonge, dodając, że jego fani cały czas mu mówią, jak bardzo rozpoznają się w tym utworze. „Jesteśmy zniszczonym pokoleniem, to jasne" – powiedział przy innej

eprasa.pl a7919b9646

okazji muzyk, urodzony w 1975 r., który też się rozwiódł.

Wskazywanie na negatywne konsekwencje rozstania nie jest więc konserwatywnym moralizatorstwem, ale czymś, co powinno zainteresować każdą osobę, której zależy na społeczeństwie, w którym żyje. – Dzieci z rozbitych związków przeżywają rozbicie rodziny jako rozbicie świata, który miał sprzyjać ich rozwojowi – mówi nam ks. Robert Skrzypczak. I dodaje: – Pamiętam, jak byłem jeszcze duszpasterzem akademickim w warszawskim kościele pw. św. Anny i zbliżało się Boże Narodzenie. Wiele osób przeżywało ten czas pod wielkim stresem. Nie było to dla nich przyjemne doświadczenie, mimo że jest to święto kojarzone z ciepłem, rodzinnością. Czekało ich bowiem spotkanie z rodziną patchworkową, ojcem i jego nową narzeczoną, mamą i jej nowym partnerem, a jeszcze często koniecznością zapoznania się z jakimś nowym bratem lub siostrą. Okazuje się, że wielu młodych ludzi przeżywa ten czas właśnie w taki sposób. Spotkanie z poranioną rodziną jest dla nich tak trudnym przeżyciem, że próbują to przeżyć jako przykrą konieczność, by jak najszybciej spotkać się z przyjaciółmi przy wódce. Zapić sprawę – to reakcja na to, co boli.

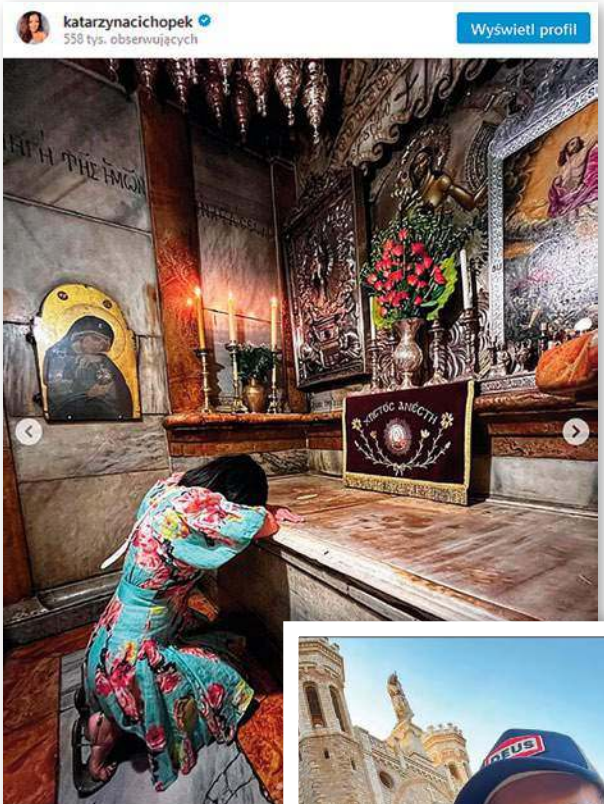

Fot. facebook/ Katarzyna-Cichopek

Fot. Katarzynacichopek/Instagram

CYWILIZACYJNA ZDOBYCZ

Jak to możliwe, że mimo tych konsekwencji, których wszyscy jesteśmy świadomi, tak mało o nich mówimy i akceptujemy rozwód jako coś normalnego? Ks. Skrzypczak ma na to psychologiczne wytłumaczenie. – Człowiek tutaj przeżywa efekt dysonansu poznawczego. Opisał to amerykański psycholog Leon Festinger. Przeżywając jakąś bolesną sytuację, mam dwa wyjścia. Albo uznam swoją własną pomyłkę i postaram się ją naprawić, albo będę próbował kanonizować całe zjawisko, utwierdzając się w przekonaniu, że jest ono dobre i ważne. Dzisiaj większość ludzi idzie w tę drugą stronę. Młodzi widzą w mediach swoich ulubionych celebrytów na czerwonych dywanach wciąż z nowymi narzeczonymi. Wierzą, że te przejściowe momenty to prawdziwe szczęście. Z kolei odpowiedzialność, powinność, wierność są traktowane jako jego zakwestionowanie, a zatem trzeba od tego uciekać. To jest paradoks, ponieważ z jednej strony badania pokazują same negatywne skutki niszczenia rodziny, a z drugiej jest promowany model chwilowego, efemerycznego szczęścia – wyjaśnia psycholog.

Akceptacja rozwodów ma oczywiście swoje korzenie w rozumieniu człowieka i jego wymagań jako najwyższego kryterium organizacji społeczeństwa i relacji międzyludzkich. Oświecenie i rewolucja seksualna to główne momenty, które przyspieszyły ten proces. I trudno się temu przeciwstawić. – Widać, jak się rozwijała zmiana mentalności i to, co na początku było dopuszczone jako wyjątek, przeobraziło się w regułę, a reguła w zdobycz cywilizacyjną, której dzisiaj nie damy sobie odebrać. Gdyby jakiś wydział uniwersytecki czy Kościół próbował zorganizować debatę nad sensownością rozwodów, byłoby to potraktowane jako napaść na prawa człowieka – mówi ks. Skrzypczak.

W tym wszystkim gwiazdy i ich zachowanie odgrywają dużą rolę i ponoszą odpowiedzialność za to, co promują.

Przytoczymy inny przykład z anglosaskiej kultury popularnej, który jest tego dowodem. Kiedy w 2011 r., po 27 latach małżeństwa, Kim Gordon i Thurston Moore, para grająca w kultowym alternatywnym zespole Sonic Youth, rozwiedli się z powodu jego niewierności, wielu zareagowało szokiem. Całkiem ciekawa reakcja, zważywszy, że w świecie kultury rockowej rządzą zasady „wolnej miłości".

Jednak pisarka Elissa Schappell z magazynu „Salon" napisała wtedy, że płakała na wieść o rozwodzie. „Cóż może być smutniejszego niż wiadomość, że ta para po 30 latach grania w zespole, 27 latach małżeństwa i 17 latach wychowywania dziecka podjęła decyzję o rozwodzie. Dopóki im się udawało, nam też się udawało. Dlaczego właściwie mieliby być inni niż cała reszta" – zapytała z gorzką ironią autorka. „Nie byliśmy inni" – odpowiedziała później Gordon, która próbowała uratować małżeństwo, niestety bezskutecznie.

Może lepiej byłoby pisać i rozmawiać o tych, którym udało się uratować swoje małżeństwa, zamiast oklaskami nagradzać zdradę w mediach? Dobrych przykładów w Polsce na szczęście jeszcze nie brakuje.

eprasa.pl a7919b9646

Nasz defekt narodowy

Kraje, które przeszły surowszy realny socjalizm, choćby Węgry czy Czechy, nie zdewastowały tak mocno swojego krajobrazu jak my. To nie jest więc tylko i wyłącznie wina ideologii, planowania nakazowo-rozdzielczego oraz gwałcenia własności, lecz także słabego zakorzenienia problemów estetycznych w świadomości obywatela

Fot. Andrzej Wiktor

Jacek Karnowski rozmawia z Czesławem Bieleckim, architektem, projektantem, publicystą

Najnowsza pana książka pt. „ArchiKod" to dzieło monumentalne. Jest podróżą po 72 miejscach, obejmującą zarówno miejsca bardzo znane, jak i mniej popularne, a czasem zupełnie nieistniejące w szerszej świadomości. A wszystko, o ile się nie mylę, krąży wokół pytania, dlaczego jedne przestrzenie są ładne, inne brzydkie, jedne nam przyjazne, a inne wprost wrogie.

Czesław Bielecki: Pytanie, które stawiam, brzmi: czy i dlaczego straciliśmy stulecie 1920–2020? To pewne, że zapomnieliśmy o pięknie, ale nie tylko dlatego. Zapomnieliśmy przede wszystkim, co jest podglebiem architektury, tym, na czym ona się rozwija. Zgubiliśmy rozumienie miejsca, własności, a także rozumienie znaczenia tradycji we współczesności. Bo przecież

eprasa.pl a7919b9646

walkę o nowoczesność prowadzono w bardzo wielu epokach, przede wszystkim w oświeceniu. Tam są początki modernizmu.

Ale oświeceniowy modernizm nie zabił tego, o co pan się upomina.

Bowiem problem polega na tym, czy w tym, co budujemy współcześnie, rozumiemy tradycję, z której wyrastamy, czy też próbujemy ją całkowicie przekreślić. W ostatnim stuleciu wpadliśmy w tę pułapkę. W „ArchiKodzie" pokazuję, jak często największe ikony architektury ostatniego stulecia kryły w sobie zalążek przyszłych klęsk.

Co konkretnie?

Walczyliśmy z chaosem, ze spekulacją nieruchomościami i rolą rynku w urbanizacji, a skończyliśmy na marnotrawieniu terenów budowlanych, planowanym chaosie i monotonii. Moderniści – na modłę faszystowską czy komunistyczną – byli totalistami. Wierzyli, że świat można kompletnie i naukowo zaplanować, że człowieka można stworzyć na nowo, a miasto jest rodzajem mechanizmu, którego logikę funkcjonowania właśnie odkryli. W swojej książce pokazuję, że miasto jest raczej organizmem, który wciąż na nowo próbujemy odczytać. „Urbanistyka buldożerowa" ostatniego stulecia nie sprawdza się i widać to w takich współczesnych miastach, jak Bogota czy Lagos. Nawet gdy metropolie rozwijają się żywiołowo w formie slumsów, okazuje się, że można je przekształcać, ponieważ jest w nich energetyczna tkanka ludzka i rodzą się prawdziwe wspólnoty.

To rozwiązanie dużo lepsze niż wyburzanie i budowanie zgodnie z tworzonym od nowa planem?

Tak, gdy w miejsce tych organicznych wspólnot przychodzi świat sztuczny, nawet gdy tworzy piękną grę brył w słońcu. Nieprzypadkowo granicę modernizmu i postmodernizmu wyznaczyło osiedle powtarzalnych bloków Pruitt-Igoe w St. Louis, zaprojektowane przez Minoru Yamasaki. Na początku lat 70. XX w. zostało wyburzone, ponieważ stało się siedliskiem przestępczości. Mieszkali tam Afroamerykanie przesiedleni ze slumsów.

Czytając „ArchiKod", można odnieść wrażenie, że „mówi pan Scrutonem", akcentując potrzebę zachowania pokory, umiaru, szacunku dla przeszłości. W takiej właśnie postawie ten brytyjski filozof widział ratunek dla naszego świata.

Jestem liberalnym konserwatystą, więc wiem, że trzeba bronić wolności, ale też rozumieć, w jaki sposób ta wolność wyrasta z własności, z tradycji. W krajach wolnych i demokratycznych również tradycję można kwestionować, interpretować, rozwijać. Od satrapii i ustrojów autorytarnych czy totalitarnych różni nas rzecz zasadnicza: zawsze zostawiamy sobie alternatywę i mamy możliwość wyboru.

> Trzeba zrozumieć, że we wspólnych rzeczach jest potrzebne przywództwo. Samorządowcy muszą wskazywać kierunki polityki przestrzennej. To nie jest sprawa tylko dla specjalistów. Oni mogą podpowiedzieć, jak coś zrobić, ale hierarchię celów – gdzie ma być plac, jakie funkcje mają pełnić okoliczne budynki, by naprawdę żył miejskim życiem – muszą wskazać liderzy

W książce prezentuje pan przede wszystkim główne ulice i place, większe założenia urbanistyczne. Czy zgodzi się pan, że to jest najsłabszy punkt polskiego myślenia o przestrzeni?

Wszystko wiąże się z pytaniem, jak tę całość, która jest miastem i służy wspólnocie, złożyć z części. Na to pytanie totaliści w ub.w. nie znaleźli dobrej odpowiedzi. Pokazuję, że zarówno w lokacjach miast średniowiecznych, czy to na prawie polskim, czy też na prawie niemieckim, jak i w XIX-wiecznej zabudowie w Paryżu, który Haussmann poprzecinał nowoczesnymi arteriami, zawsze było widać myślenie o tym, jak tworzyć całość – przestrzeń publiczną służącą wspólnocie. Składano ją z różnych elementów i stosowano różne chwyty, o których studentów architektury nie uczy się już od lat. Np. pl. Vendôme w Paryżu zbudowano w ten sposób, że sprzedawano segmenty jednorodnej, barokowej elewacji. To, co z tyłu, w głębi działki, nabywcy mogli zabudowywać z dużą dowolnością. Przestrzeń publiczna podlegała więc innym zasadom i rygorom niż przestrzeń prywatna. Ale i u nas można znaleźć przykłady tego typu myślenia. W książce „Gra w miasto" opisałem, jak na ul. Piotrkowskiej w Łodzi tylko ósma część elewacji kamienicy była przeznaczona na frontową identyfikację, a wszystkie podwórka miały zunifikowane okna, mimo że budowali je różni inwestorzy.

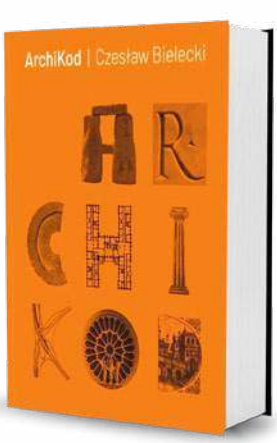

Dlaczego?

To kwestia ekonomii piękna. Dlatego, że to, co widzimy z podwórza, przez okno, jest drugorzędne, ma wymiar codzienny i praktyczny. Z kolei to, co widzimy na ulicy, co sprawia, że rozpoznajemy nasz dom, jest kluczowe: chcemy wiedzieć, które okno jest nasze. Wprowadziłem w obieg pojęcie „sausage architecture", czyli architektury kiełbasianej – takiej, którą można w dowolnym momencie przeciąć w pionie i w poziomie. Dziś

eprasa.pl a7919b9646

jest popularny minimalizm, ale moim zdaniem minimaliści nie do końca przeanalizowali doświadczenie modernizmu. Ruch nowoczesny marzył o szlachetnej prostocie, a skończyło się na prostactwie. Minimaliści znów uwierzyli w prostą powtarzalność, lakoniczność i jednolitość architektury, a kończy się to na wszechobecnej nudzie. W każdej epoce są pewne mody na konkretne detale, materiały, rozwiązania. Tym razem jednak mamy do czynienia z kultem mechanicznej powtarzalności, co jest niezrozumieniem techniki. Przecież maszyny pozwalają taniej i szybciej tworzyć skomplikowane formy. Moja książka kończy się przywołaniem metabolistów, grupy architektów japońskich, którzy projektowali utopijne miasta, próbując w nich łączyć myślenie o biologii z architekturą. Rysowali, a czasem budowali struktury obrośnięte wymiennymi kapsułami mieszkalnymi.

Udało się?

Nie tylko te elementy nie były wymienne, ale też szybko się zestarzały i budynki popadły w ruinę. Była to propaganda technologii, a nie nowa technologia budowlana. Pokazuję w „ArchiKodzie", jak różne warstwy budynków, różne części jego struktury żyją innym życiem i służą innym funkcjom, także publicznym. Funkcje się zmieniają, a formy architektury trwają.

W czasie spotkania promującego pana książkę na Forum Ekonomicznym w Karpaczu pojawiło się kilku samorządowców, którzy stawiali podstawowe pytanie: co robić? Pan odpowiadał, że potrzebna jest polityka przestrzenna, którą wypełni indywidualna aktywność.

Potrzebne jest projektowanie przestrzeni publicznej. We wszystkich miastach z przeszłości, które nas tak zachwycają, były regulacje mówiące o tym, jak ta wspólna przestrzeń ma wyglądać. Przytaczam przykład Lukki w Toskanii, gdzie na ruinach rzymskiego amfiteatru sparcelowanego przez mieszczan wyrosły kamienice różnej szerokości. Całość stworzyła jedność w różnorodności, bowiem podziały nieruchomości powtórzyły elipsę amfiteatru rzymskiego. Powstało coś niezwykłego, co do dziś zachwyca: pl. Amfiteatru. Tradycja potrafi trwać w bardzo różnych formach. Nawet zrównana z ziemią przez Niemców dzielnica żydowska w Warszawie odtworzyła się na planie ulic, częściowo tylko zmienionym. Miasto trwa, choć się zmienia, a jego kodem genetycznym jest sieć przestrzeni publicznej.

Od czego jednak ci samorządowcy mają zacząć? Próba narzucenia jakichkolwiek reguł, choćby estetycznych, często kończy się wielką awanturą.

Wiele osób nie rozumie, że własność nieruchomości jest czymś zupełnie innym niż własność ruchomości. Krzesło, obraz czy rzeźba to coś innego niż architektura, której życie rozgrywa się w przestrzeni wspólnej. Szaleńczy jest np. pomysł, że każdy obywatel będzie decydował o tym, czy na końcu ślepej ulicy będzie małe rondo, które pozwoli zawrócić karetce czy śmieciarce. Bezsens planowania w czasach komunizmu, z jego całym schematyzmem, nakłada się tu na polską anarchię. Trzeba zrozumieć, że we wspólnych rzeczach jest potrzebne przywództwo. Samorządowcy muszą wskazywać kierunki polityki przestrzennej, która nie może być puszczona luzem. To nie jest sprawa tylko dla fachowców i specjalistów. Oni mogą podpowiedzieć, jak coś zrobić, ale ogólną koncepcję i hierarchię celów – gdzie ma być plac, jakie funkcje mają pełnić okoliczne budynki, by naprawdę żył miejskim życiem – muszą wskazać liderzy.

> Czy chcemy, czy nie chcemy, Pałac Kultury i Nauki stał się intrygującym świadkiem historii. Moim zdaniem najlepszym rozwiązaniem byłoby zbudowanie w podziemiach pałacu muzeum upadku komunizmu. Mielibyśmy dwa w jednym: fasadę systemu oraz jego biedę na tyłach i lochy

Czy Pałac Kultury i Nauki należałoby wyburzyć?

Nie, ma za dużo funkcji do dziś użytecznych, ekonomicznie byłoby to nieuzasadnione. Szczęśliwie udało się przewyższyć go sąsiadującymi budynkami i nie dominuje już w sylwecie Warszawy. Oprócz tego, czy chcemy, czy nie chcemy, stał się on intrygującym świadkiem historii. Moim zdaniem najlepszym rozwiązaniem, o czym już wielokrotnie mówiłem, byłoby zbudowanie w podziemiach pałacu muzeum upadku komunizmu. Mielibyśmy dwa w jednym: fasadę systemu oraz jego biedę na tyłach i lochy. W mojej koncepcji, pokazanej publicznie w Muzeum Architektury we Wrocławiu, dawny Pałac Kultury i Nauki im. Józefa Stalina mógłby być ikoną triumfu i upadku systemu. Uważam, że planowany od lat plac miejski na miejscu pustyni pl. Defilad powinien nosić nazwę pl. Wolności. Ponieważ władze miasta ogłosiły konkurs na nazwy miejskich przestrzeni, zgłaszam właśnie tę nazwę.

Dla wielu Polaków PKiN – prezent od Stalina – jest jednak zbyt silną dominantą w przestrzeni miejskiej.

Ten gigantyczny stalinowski but w środku miasta miał zostać zhumanizowany właśnie przez zbudowanie przed nim placu miejskiego w ludzkiej skali. Niedługo miną 33 lata wolnej Polski. Gdy wlecze się – jak to w sektorze publicznym – budowa gmachu Muzeum Sztuki Nowoczesnej, wciąż nie wiemy, jaki jest pomysł na funkcję drugiej pierzei placu. To tak, jakby budować samochód z dwoma kołami. Skądinąd miasto i państwo, nawet gdy były w rękach tej samej partii, nie zdołały porozumieć się w sprawie rozbudowy i modernizacji tunelu średnicowego, który powstał w 1926 r. A był przejawem no-

eprasa.pl a7919b9646

Czesław Bielecki zaprojektował Muzeum Bitwy Warszawskiej w Ossowie. Budowa trwa

Fot. pracownia DIM

woczesnego, całościowego myślenia o mieście: mamy dzięki temu kolej, która bezkolizyjnie przejeżdża pod centrum. Jest nonsensem, że skądinąd konieczne zwężenie i zhumanizowanie Al. Jerozolimskich następuje przed poszerzeniem tunelu średnicowego, zanim rozpoczęto jego przebudowę. To plaster na paskudną chorobę, którą jest niesieciowe myślenie o mieście. Trzeba rozumieć sens miejsca i znaczenie lokalizacji – podstawę przekształceń urbanistycznych, znaną wszystkim deweloperom.

Czy w Polsce mamy szczególnie duży problem z kształtowaniem przestrzeni wspólnej, z szanowaniem krajobrazu, z owym archikodem?

To nasz wielki defekt narodowy. Kraje, które przeszły surowszy realny socjalizm, choćby Węgry czy Czechy, nie zdewastowały tak mocno swojego krajobrazu. To nie jest więc tylko i wyłącznie wina ideologii, planowania nakazowo-rozdzielczego i gwałcenia własności, także słabego zakorzenienia problemów estetycznych w świadomości obywatela. To jest rola, którą w II Rzeczypospolitej państwo i samorządy unosiły, mimo wszystko tworzono wzorce pozytywne. Dziś w większej skali – placów, bulwarów, dzielnic mieszkaniowych – tego nie robimy. Budujemy pojedyncze ikony, ale to za mało. Są co prawda architekci, którzy kontekst odrzucają albo twierdzą, że to oni go tworzą, ale to nieprawda. Każdy z nas jest gdzieś, wśród czegoś, nie przychodzi znikąd. W „ArchiKodzie" najczęściej występuje właśnie słowo „kontekst". Nieprzypadkowo pierwsze trzy rozdziały mojej książki mają tytuły „Miejsca", „Sieć" i „Życie". Miejsce jest ważniejsze niż architektura, ono trwa przez tysiąclecia.

Polska opinia publiczna lekceważy kwestie krajobrazowe, estetyczne, a one decydują przecież, często podświadomie, o postrzeganiu własnego kraju, o samoocenie narodowej i mają poważne konsekwencje.

Wjeżdżając do Lublina, widzimy ceglany kościół, który zbudowano w jakiejś dziurze. Nikt w przeszłości nie zbudowałby kościoła w zagłębieniu, między dwoma pagórkami. Wiedziano wówczas powszechnie, czym jest budynek monumentalny, czym jest budynek użyteczności publicznej. Powinniśmy też mówić, że nie jest właściwe, gdy instytucje publiczne wynajmują komercyjnie przestrzeń w wieżowcach, przyczepiają czerwoną tabliczkę z orzełkiem w koronie i mówią, że tu jest instytucja naszego państwa. To powinny być budynki, które współczesnym językiem architektonicznym interpretują historię, mówią coś o nas, o naszym rozumieniu tradycji, państwa, jego powagi. To, że nie umiemy tego robić, jest jakąś luką w myśleniu. I obywatelskim, i państwowym.

Po upadku komunizmu architekci zajęli się projektowaniem pojedynczych budynków, zarabianiem pieniędzy. Problem jakości przestrzeni publicznej podniosły dopiero ruchy miejskie, zakładane przez bardzo młodych ludzi, którzy uznali, że coś jest nie tak wokół nas.

To jest nasze wielkie niepowodzenie, że nie potrafiliśmy powiedzieć, na czym polega nasza rola. Kwestie natury użytkowej, funkcjonalnej, powinniśmy zostawić innym, przede wszystkim użytkownikom. My jesteśmy od tego, by to było wygodne, ładne, zgodne z triadą Witruwiusza: trwałość, użyteczność, piękno. Cała biurokracja nadzorująca urbanistykę zwraca tymczasem uwagę na wszystkie przepisy poza tymi, które decydują o ładzie i estetyce. Ten chaos, który mamy, mówiąc językiem Kisielewskiego, nie jest kryzysem, lecz rezultatem. Chorego systemu planowania i chorej praktyki administrowania przestrzenią.

Rezultat, który potrafi zasmucić. Okolice podwarszawskie, a także podkrakowskie są dewastowane postawionymi w szczerym polu wielkimi osiedlami, które są jak bomba atomowa dla okolicznych wsi.

eprasa.pl a7919b9646

Pokazuję w „ArchiKodzie", jak wielką rolę odgrywa komasacja własności i jej wtórna parcelacja. W jaki sposób dobre podziały własnościowe decydują o porządku. Nieruchomość trwa przecież znacznie dłużej niż budynek, owo „naniesienie", jak mówią geodeci. Np. w Warszawie mamy ulice, takie jak Hoża, Krucza, Wilcza, które są ulicami narolnymi, czyli takimi, na których mieszczanie ze Starego Miasta mieli w średniowieczu swoje pola. Dlatego te kwartały są tak głębokie i tak chaotycznie zagospodarowane. Podziały własnościowe przetrwały wieki.

Może warto wrócić do pomysłu lekcji estetyki, o których wspomniał kiedyś Jarosław Kaczyński?

Niedostatek wątków estetycznych w szkolnej edukacji jest dużą stratą. Później każdy googluje taką estetykę, jaką przesiąkł, poczynając od naszych polityków, i to wszystkich partii. W toku niedawnych konsultacji społecznych na temat przestrzeni publicznych w jednej z gmin usłyszałem od dumnych obywateli, że oni sami lepiej wiedzą, co jest ładne. Nastąpiło to po prezentacji, jak wygląda miasto ogród pod Londynem po stu latach od jego założenia. Nie kryli oburzenia, gdy odesłałem ich do okulisty. W przestrzeni prywatnej, na swoim podwórku, którego nie widzimy z zewnątrz, każdy może bałaganić dowolnie. Ale w przestrzeni publicznej właściwa władza ma prawo powiedzieć, co wolno, a czego nie. Bez tego nie ma ładu, harmonii, nie mówiąc już o pięknie.

Zaprojektował pan także Muzeum Bitwy Warszawskiej w Ossowie, które właśnie powstaje. Jaki był ogólny zarys pana koncepcji?

Wyszedłem od pytania, jak w tej pozbawionej jakiegokolwiek charakterystycznego rysu mazowieckiej wsi pokazać, że to tu właśnie nastąpiło najważniejsze w XX w. polskie zwycięstwo? I odpowiedziałem: wznosząc się ponad to, co banalne, pokażmy majestat krajobrazu – usypmy wzgórze, z którego znad mapy Europy, w tak stworzonej loggii widokowej, spojrzymy na pole Bitwy Warszawskiej. A już wchodząc do budynku, zobaczymy sens ówczesnego starcia cywilizacji. To była wojna dwóch światów. Piłsudski walczył z Leninem, który chciał przenieść pożar rewolucji do Niemiec, traktując Polskę jako cienkie przepierzenie między Wschodem a Zachodem. Nad nami, w wewnętrznym patio muzeum, niech zawiśnie samolot zwiadowczy polsko-amerykańskiej Eskadry Kościuszkowskiej, a rzeźby Magdaleny Abakanowicz wyznaczą wysoki ton, którym trzeba mówić w tym miejscu. Mamy tu uczyć żołnierzy i obywateli, jak zwyciężać, bo pomników naszych klęsk mamy pod dostatkiem. O taką wizję Ossowa walczę od pięciu lat. Czy rozumie ją inwestor? Niestety nie. A czy rozumie ją przeciętny człowiek? Tak, jest absolutnie oczywista dla każdego, kto zwiedza budowę i już dziś z tarasu na wysokości kilkunastu metrów ogląda pole bitwy i wyobraża sobie mapę Europy pod stopami. Wszystko rozumie, tym bardziej że za naszą granicą Ukraina walczy o wolność.

Ale przecież pana projekt wygrał i jest realizowany.

Architekt jest tylko głównym projektantem, łączy działania inżynierów, w tym przypadku kilkunastu branż. Gdy instytucjonalny inwestor, którym jest dyrektor Muzeum Wojska Polskiego, nie czuje się liderem przedsięwzięcia, nie zna dobrze projektu i nie rozumie swojej roli, praca staje się biurokratyczną męką. I dla budowniczych, i dla architekta. Nieprzypadkowo napisałem ostatnio ministrowi Błaszczakowi, w którego domenie rzecz się dzieje, że nie zbudowaliśmy przecież magazynu, któremu dopiero muzealnicy nadadzą docelowy sens. Nasza wizja memoriału Bitwy Warszawskiej wynika ze zrozumienia, czym było polskie przywództwo w 1920 r. i współdziałanie Polaków z Amerykanami, Ukraińcami, Francuzami. Wyrażamy to językiem przestrzeni, architektury, rzeźby. Wizja krajobrazowa i koncepcja aranżacji wejścia wyrasta z roli tego miejsca w polskiej historii. I ma mówić nie za pomocą haseł, ale – samym sobą.

> Nie jest właściwe, gdy instytucje publiczne wynajmują komercyjnie przestrzeń w wieżowcach i mówią, że tu jest instytucja naszego państwa. To powinny być budynki, które współczesnym językiem architektonicznym interpretują historię, mówią coś o nas, o naszym rozumieniu tradycji, państwa, jego powagi

Może politycy dostrzegają zagrożenia i potencjalne „bomby" interpretacyjne, których nie widzą artyści?

Największym zagrożeniem byłoby, gdyby młody człowiek, może cudzoziemiec odwiedzający Muzeum Bitwy Warszawskiej, musiał się wczytywać w gabloty, by zrozumieć, o co chodzi. A nasz inwestor nie napisał jeszcze warunków konkursu na wystawę z tymi gablotami. Jako architekt, który zwiedził dziesiątki współczesnych muzeów na świecie, skupiam się na tym, co widz ma zrozumieć natychmiast. Już stojąc przed wejściem i po chwili otwierając drzwi do Muzeum Bitwy Warszawskiej. To nie słowa, frazesy czy propaganda mają mówić, ale samo dzieło – architektoniczna interpretacja fenomenu tego zwycięstwa polskiego oręża.

Jak to się skończy?

Raczej maleją, niż rosną szanse na to, że uda się muzealnym urzędnikom wykastrować ten projekt, zniszczyć jego główną ideę. Są ludzie, i to bardzo wybitni, którzy mnie upewniają w tej myśli, od przewodniczącej komitetu wspierania budowy Zofii Romaszewskiej i historyka Andrzeja Nowaka po Michała Lorenca, Jana K. Kelusa i Urszulę Sikorską, inżyniera Stefana Assanowicza czy Jana E. Rościszewskiego. Na szczęście są w większości ci, którzy rozumieją, że dziedzictwo tej bitwy musi być żywą tradycją.

Reklama | 40/0922/F

eprasa.pl a7919b9646

accenture

Moving forward

Królicza nora Joe Bidena

Patrząc realistycznie, można zatem dziś odrzucić perspektywę amerykańskiego odwetu atomowego w przypadku ataku jądrowego na Ukrainie. I to jest konkluzja o bardzo dużych konsekwencjach

JAN ROKITA

Sławne już dzisiaj zdanie: „Это не блеф" (To nie blef), wypowiedziane niedawno z emocjonalnym naciskiem przez prezydenta Rosji, uruchomiło wielką publiczną debatę na temat reakcji na hipotetyczne użycie atomu przez Moskali w toczącej się wojnie. Zdanie to padło (jak wiadomo) przy okazji proklamacji drugiego już z kolei od 2014 r. rozbioru ukraińskiego terytorium. A ów emocjonalny nacisk, jaki Putin położył na te słowa, miał manifestować szczerość i autentyzm rosyjskiej gotowości użycia atomu, jeśli tylko okaże się to potrzebne do wygrania wojny na Ukrainie.

„ZWYCZAJNA BROŃ"

O tym, że jest to scenariusz najzupełniej realistyczny, pisałem na tych łamach kilka miesięcy temu, analizując znaną rosyjską wojenną doktrynę „силового сдерживания", czyli ograniczonego i ściśle kontrolowanego użycia siły, by przechylić na własną korzyść losy wojny toczonej przez Rosję.

Rzecz jasna ultrapatriotyczna retoryka o konieczności obrony Rosji przed atakiem wrogiego Zachodu, eksploatowana ostatnio z powodzeniem przez Kreml, może być świetnym propagandowym uzasadnieniem takiego kroku na użytek samych Rosjan, a także dla zagranicznych przyjaciół Moskwy. Warto jednak mieć na uwadze, że do wydania rozkazu użycia na ograniczoną skalę broni atomowej Putin nie potrzebuje ani żadnego zagrożenia swojego kraju, ani nawet (wbrew temu, co zwykło się sądzić w większości analiz) porażek militarnych na froncie ukraińskim. Taktyczna broń atomowa jest bowiem od lat traktowana w rosyjskiej doktrynie wojennej jako jeden ze zwyczajnych środków do zmuszenia przeciwnika do daleko idących politycznych ustępstw. Wedle takiej właśnie logiki Amerykanie użyli niegdyś atomu przeciw Japonii: nie po to, by ją zniszczyć, ale by zmusić jej rząd do wydania japońskiej armii rozkazu kapitulacji. Od tamtego czasu sposób myślenia Amerykanów o broni atomowej uległ zasadniczej przemianie, więc taka nuklearna demonstracja ze strony USA jest dziś wykluczona. Ale w Moskwie przyjęto i kultywuje się do dziś dnia tę starą amerykańską doktrynę atomową.

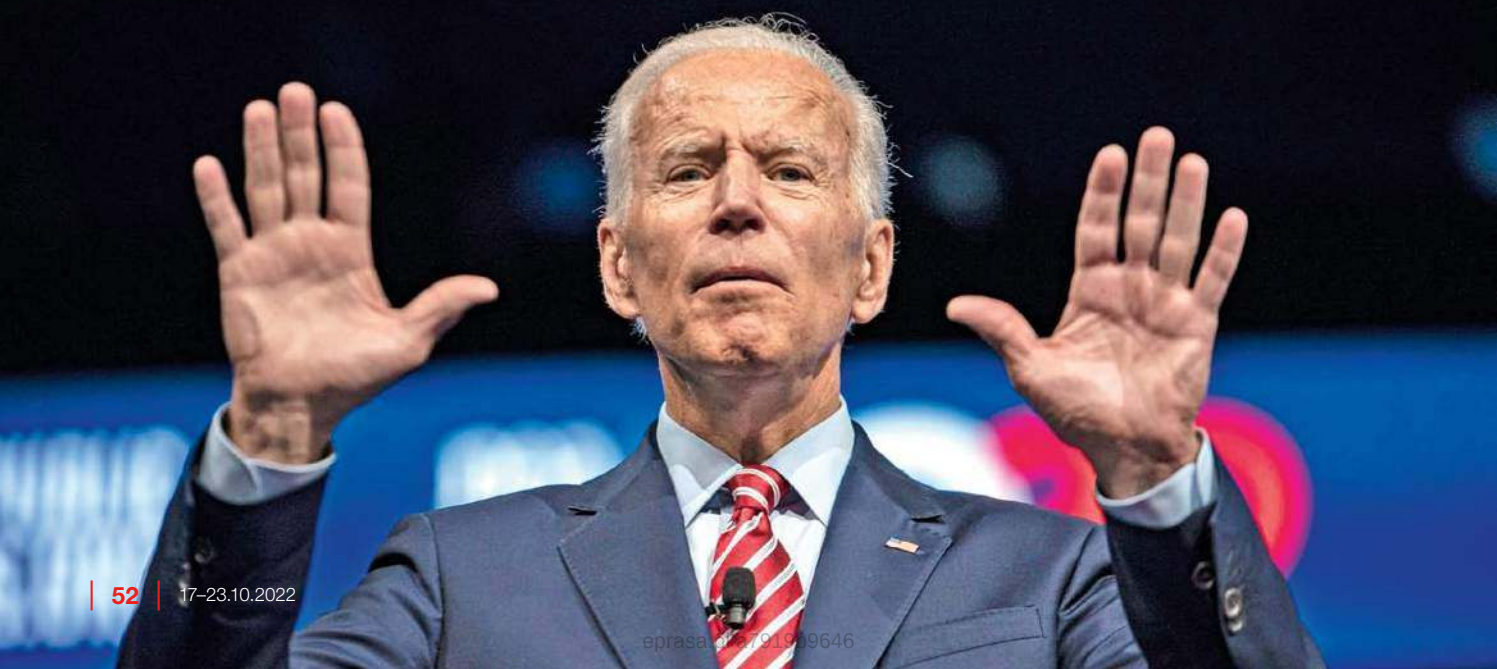

eprasa.pl/a791969646

Jeśli zatem armia rosyjska posłuży się teraz taktycznymi pociskami jądrowymi, to nie dlatego, że Putin jest w rozpaczy (co sugerują Ukraińcy w ramach swojej sprawnie robionej propagandy wojennej), ale po to, by złamać nieustępliwość ekipy Zełenskiego co do negocjacji pokojowych, które miałyby przynieść legalizację przez Ukrainę częściowego rozbioru jej terytorium. (Z naszych wspólnych dziejów polsko-rosyjskich dobrze wiemy, iż ten rodzaj legitymizacji i uznania aneksji terytorialnej był zawsze kluczowym żądaniem polityki rosyjskiej, jeszcze od niesławnego dla nas sejmu rozbiorowego 1773 r., z patetyczną figurą rozdzierającego szaty Rejtana).

ODWET NUKLEARNY?

Obawę co do takiego rozwoju zdarzeń – warto to przypomnieć – wyrażali już w kwietniu szef CIA William J. Burns, a nawet nadzwyczaj ostrożny sekretarz generalny ONZ António Guterres. Putinowska przestroga „Это не блеф" niczego tu tak naprawdę nie zmieniła. Ale z pewnością, w kontekście porażek militarnych ponoszonych teraz przez Moskali, stworzyła nową atmosferę, w której najważniejsi przywódcy Zachodu, a także czołowe media niemal każdego dnia rozważają prawdopodobieństwo wejścia atomu do gry oraz scenariusze reakcji Ameryki na taką ewentualność.

„Mamy faceta, którego znam dość dobrze" – mówi w tej nowej atmosferze Joe Biden na temat przywódcy Rosji. I dodaje: „On nie żartuje, gdy mówi o potencjalnym użyciu taktycznej broni jądrowej, biologicznej lub chemicznej, skoro jego wojsko – można tak powiedzieć – osiąga teraz znacznie gorsze wyniki". Amerykański prezydent nie tylko zatem przyznaje, iż atomowy scenariusz na Ukrainie traktuje jako całkiem możliwy, ale grozi również jego dalszymi konsekwencjami. Puentą wywodu Bidena jest to, iż nie ma łatwego sposobu na wykorzystanie taktycznych pocisków jądrowych o względnie niewielkiej mocy bez sprowokowania w ten sposób (jak mówi) armagedonu.

Biden celnie i odstraszająco uderza w ten sposób w samo jądro rosyjskiego myślenia o atomie. Jakby mówił: „Nie możesz go użyć tylko tak troszkę, po to by okazać twardość własnej woli i zmusić przeciwnika do uległości. Skoro bowiem zrobisz pierwszy, mały w twoim mniemaniu, jedynie demonstracyjny, nuklearny krok, to zmusisz Amerykę do odwetu". A tu właśnie rozpoczyna się ów Bidenowski armagedon.

Przyznam, że nie potrafię z pewnością ocenić, w jakim stopniu deklaracja Bidena jest twardą grą – czyli sprawną amerykańską propagandą, służącą ochronie Ukrainy – na podminowanie wiary rosyjskich wojskowych i samego Putina w „bezpieczny" wariant małego uderzenia jądrowego. W jakim zaś wyrazem – panującego od dawna w kręgu amerykańskiej lewicy – panikarskiego przekonania, wedle którego między wybuchem pierwszej małej głowicy nuklearnej a atomowym końcem świata jest już tylko krótka, prosta i nieuchronna droga. Obawiam się jednak, że własny strach Bidena i jego ludzi jest tu niemal z pewnością czynnikiem ważniejszym niż niezłomna wola straszliwego odwetu, na który dzisiejszy polityczny Waszyngton bynajmniej nie jest zdecydowany.

Zresztą ta sytuacja hamletyzowania i płynności, gdy chodzi o odwet nuklearny, nie jest w amerykańskiej polityce żadną nowością. Co prawda po Hiroszimie i Nagasaki rzecz wydawała się Amerykanom dość jasna, ale tylko mniej więcej do początku lat 60. XX w. Ówczesną doktrynę amerykańskiej reakcji zdominowało podejście słynnego generała Curtisa LeMaya, który jako dowódca bombowców na Marianach dowodził atakiem atomowym na Japonię. Ponoć mówił on kolejnym prezydentom: „W razie ataku musisz po prostu zbombardować wszystko". Więc na Moskwę miały spaść 23 bomby atomowe, a dziewięć na Leningrad. Jego następca generał Thomas S. Power miał wprawić w rozstrój nerwowy sekretarza obrony Roberta McNamarę (w rządzie Kennedy'ego), pytając go z tłumionym chichotem, czy ów aby nie ma jakichś znajomych w komunistycznej Albanii, gdyż ze względu na jakieś wykryte tam

Fot. Marlin360/Shutterstock.com

REKLAMA 14/0522/F

SALTUS UBEZPIECZENIA

Ubezpieczenie na Życie SALTUS – Moje ŻYCIE

Chroń życie Swoje i Swojej rodziny.

Oferta dostępna dla Członków Spółdzielczych Kas

NOWOŚĆ

saltus.pl

Na szczęście są Ubezpieczenia!

eprasa.pl a7919b9646

pola radarów „będziemy musieli ją w całości wymazać". Te ponure anegdoty z tamtego czasu przytacza Fred Kaplan w wydanej dwa lata temu fascynującej książce „The Bomb", pokazującej, jak Ameryka w ciągu ostatnich siedmiu dekad próbuje bez skutku rozwiązać dylemat reakcji na uderzenie atomowe.

Od czasu Kennedy'ego rzecz nigdy już nie była później oczywista. A po rozpadzie Sowietów Dick Cheney, sekretarz obrony (w rządzie Busha seniora), zarządził cięcia w arsenale jądrowym, wychodząc z założenia, iż cały ów dylemat w nowym, liberalnym świecie staje się niemal absurdalny.

W 2016 r., w samej końcówce prezydentury Obamy i już po warszawskim szczycie NATO, gdy odstraszanie Rosji na nowo zaczęło wracać w modę, w Pentagonie i Kongresie została przeprowadzona gra wojenna, której sednem miało być wypracowanie odpowiedzi USA na atomowy atak na kraje bałtyckie. O ile wówczas wyżsi dyrektorzy w Pentagonie opowiedzieli się w większości za reakcją atomową Ameryki, to jednak ich sugestia szła w tym kierunku, by terenem odwetu nie była sama Rosja, ale jakiś jej bliski sojusznik. Stawiali na Białoruś (!). Z kolei w Kongresie wynik był jednoznaczny. Czołowi politycy obu partii zajmujący się kwestiami obrony odrzucili ideę atomowego odwetu. Nie tak dawno brytyjski „The Guardian" twierdził, że podobna gra odbyła się także w 2019 r., tym razem z założeniem, że nastąpił atak nuklearny na Ukrainę. Jej rezultatu nie znamy.

„RABBIT HOLE"

Zdaje się jednak, że zarówno amerykańscy wojskowi, z reguły emerytowani, którzy zabierają na ten temat publicznie głos, jak i sojusznicy USA nie bez racji zakładają, iż w przypadku Ukrainy nie będzie kontruderzenia atomowego. Idea, by zgodziła się na nie cała NATO-wska 30 (w tym Niemcy i Francja), jest oczywistą polityczną niedorzecznością. Ameryka musiałaby więc działać sama, co najwyżej z politycznym poparciem jakiejś grupy najbardziej zdeterminowanych sojuszników. To jednak charakterystyczne, że choć Biden występuje teraz z wizją armagedonu (celowo przy tym używając

Taktyczna broń atomowa jest od lat traktowana w rosyjskiej doktrynie wojennej jako jeden ze zwyczajnych środków do zmuszenia przeciwnika do daleko idących politycznych ustępstw

nieprecyzyjnej metafory zamiast politycznego konkretu), to nawet najwięksi proukraińscy „jastrzębie" spodziewają się jedynie reakcji konwencjonalnej.

Były szef CIA gen. David Petraeus rysuje wizję zniszczenia wszystkich rosyjskich sił zidentyfikowanych na Ukrainie, Krymie i Morzu Czarnym, a polski szef dyplomacji Zbigniew Rau postuluje, by odwet był nieatomowy, ale za to druzgocący.

Patrząc realistycznie, można zatem dziś odrzucić perspektywę amerykańskiego odwetu atomowego w przypadku ataku jądrowego na Ukrainie. I to jest konkluzja o bardzo dużych konsekwencjach. Skoro bowiem tak właśnie wyglądają dzisiejsze realia i skoro owych realiów są zapewne świadomi zarówno rosyjscy stratedzy, jak i sam władca Rosji, to znaczy, że amerykański potencjał nuklearny nie pełni już funkcji odstraszającej, przynajmniej gdy chodzi o zastosowanie taktycznej broni jądrowej przez Moskwę poza terytorium państw NATO. Prawdę mówiąc, wątpliwe też, by reguła odstraszania działała nawet w odniesieniu do ataku nuklearnego na NATO-wską Europę Środkową – w końcu gra wojenna z 2016 r. dotyczyła należących do sojuszu państw bałtyckich, a jej efekt był taki, jaki był. Jeśli zatem mimo wszystko na Kremlu obawiają się zapewne skutków Bidenowskiego armagedonu, to ma on kształt nie tyle odwetu atomowego, ile bezpośredniego użycia sił amerykańskich do obrony Ukrainy.

Petraeus otwarcie, a Rau nie wprost sugerują takie właśnie rozwiązanie na dziś dylematu atomowego, który Kaplan w swojej książce określa mianem psychologicznej „króliczej nory" amerykańskich prezydentów („rabbit hole"). Wciągnięcie Ameryki w wojnę, i to wbrew jej własnej woli, to jest dla Moskwy prawdziwe ryzyko małego uderzenia atomowego na Ukrainie. A zarazem krok, o którym marzy i do którego cały czas dąży opierający się agresji Kijów. I to jest również powód, dla którego rząd Bidena stara się teraz na różne sposoby przekonać Putina, iż w żadnym razie, nawet mała i kontrolowana demonstracja atomowa na Ukrainie, w pełni zgodna z rosyjską doktryną wojenną, mu się jednak najzupełniej nie opłaca.

Przypuszczalnie to będzie głównym tematem bezpośredniej rozmowy Putina z Bidenem na Bali w połowie listopada, jeśli istotnie miałoby dojść do tego spotkania przy okazji zebrania grupy G20. Może się to okazać najważniejsza rozmowa dwóch mężczyzn o polityce, która by się odbyła na świecie od początku obecnego stulecia.

Fot. Shutterstock

eprasa.pl a7919b9646

Start walki o schedę po Putinie

Rosyjscy politolodzy są zdania, że ten, kto zajmie miejsce Siergieja Szojgu, oczywiście jeśli uda się w związku z niepowodzeniami na ukraińskim froncie osłabić pozycję ministra obrony, ten ma szansę zostać namaszczonym na następcę Putina

MAREK BUDZISZ

Andriej Gruliew, deputowany do Dumy Państwowej z rządzącej formacji Jedna Rosja, członek komisji obrony, a przy tym generał rezerwy, złożył w prokuraturze oficjalne doniesienie, w którym domaga się śledztwa w sprawie tajemniczego zniknięcia z magazynów wojskowych w Kraju Zabajkalskim 1,5 mln sztuk mundurów zimowych. Może ich w ogóle nie było, ale „przejściowe trudności" z odzianiem i obuciem mobilizowanych żołnierzy są – jak się w Rosji uważa – jednym z powodów tego, że operacja ich wcielenia nie przebiega, jak powinna. Innego deputowanego, Jurija Szytkina, poruszyło to, że gdzieś w polach guberni biełgorodzkiej siły zbrojne zgubiły pociąg z 500 żołnierzami. Ten zastępca szefa komisji obrony nie przebierał w słowach, opisując los „potraktowanych jak bydło obrońców ojczyzny", którzy zostali pozostawieni sami sobie, bez pieniędzy, bez żywności, z bronią, która oficjalnie nie była im przydzielona, bo nie odnotowano tego w rejestrach. Na dodatek żołnierze mieli nie przejść żadnego – nawet krótkiego – przeszkolenia, nie powiedziano im, gdzie i po co jadą. Film, w którym relacjonowano ich sytuację, opublikował na platformie społecznościowej Telegram znany korespondent wojenny Rybar. Jego relacje subskrybuje w Rosji milion osób, a on sam jest jednym z coraz bardziej oddziałujących na rosyjską opinię publiczną niezależnych dziennikarzy wojskowych, relacjonujących przebieg wojny na Ukrainie. Mają oni wpływ nie tylko na to, co o „operacji specjalnej" myślą zwykli Rosjanie, ale również Władimir Putin, który chcąc dowiedzieć, jak rzeczywiście wygląda sytuacja na froncie, spotkał się z nimi latem na Kremlu.

LIDERZY PARTII WOJNY

Zdaniem dziennikarzy BBC, którzy przeprowadzili w sprawie porzuconych żołnierzy specjalne dochodzenie, cała sprawa jest prowokacją, fake newsem, który jest kolportowany i nagłaśniany przez środowiska i media powiązane z „kremlowskim kucharzem" Jewgienijem Prigożynem. Jeszcze od czasów rosyjskiego zaangażowania w Libii jest on skonfliktowany

Fot. Lomohov Anatoly / EastNews, Frederic Legrand - COMEO/Shutterstock, Zaid Saadallah / Shutterstock, Shutterstock

eprasa.pl a7919b9646

z kierownictwem resortu obrony, a obecnie w związku z niepowodzeniami na froncie kreuje się na jednego z liderów umownej partii wojny w obozie rosyjskiej władzy.

Andriej Percew, dziennikarz portalu Meduza, który specjalizuje się w opisywaniu sytuacji w rosyjskim establishmencie, do tej grupy zalicza również Ramzana Kadyrowa z Czeczenii, który właśnie co otrzymał kolejny awans wojskowy i jest już generałem pułkownikiem, a także szefa Gwardii Narodowej Wiktora Zołotowa, przez złośliwców z racji swojej fizjonomii określanego też mianem Denaturatowa. W świecie rosyjskiej polityki z tą grupą są łączeni dwaj gubernatorzy – z Tuły, nadal rządzący tą prowincją Aleksiej Diumin, i z Jarosławia, były już szef tamtejszej administracji, a obecnie jeden z doradców Putina – Dmitrij Mironow.

Diumin, w przeszłości osobisty ochroniarz rosyjskiego prezydenta, od lat jest wymieniany jako jeden z „delfinów", możliwych następców rosyjskiej głowy państwa. Dziennikarze już wyśledzili, że zarówno Prigożin, jak i Kadyrow regularnie spotykają się z Diuminem i Mironowem i ich zdaniem dążą do obalenia, a przynajmniej osłabienia pozycji Siergieja Szojgu. Jeszcze w 2019 r. Kadyrow zamieścił w sieci wspólne zdjęcie z Diuminem, o którym napisał, że jest jego „starszym bratem". Rosyjscy politolodzy są zdania, że ten, kto zajmie miejsce Szojgu, oczywiście jeśli uda się w związku z niepowodzeniami na ukraińskim froncie osłabić pozycję ministra obrony, ten ma szansę zostać namaszczonym na następcę Putina.

Wybory prezydenckie mają odbyć się w 2024 r., Putin nie złożył jeszcze deklaracji, czy weźmie w nich udział, a spekulacje na ten temat są regularnie ożywiane powtarzającymi się doniesieniami na temat jego stanu zdrowia. Jeśliby zatem kończąca się kadencja była dla Putina ostatnią, to minister obrony kierujący armią, która na dodatek wygrałaby wojnę na Ukrainie, byłby naturalnym jego następcą. Dlatego próba osłabienia pozycji Szojgu, który – co warto przypomnieć – otwierał listę krajową Jednej Rosji w ostatnich wyborach do Dumy, może być wstępem do poważniejszej rozgrywki, której celem jest Kreml. Diumin, w przeszłości będący wiceministrem obrony, ma niezłą pozycję startową.

Ale oczywiście nie on jeden. Silnie zradykalizował się Dmitrij Miedwiediew, były prezydent i premier, a obecnie zastępca Putina w Radzie Bezpieczeństwa. Jeszcze przed wojną, jesienią ub.r., opublikował on wyjątkowo antyukraiński, nawet jak na rosyjskie standardy, artykuł, w którym politykę Zełenskiego porównywał do postępowania hipotetycznego „Żyda służącego w SS", a Ukrainę określał mianem „anty-Rosji", sztucznego tworu utrzymywanego przy życiu przez Anglosasów wyłącznie po to, by zniszczyć Federację Rosyjską. Ten radykalizm Miedwiediewa, o którym się w Rosji pisze w kategoriach polityka znajdującego się na bocznym torze, jeszcze się nasilił po porażkach na froncie, po Iziumie i po utracie Łymanu. Ale Miedwiediew nie jest jedyny.

> Scenariusz, który na Zachodzie, w tym i w Polsce, jest żywo dyskutowany, a mianowicie perspektywa obalenia rosyjskiego prezydenta przez jakąś niezadowoloną z jego polityki grupę, uznaje się za kompletnie nieprawdopodobny

Do umownej partii wojny zalicza się w Rosji również speakera Dumy Wiaczesława Wołodina, sekretarza generalnego Jednej Rosji Andrieja Turczaka czy najbardziej skrywającego się z nich wszystkich w cieniu – a nie wiadomo, czy niemającego największych wpływów – Siergieja Kirijenkę, zastępcę szefa kremlowskiej administracji, byłego premiera, dziś nadzorującego na Kremlu politykę wewnętrzną.

NOWY DOWÓDCA

Jak napisał Nikołaj Mitrochin, mieszkający w Bremie rosyjski politolog, bunt zaczął Kadyrow, po tym jak w sieciach społecznościowych oskarżył o nieudolność dowództwo sił zbrojnych. Precyzyjnie rzecz ujmując, czeczeński lider zaatakował gen. Aleksandra Łapina, dowodzącego Centralnym Okręgiem Wojskowym, a na Ukrainie odpowiadającego za obronę utraconego niedawno ważnego węzła komunikacyjnego – Łymanu. Kadyrow określił go mianem nieudacznika. Oficera, który swoją pozycję zawdzięcza nie umiejętnościom, lecz układom w Moskwie, próbującego dowodzić obroną wysuniętych pozycji, samemu siedząc bezpiecznie w Ługańsku, oddalonym o sto kilkadziesiąt kilometrów od frontu, a który swój sztab wysłał do Starobielska, oddalonego o 90 km w linii prostej od frontu. Co ciekawe, Łapin nie pozostał mu dłużnym i udzielił Kadyrowowi kąśliwej odpowiedzi. Za pośrednictwem blogera Tumsy upublicznił list, będący odpowiedzią na słowa czeczeńskiego lidera. Miał w nim napisać, że brał przykład właśnie z Kadyrowa, który swoimi oddziałami dowodzi z wygodnej kanapy w Groznym, a przecież już wielokrotnie miał zdobywać Kijów i planował atak na Polskę. Na dodatek, stwierdził, że „dzięki działaniom administracji Putina, która przekształciła kadyrowców w bezkarną wyższą kastę w Federacji Rosyjskiej", coraz bliżej jest „trzecia wojna czeczeńska". Niedługo potem w rosyjskich mediach zostały opublikowane zdjęcia Łapina, jak ten w polowym mundurze dowodzi rosyjskimi oddziałami na pierwszej linii, co też zostało odczytane jako ciąg dalszy tej „polemiki".

Jednak szok, którego doznała rosyjska opinia publiczna po sukcesie ukraińskiej ofensywy na Kupiańsk i Izium, a potem po utracie Łymanu, którego najlepszym przejawem był stupor telewizyjnych propagandystów, należało jakoś rozładować. W tym właśnie celu, jak się uważa w Rosji, Putin zdecydował się na ogłoszenie mobilizacji, co było pierwszym sukcesem „partii wojny", a następnie powołał dowódcę całej „operacji" ukraińskiej w osobie gen. Siergieja Surowikina. I to oceniane jest jako kolejny sukces zwolenników eskalacji. Zresztą zarówno Kadyrow, jak i Prigożin otwarcie pochwalili mianowanie Surowikina, który już w czasie tej wojny zapisał się w pamięci Rosjan jako zdobywca Siewierodoniecka i Lisiczańska, a uchodzi też za zwolennika niezwykle brutalnych

eprasa.pl a7919b9646

i bezwzględnych metod prowadzenia wojny. Nowy dowódca ma być gwarantem tego, że po tym jak na front dotrze 200 tys. zmobilizowanych i Rosjanie rozpoczną zapowiadaną ofensywę zimową, wówczas – jak niedawno oświadczył rzecznik Kremla Pieskow – uda się odbić utracone w ostatnich tygodniach tereny.

W obecnej rozgrywce na szczytach rosyjskiej władzy chodzi przede wszystkim o to, że nowy głównodowodzący będzie miał bezpośredni dostęp do Putina, który zdaniem brytyjskiego wywiadu sam podejmuje kluczowe decyzje w kwestiach związanych z wojną. Jeszcze za czasów operacji w Syrii w jednym z wywiadów prasowych Szojgu mówił, że codziennie jeździ na Kreml, by zdawać Władimirowi Władimirowiczowi relację z tego, jak przebiega operacja. Jeśli teraz raporty będzie składał Surowikin, to siłą rzeczy pozycja Szojgu osłabnie i może zacząć się rozgrywka o jego miejsce.

Już po ogłoszeniu mobilizacji Moskwę obiegły plotki o tym, że ze swoich funkcji zostali odwołani zarówno Szojgu, jak i Walerij Gierasimow, szef Sztabu Generalnego. Nie potwierdziły się one również z tego powodu, że Putin jest znany ze swojego konserwatyzmu, jeśli chodzi o dobór współpracowników, i niechętnie podejmuje radykalne decyzje. Jednak medialne relacje, które ukazały się po niedawnych ćwiczeniach w Dalekowschodnim Okręgu Wojskowym pokazały, że relacje między Putinem a duetem Szojgu – Gierasimow, delikatnie rzecz ujmując, nie są idylliczne.

ZWYCIĘSTWO PO TRUPACH

Jaką pozycję w tej rozgrywce zajmuje Władimir Putin? Farida Rustamowa, niezależna rosyjska dziennikarka zajmująca się opisywaniem sytuacji na szczytach władzy, wespół ze swoim współpracownikiem Maksimem Towkajłą na podstawie kilkudziesięciu rozmów z anonimowymi wyższymi urzędnikami zarówno z otoczenia premiera Miszustina, jak i z administracji Kremla pokusiła się o opisanie stanu nastrojów w rosyjskiej elicie.

Jej zdaniem scenariusz, który na Zachodzie, w tym i w Polsce, jest żywo dyskutowany, a mianowicie perspektywa obalenia rosyjskiego prezydenta przez jakąś niezadowoloną z jego polityki grupę, uznają oni za kompletnie nieprawdopodobny, wręcz będący bardziej wymysłem dziennikarzy niż realną opcją polityczną. Ich zdaniem w obecnej elicie w Rosji nie ma takiej grupy, co więcej, nie ma też ludzi, którzy byliby w stanie (gdyby chcieli) tego rodzaju przedsięwzięcie zaplanować, zorganizować i przeprowadzić. A to oznacza, że jeśli szeroko rozumiany obóz władzy w Rosji do czegoś się przygotowuje, to raczej do przedłużającej się wojny, która może eskalować również do poziomu konfliktu jądrowego. Dlaczego tak myślą? Z tej prostej przyczyny, że jak powiedział Rustamowej i Towkajle jeden z rozmówców ze szczytów: „Putin zawsze wybiera eskalację. A w przyszłości, jeśli sytuacja będzie się rozwijała według niekorzystnych scenariuszy, wybierze eskalację do poziomu użycia broni jądrowej".

Jedyną aktywną i zdeterminowaną siłą widoczną w rosyjskiej elicie władzy jest obecnie partia wojny, czyli ci, którzy chcą jej zwycięstwa za wszelką cenę. Siergiej Mironow, deputowany do Dumy i szef formacji Sprawiedliwa Rosja, a prywatnie przyjaciel Putina, napisał po ataku na most Kerczeński: „Rozumiemy, kto to zrobił i dlaczego. Przestańmy bawić się z terrorystami! Specjalna operacja wojskowa dobiegła końca. Czas na walkę – twardą, nawet okrutną". Putin może być zainteresowany, by tego rodzaju nurt zaczął odgrywać większą rolę w rosyjskiej debacie publicznej, bo to zarówno umożliwia mu zrzucenie odpowiedzialności za dotychczasowe niepowodzenia na kierownictwo Ministerstwa Obrony i Sztabu Generalnego, jak i wspiera jego naturalną skłonność do wyboru scenariusza eskalacyjnego.

Czy to oznacza, że umowna partia wojny zawładnie umysłami Rosjan? Nie musi tak być, ale na razie inni – zwolennicy zakończenia „operacji specjalnej" – czekają. Analitycy już zwrócili uwagę na to, że premier Miszustin unika publicznych wypowiedzi na temat przebiegu konfliktu, podobnie w zastanawiający sposób pasywny jest mer Moskwy Siergiej Sobianin. Zdaniem komentatorów czekają oni na swój czas, kiedy Rosja zostanie zmuszona do zawarcia pokoju, a po to, by ułożyć na powrót relacje z Zachodem, będzie potrzebowała na czele państwa polityka akceptowalnego, pragmatycznego, strawnego dla europejskich stolic.

A zatem na dwa lata przed kolejnymi wyborami prezydenckimi w Rosji mamy do czynienia z kształtowaniem się dwóch głównych stronnictw mających chęć zagrać o całą stawkę. Putin jeszcze nie odszedł i rozgrywka może dotyczyć jedynie tego, która frakcja będzie miała większe wpływy. Dla nas, jak się wydaje, najważniejszą jest kwestia, czy ewentualna zmiana na Kremlu może przyspieszyć zakończenie wojny, która dziś wydaje się konfliktem bez racjonalnego końca.

Shawn Cochran, który kilka lat temu wydał książkę poświęconą temu, jak kończą się wojny, napisał, że na podstawie analiz 85 przypadków historycznych, kiedy przywódcy walczących krajów musieli rozstrzygać dylemat, w jaki sposób zakończyć konflikt, udało mu się opisać cztery podstawowe modele reakcji. Cochrana interesowała sytuacja, która powstaje w rezultacie zmiany na szczytach władzy, bo dyktatorzy, którzy doprowadzili do wybuchu konfliktu, jego zdaniem rzadko kiedy go kończą. Nadzieje na to, że Putin zmieni swoją politykę i zacznie rozmowy pokojowe na warunkach innych niż korzystne dla Rosji, są w jego opinii niewielkie.

Ale co się stanie, jeśli Putin odejdzie lub zostanie obalony? Zdaniem amerykańskiego eksperta tylko w jednym na cztery scenariuszu jest możliwe, by jego następca zakończył wojnę. W pozostałych trzech raczej należy się spodziewać jej kontynuacji, a nawet eskalacji, tym bardziej jeśli do władzy dojdzie grupa krytykująca swoich poprzedników za nieudolne jej prowadzenie. Budowanie swojej pozycji na narracji o patałachach prowadzących wojnę czy nieudacznikach, jak opisuje obecnych dowódców Kadyrow, zdaniem Cochrana implikuje nie zakończenie konfliktu, ale jego przedłużenie. Może właśnie dlatego Putin, który zawsze skłania się do eskalacji, nie ma nic przeciw formowaniu się w Rosji partii wojny. Atakując siły zbrojne, wskazuje ona na winnego obecnej sytuacji i obiektywnie rzecz biorąc, wzmacnia nadwątloną pozycję rosyjskiego prezydenta. I nawet jeśli w związku ze stanem zdrowia czy innymi okolicznościami Putin będzie musiał odejść, to wówczas te ścierające się frakcje być może umożliwią promowanie kandydata zgody, młodego pragmatyka, sprawdzonego praktyka i patrioty w rodzaju Dmitrija Patruszewa, syna Nikołaja, wszechmocnego sekretarza Rady Bezpieczeństwa, a dziś ministra rolnictwa.

eprasa.pl a7919b9646

Azow: od ukraińskiego nacjonalizmu do Międzymorza

Pierwszy raz spytaliśmy ich o możliwość spotkania w pierwszym miesiącu wojny, w marcu. Przez długie miesiące odmawiali nam, konsultowali się z dowództwem, dawali nadzieję, by znowu odkładać rozmowę na nieprecyzyjne później. Wreszcie, po ponad sześciu miesiącach, spotkaliśmy się z nimi na dalekich tyłach frontu, w ścisłej tajemnicy

JAKUB AUGUSTYN MACIEJEWSKI

Najpierw jechaliśmy do jednej z wiosek położonej 20 km od miasta obwodowego. Tam na skrzyżowaniu przyjechał po nas samochód wojskowy i zabrał nas do jeszcze innej miejscowości. Nawet kupując kawę w wiejskim sklepie, nie mogliśmy na głos używać słowa „Azow", a żołnierze słynnego pułku uchodzili w okolicy za zwykłych szeregowych Zbrojnych Sił Ukrainy. Sławna jednostka musi dochowywać tajemnic wojskowych w sposób szczególny – cała potęga Federacji Rosyjskiej jest skoncentrowana na tej formacji jako uosobieniu zła, to Azow bowiem ma być „nazistowską osią kijowskiego reżimu". Ukraińscy cywile, którzy przeżyli okupację w obwodzie czernihowskim i kijowskim, opowiadali, że skośnoocy żołnierze najeźdźcy, którzy terroryzowali miejscową ludność, szukali na ich ciałach „faszystowskich" tatuaży i oznak azowców. W propagandowych gazetkach utożsamiano ich z hitlerowcami, którzy atakowali Związek Sowiecki w 1941 r.

2 sierpnia Sąd Najwyższy Federacji Rosyjskiej uznał ukraińską jednostkę za organizację terrorystyczną, co ma tworzyć w medialnym przekazie analogię – Ameryka walczyła z Al-Kaidą i dlatego zaatakowała Afganistan, więc Moskwa może sobie także wyznaczyć, kto jest terrorystą, i z tego powodu zaatakować sąsiada. Prasa Kremla już od początku wojny rozpisuje się o „nazistowskim reżimie" w Kijowie.

Skąd tak dzika nienawiść Rosjan do azowców? Odpowiada nam Dmitrij, doświadczony komandir słynnego pułku. – To proste, najlepsze jednostki wroga trzeba oczernić – tłumaczy. Faktycznie o jednostce jest głośniej niż o liczniejszych i równie bitnych formacjach. Obrona

Fot. Jakub Augustyn Maciejewski

kompleksu przemysłowego Azovstal w Mariupolu, która trwała do 20 maja, absorbując minimum 20 tys. rosyjskich żołnierzy oraz mnóstwo ciężkiego sprzętu, składała się nie tylko z azowców, ale też z żołnierzy obrony terytorialnej, piechoty morskiej, policji i wielu innych. Rosja jednak nie może w swojej propagandzie pisać, że wszyscy Ukraińcy są zawzięci i pełni poświęcenia, więc uosabia te cechy w pułku Azow i dodaje do nich przymioty hitlerowskie.

Tę czarną legendę ułatwiały pierwsze miesiące istnienia jednostki, wtedy jeszcze jako ochotniczego batalionu, który nie podlegał dowództwu ukraińskiemu. Wiosną 2014 r. prawicowcy w ramach nowo powołanej jednostki przez kibica i aktywistę Andrija Biłeckiego wsławili się gorliwą obroną Mariupola przed rosyjskimi separatystami i zielonymi ludzikami Putina. – To normalne, że do tak odważnych jednostek ściągają różnego rodzaju radykałowie – tłumaczy Dmitrij. Wspomina m.in., że do Azowa ciągnęli członkowie Prawego Sektora, czyli frakcji wielkiej antyrosyjskiej demonstracji Majdanu z przełomu 2013 i 2014 r. Mówiąc o tym ludzkim językiem, faktycznie osoby apolityczne, nieugruntowane światopoglądowo albo utożsamiające patriotyzm z podstawowymi obowiązkami obywatelskimi nie od razu rzucą się do – wówczas jeszcze słabo uzbrojonej – formacji, by wyprzeć z miasta rosyjskich separatystów i dywersantów. Radykałowie są odważniejsi, czasem fanatyczni.

Azowcy – najpierw batalion, dziś pułk – powołani w Berdiańsku nad Morzem Azowskim 5 maja 2014 r., mieli w swoich szeregach aktywistów odwołujących się do tradycji UPA, zaskakujących także głośnymi incydentami, jak w przypadku Ołeny Semeniaki, która będąc na politycznym zapleczu jednostki, została przyłapana na „hailowaniu". W tych środowiskach proniemieckie tendencje OUN-UPA nie były niczym wstydliwym, zwłaszcza że były kojarzone przede wszystkim z walką z Rosją i Związkiem Sowieckim. To warto podkreślić – azowcy rzadko kiedy mają jakąkolwiek wiedzę o rzezi wołyńskiej, za to z dumą opowiadają o walce z Armią Czerwoną oraz jednostkami NKWD, które zaczęły się w 1944 r., już po zbrodni na Polakach.

O stosunek do Stepana Bandery pytamy także naszego rozmówcę, tłumaczymy, jaką rolę on i jego ruch odegrali w historii Polski, zwłaszcza w okresie II wojny światowej. Dmitrij ciężko wzdycha. – Nie rozumiem, skąd tyle uwagi poświęca się akurat temu ukraińskiemu przywódcy, który większość II wojny światowej spędził w niemieckim zamknięciu.

Mundurowy ma na myśli lata 1941–1944, kiedy to lidera OUN-UPA zamknięto m.in. w obozie koncentracyjnym Sachsenhausen, choć mało kto wie, że ukraiński przywódca był trzymany w lepszych warunkach niż inni więźniowie tego obozu koncentracyjnego. Wbrew swojej własnej autolegendzie nie był odcięty od polityki, choć nie pozostawił pisemnych decyzji w sprawie działalności swojej organizacji. Azowiec nie uważa, by Bandera miał wielki wpływ na wydarzenia polsko-ukraińskiego pogranicza, zwłaszcza że – jak opowiada – „na tych terenach miały miejsce liczne konflikty, nie tylko o podłożu etnicznym". Ukrainiec stawia jednoznaczną tezę. – Na omawianym przez nas obszarze Niemcy i Rosjanie próbowali załatwić swoje ludobójcze cele nie swoimi rękami – komentuje. Takie spojrzenie potwierdzają konwencje międzynarodowe, np. haska z 1907 r., w której wyjaśnia się, że to okupant jest odpowiedzialny za porządek prawny i faktyczną sytuację społeczną na zajętym przez siebie terenie. W 1943 r. okupantem na skrwawionych terenach Wołynia i wschodniej Lubelszczyzny byli Niemcy. Komandir przypomina przesiedlenia ludności wiejskiej na tych terenach, które miały potęgować etniczne antagonizmy, ale o polskim ofiarach ukraińskich nacjonalistów trudno jest rozmawiać z mundurowymi, którzy potrafią długo opowiadać o antysowieckiej waleczności UPA, a polska karta jest u nich białą plamą. – U nas o tych ideach zaczęło się głośniej mówić w 2014 r., gdy trzeba było konsolidować się przeciwko Rosjanom – dodaje.

> Dmitrij ożywia się przy temacie innym niż ukraiński nacjonalizm czy rosyjska nienawiść. Zapytany o stosunek do Rzeczypospolitej wspomina... Józefa Piłsudskiego

Czy to te patriotyczne rysy są przyczyną większej zajadłości Azowu w obronie kraju? W maju widzieliśmy żołnierzy tej formacji na pozycjach między Iziumem a Słowiańskiem, ich okopy znajdowały się w jednym z najbardziej ostrzeliwanych wówczas miejsc, w ich oddziałach była też najwyższa śmiertelność spowodowana wybuchami rakiet, a jednocześnie był to niezwykle skutecznie broniony odcinek frontu. Z rozmów z azowskimi żołnierzami wynika, że zdają sobie oni sprawę z nienawiści, jaką żywią wobec nich Rosjanie. 29 lipca okupant ostrzelał kontrolowaną przez siebie wioskę Ołeniwka tylko po to, by zabić 53 obrońców huty Azovstalu, wśród których byli także żołnierze słynnego pułku. Świat nie uwierzył prowokacyjnym zapewnieniom, że to Ukraińcy zabili własnych ludzi. Gdy azowcy stali się wrogiem publicznym numer jeden rosyjskiego nazizmu, tym samym poziom determinacji ukraińskich żołnierzy wzmógł się we wszystkich aspektach wojny.

Dziś „prawicowe wojsko" jest równie propolskie, jak reszta społeczeństwa ukraińskiego. Dmitrij ożywia się przy temacie innym niż ukraiński nacjonalizm czy rosyjska nienawiść. Zapytany o stosunek do Rzeczypospolitej wspomina... Józefa Piłsudskiego i jego koncepcję Intermarium, czyli Międzymorza, którego połączone siły mogłyby przeciwstawić się i Rosji, i Niemcom. – Jako narody jesteśmy sobie najbliżsi, nie mamy innego wyjścia, jak albo przegrywać, albo działać wspólnie – przekonuje.

Pułk Azow powstawał w efekcie synergii ukraińskich polityków o nie zawsze czystym rodowodzie i prawicowców z różnych części kraju. Wojna, śmierć, a przede wszystkim rosyjska nienawiść zahartowały i sprawdziły azowców. Patriotyczna siła, zawziętość w boju z najeźdźcą i miłość do ojczyzny, głęboko ukryte przed okiem dziennikarzy i propagandystami wroga, dojrzewają do nowej rzeczywistości, także w wielkich polsko-ukraińskich planach.

Ostatni Bastion Rosji

Mafia Putina zdaje sobie sprawę, że w sytuacji twardej konfrontacji z Zachodem system Bastion jest jej jedynym i w zasadzie ostatnim narzędziem pozwalającym mówić o mocarstwowej i globalnej pozycji Rosji. Czym jest Bastion i dlaczego jest taki groźny? Z ***prof. dr. hab., kmdr. por. rezerwy Krzysztofem Kubiakiem***, historykiem wojskowości i politologiem, rozmawia Piotr Słabek

Możliwości przenoszenia strategicznych głowic nuklearnych są trzy. Obejmują rakiety wystrzeliwane z podziemnych silosów, bomby lub rakiety spuszczane czy wystrzeliwane z samolotów oraz rakiety odpalane z okrętów podwodnych. Jakie są możliwości Rosji w każdej z tych opcji?

Krzysztof Kubiak: Chciałem na wstępnie zdefiniować technicznie dwa typy uzbrojenia, o których będziemy rozmawiać. Rakieta balistyczna jest bronią strategiczną, ma zasięg 10–12 tys. km. W okresie zimnej wojny przenoszące je okręty były nazywane „city killers" (zabójcy miast). Pociskowi balistycznemu nadaje się taką prędkość, która umożliwi wejście w najwyższe warstwy atmosfery lub nawet poza nią. Rakietowy pocisk balistyczny porusza się po parabolicznej krzywej balistycznej ze szczytem w najwyższej, egzosferycznej warstwie atmosfery ziemskiej. Lot składa się z trzech etapów: fazy startowej – silniki rakietowe wynoszą pocisk na zadaną trajektorię, fazy środkowej – po wyczerpaniu paliwa rakietowego (bądź wyłączeniu silników) – oddzielone głowice poruszają się dzięki prędkości nadanej im w fazie startowej, oraz fazy powrotnej, w której siła przyciągania ziemskiego skierowuje pocisk ku ziemi i jego celowi.

Każdy z tych etapów cechuje się różnym czasem trwania, w zależności od zasięgu pocisku i jego założeń konstrukcyjnych.

Czas dolotu głowic z terytorium Rosji do USA i odwrotnie to ok. 15–20 min. Ta broń jest piekielnie trudna do zwalczenia.

W okresie zimnej wojny te 15–20 minut traktowano jak czas na podjęcie decyzji przez władze zaatakowanego kraju – czy dokonuje odwetu, czy nie. Równowaga w tym okresie była związana z przekonaniem o nieuchronności odwetu nuklearnego. Tą nieuchronność najbardziej gwarantowały atomowe okręty podwodne.

Pociski manewrujące to *de facto* bezzałogowe samoloty odpalane z okrętów podwodnych, wyrzutni mobilnych na lądzie, samolotów nosicieli. To broń o znacznie mniejszym zasięgu. Lecą na bardzo niskim pułapie, przytulone do ziemi, by było je trudniej wykryć. Mogą mieć zasięg do 2 tys. km.

Broń hipersoniczna to jeszcze inna kategoria uzbrojenia. Jest kilka razy szybsza niż dźwięk. To broń, która wyewoluowała z rakiet mających skrzydła. Wykrycie takiego pocisku przez radary jest praktycznie możliwe, ale czas reakcji systemów obronnych bardzo krótki. Czyni to ich zniszczenie niezwykle trudnym.

Jeśli chodzi o wyposażenie tymi pociskami okrętów podwodnych, to na razie ten projekt jest w fazie eksperymentu, choć technicznie zaawansowanego. Rosjanie przeprowadzili w 2021 r. pierwsze próbne odpalenie pocisku nazwanego Cyrkon.

Będziemy rozmawiać przede wszystkim o strategicznej broni jądrowej, o pociskach balistycznych. Mówiąc o tych kwestiach, cały czas poruszamy się w sferze tzw. białych danych czy informacji, które w sposób celowy zostały udostępnione przez państwa posiadające broń jądrową lub które są wynikiem bardziej lub mnie sterowanych przecieków.

Rosja dysponuje pełną „triadą jądrową". W tej chwili takie możliwości mają też USA, Chiny. Francja dysponuje samolotami z taktyczną bronią jądrową oraz okrętami podwodnymi, podobnie jak Wielka Brytania. Z kolei Izrael posiada okręty uzbrojone w pociski manewrujące, a Indie i Pakistan – samoloty i wyrzutnie naziemne

dysponujące głowicami jądrowymi. Być może Indie rozszerzą środki przenoszenia broń jądrowej o okręty podwodne z rakietami balistycznymi.

Najgroźniejszą bronią Moskwy są okręty podwodne uzbrojone w jądrowe rakiety balistyczne. Naziemne silosy z bronią jądrową są zlokalizowane i stosunkowo łatwo możliwe do zniszczenia. Podobnie jest z lotnictwem strategicznym przenoszącym broń atomową. Oczywiście samoloty mogą być przenoszone na zapasowe lotniska, część z nich może być w ciągłym pogotowiu w powietrzu, jak to się działo w czasie zimnej wojny. Jednak największym atutem są atomowe okręty podwodne ze względu na ich skrytość i trudność wykrycia oraz małą podatność na zniszczenie.

Rosjanie niedawno straszyli możliwością użycia potężnych torped z głowicami jądrowymi. Co wiemy o tej broni?

Rosja eksperymentuje z bardzo groźną bronią jądrową – z torpedą wyposażoną w głowice atomowe bardzo dużej mocy o zasięgu międzykontynentalnym. Taka torpeda jest szczególnie groźna, bo pocisk przemieszczający się w atmosferze, nawet jeśli robi to bardzo szybko, to wcześniej lub później zostanie wykryty. Głowica przemieszczająca się w toni morskiej jest praktycznie niewykrywalna. Niewiele wiemy o tej broni, są pewne kontrolowane przecieki ze służb wywiadowczych USA i pojawiają się informacje, że taka torpeda może mieć zasięg do 10 tys. km. Moc głowicy nuklearnej może sięgać do 1 megatony.

Mimo że porusza się z prędkością 200 km/h i dystans 10 tys. km pokonuje w 20 godzin, to ze względu na niewykrywalność jest potencjalnie niezwykle groźna. Przez wiele szumów w toni morskiej praktycznie jej odpalenie jest niemożliwe do wykrycia (nie ma tu np. punktowego wzrostu temperatury jak w przypadku odpalenia rakiety). Zmierzając do celu, przemieszcza się w toni morskiej bardzo cicho. W morzu jest olbrzymia ilość najrozmaitszych odgłosów (od śrub statków po pieśni wielorybów). Wyodrębnienie odgłosów charakterystycznych dla tej

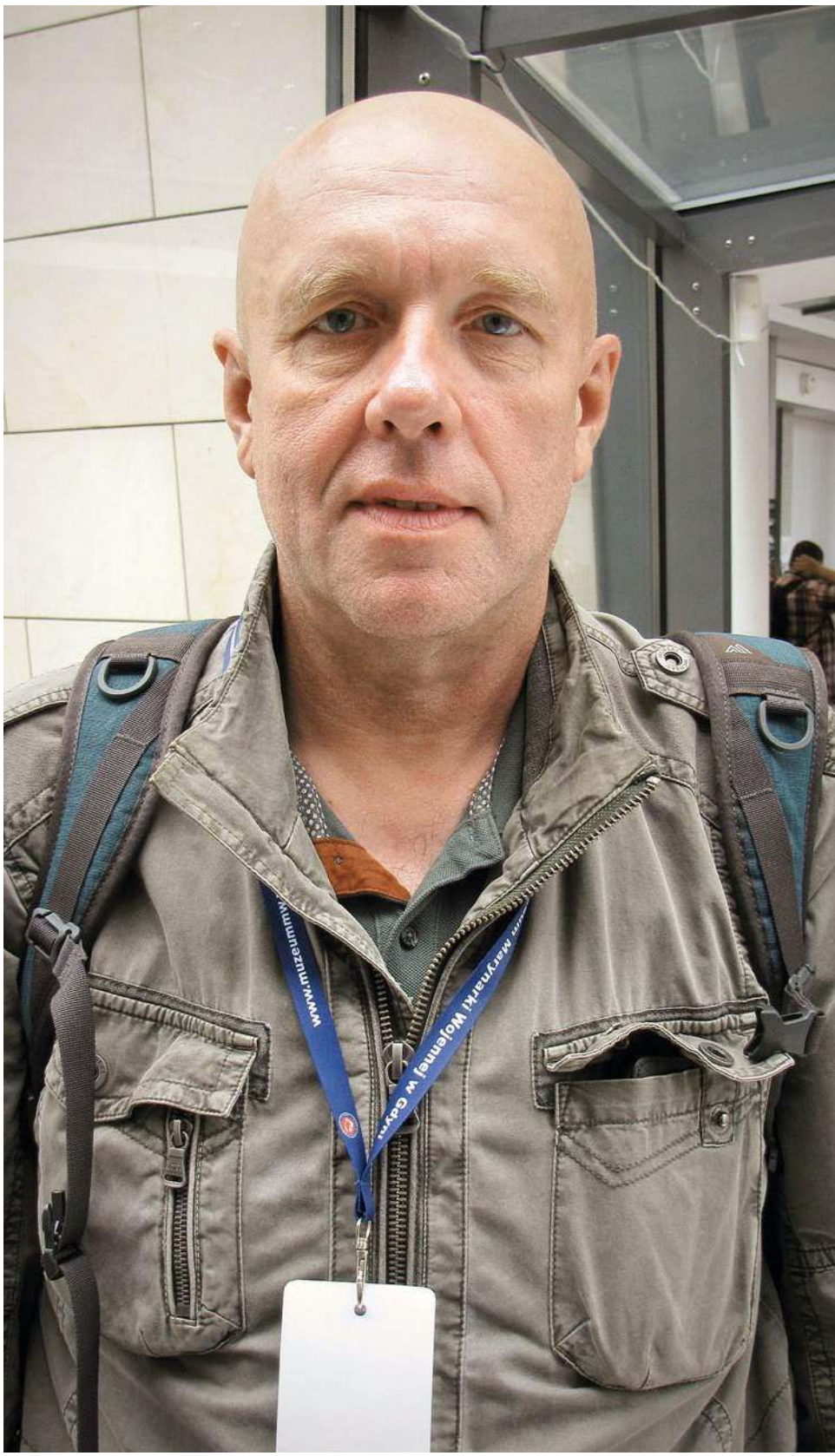

Fot. Domena Publiczna

eprasa.pl a7919b9646

torpedy jest niezwykle trudne. To tak jakby szukać śpiewu ptaka lecącego nad ruchliwą ulicą.

Według Amerykanów tego rodzaju uzbrojenie znajduje się w fazie eksperymentów lub prób poprzedzających wprowadzenie tej broni do arsenału sił zbrojnych. Pierwsze odpalenie dalekosiężnej (w rozumieniu międzykontynentalnym) torpedy o napędzie atomowym, która przenosiła głowice nuklearną, odbyło się w 2016 r.

W dyskusjach – trochę amatorskich – pojawiły się teorie, że tak duża moc głowicy może służyć powstaniu fal tsunami.

Czym jest system Bastion? Co wiemy o jego powstaniu? Jaką rolę odgrywa w rosyjskiej doktrynie wojennej?

Pierwsze sowieckie okręty podwodne nie miały napędu atomowego, a zasięg rakiet, którymi dysponowały, sięgał 2–3 tys. km. W związku z tym okręty te musiały po wyjściu z baz zbliżyć się do wybrzeży USA i tam zająć stanowiska ogniowe. Było to bardzo niebezpieczne i uciążliwe. Gdy opracowano atomowy napęd okrętów, a rakiety osiągnęły zasięg 10–12 tys. km – przemieszczanie ich w kierunku amerykańskich wybrzeży stało się zbędne.

System Bastion powstał dzięki możliwości odpalania rakiet balistycznych z okrętów podwodnych z rosyjskich wód przybrzeżnych. To, co wiemy o tym systemie, wynika bardziej z rekonstrukcji działań floty rosyjskiej niż z ujawnionych informacji na ten temat. Sprowadza się do tego, że atomowe okręty podwodne wychodzą z bazy i zanurzają się na Oceanie Arktycznym i zachodnim Pacyfiku. Tam są chronione przez rosyjskie konwencjonalne okręty podwodne o napędzie atomowym, uzbrojone w torpedy. Zadaniem tych jednostek jest wykrywanie i niszczenie okrętów NATO (przede wszystkim brytyjskich i amerykańskich, o francuskich nie ma pewnych informacji). Na system Bastion składają się również okręty nawodne i lotnictwo. Taki sposób ugrupowania sił – w centrum atomowe okręty podwodne z głowicami balistycznymi, chronione przez kilka kordonów innych sił – czyni bardzo trudnym wdarcie się do wnętrza tego chronionego obszaru i wyprzedzające uderzenie rakiet.

Bastion był jednym z największych wojskowych atutów strategicznych Sowietów i zachował swoje znaczenie w Rosji. Biorąc pod uwagę, że ten system jest ostatnią imperialną kartą, to jeśli w przyszłości pojawią się istotne cięcia w finansowaniu armii, to system Bastion będzie dotknięty nimi w ostatniej kolejności. Mafia Putina zdaje sobie sprawę, że w sytuacji twardej konfrontacji to jest jej jedyne i w zasadzie ostatnie narzędzie pozwalające mówić o mocarstwowej i globalnej pozycji Rosji.

Na jakim obszarze manewrują rosyjskie okręty podwodne mogące przenosić głowice atomowe? Jakie są to akweny, z jakich portów operują?

System został zorganizowany na akwenach Oceanu Arktycznego. Podobne rozwiązania wdrażano na Pacyfiku. To jest obszar rzędu, bardzo szacunkowo licząc, kilkudziesięciu tysięcy kilometrów na wodach północnych poniżej granicy lodu.

Granice Bastionu zmieniają się w rytmie pór roku, gdyż rakiety balistyczne odpala się standardowo z akwenów wolnych od zwartego lodu. Można więc bardzo orientacyjnie przyjąć, że Bastion rozciąga się od pól lodowych aż do 80–150 km na północ od Półwyspu Kolskiego.

Rosjanie mają dwa węzły bazowe przeznaczone dla tych okrętów. Pierwszy to Murmańsk i Zapadnaja Lica. W tym rejonie jest skoncentrowana główna część infrastruktury bazowej. Drugi arcyważny port dla „zabójców miast" to Władywostok na Dalekim Wschodzie. Jedyna stocznia w całej wielkiej Rosji, która jest w stanie przeprowadzać remonty i w pełni serwisować te jednostki, znajduje się na Dalekiej Północy, w Siewierodwińsku.

Co musi być spełnione od strony logistycznej, by system Bastion dobrze funkcjonował?

Atomowy okręt podwodny to jednostka właściwie o napędzie parowym. Reaktory wytwarzają parę, która napędza turbiny. Mamy więc rozwiązania techniczne o określonej, wyliczalnej trwałości. Obsługa okrętu podwodnego o napędzie atomowym wymaga takiego samego zaplecza jak każdego innego okrętu plus element dodatkowy, który pojawia się co kilka lat – choćby konieczność wymiany prętów paliwowych w reaktorze. Jest to dosyć złożona czynność, więc z kilkunastu okrętów z pewnością nie wszystkie są zdolne do wyjścia w morze. Kilka przechodzi remonty i przeglądy. Zatem konieczna jest stocznia mająca ekipę ludzi ze specjalnymi umiejętnościami oraz wyposażeniem i oczywiście ośrodki szkoleniowe przygotowujące załogi. Jak mówiłem, pełną obsługę zapewnia tylko jeden port na Dalekiej Północy. Poza tym potrzebne jest normalne zaopatrzenie dla floty, np. świeża żywność.

Ile obecnie okrętów podwodnych z głowicami balistycznymi posiada Rosja?

Takich okrętów ma 11. Wśród nich 1 zaliczany do grupy okrętów eksperymentalnych. Jeśli w służbie jest 11 jednostek, to tak naprawdę ma do dyspozycji nie więcej niż 4–5 okrętów. Prawdopodobnie jednak mniej. Były takie okresy w niedawnej rosyjskiej historii, gdy wiarygodność odstraszania nuklearnego utrzymywano przez stałą obecność na morzu jednego okrętu we Flocie Pacyfiku i jednego we Flocie Północnej. Z 11 przez krótki czas na morzu można pływać 5–6, a przez długi okres do 4 okrętów. Przyjmuje się, że rejs okrętu podwodnego w całkowitym zanurzeniu nie powinien być dłuższy niż 90 dni. Przebywanie kilkudziesięciu ludzi w zamkniętej i ograniczonej powierzchni przez tak długi czas stanowi duże obciążenie psychiczne.

Czy można śledzić, monitorować działania okrętów znajdujących się wewnątrz systemu Bastion? Czy postęp techniczny zwiększa te możliwości?

Nowoczesne rozwiązania techniczne, np. cyfrowa obróbka sygnałów akustycznych, na pewno wiele ułatwia, ale nadal toń morska jest bardzo mało przenikliwa, znacznie trudniejsza do

eprasa.pl a7919b9646

monitorowania i nadzoru niż przestrzeń powietrzna.

W okresie zimnej wojny starano się czegoś dowiedzieć dzięki barierom hydroakustycznym. Ich obecny stan to najbardziej strzeżone tajemnice mocarstw. Wiedza na ten temat jest oparta na nielicznych doniesieniach, w tym również pojawiających się w literaturze popularnej.

Na jakim etapie można zestrzelić pociski balistyczne odpalane przez okręty podwodne?

Teoretycznie najłatwiej je zniszczyć, gdy okręt podwodny wychodzi z bazy i manewruje na stosunkowo płytkich wodach, czyli zanim się zanurzy. Szukanie okrętu podwodnego na dużej głębokości jest bardzo trudnym zadaniem. Nie można mieć pewności, że się go wyśledzi.

Rosyjski okręt przenosi kilkanaście rakiet balistycznych. Najnowsze są uzbrojone w 16 rakiet typu Buława. Każda z tych rakiet może być uzbrojona w 10 głowic. Teoretycznie daje to możliwość odpalenia salwy złożonej z 160 głowic po 150 kiloton. Obecnie rakiety nie są uzbrajane w 10 głowic, każda rakieta przenosi 4–6 głowic bojowych. Według umów rozbrojeniowych nie powinna przenosić więcej niż 4, ale Rosjanie wiele umów nie traktują poważnie. To w sumie daje 64 głowice bojowe. Reszta możliwości jest wykorzystywana do przenoszenia głowic pozornych. W fazie lotu ku powierzchni odróżnienie głowic pozornych od bojowych nie jest jednak możliwe.

Sposoby zwalczania rakiet balistycznych są nader ograniczone. Amerykanie rozbudowywali od lat takie systemy, ale ich możliwości są w dużej mierze niewiadomą. Po zakończeniu zimnej wojny konstruowano je z myślą o ataku ze strony tzw. państw zbójeckich, czyli Korei Północnej i Iranu. Pełnozakresowa konfrontacja nuklearna była brana pod uwagę, ale opcję taką traktowano marginalnie. Ponadto są to bardzo kosztowne systemy, a każdy budżet obronny ma swoje ograniczenia.

Oczywiście pracuje się nad bronią laserową do zwalczania rakiet. Choć wyniki są zachęcające, to od zbudowania skutecznej laserowej tarczy antyrakietowej dzieli nas jeszcze wiele lat i wiele miliardów dolarów.

Czy są jakieś projekty NATO zmierzające do ewentualnego wyeliminowania rosyjskich okrętów podwodnych?

W tej materii mamy jedynie do czynienia z informacjami, które nie zostały potwierdzone oficjalnie. Wydaje się, że największe osiągnięcia w penetracji Bastionu mieli Brytyjczycy. Był swego rodzaju podział pracy między USA a Wielką Brytanią. Również ze względu na brytyjskie przepisy o ochronie tajemnicy prowadzenia i utrzymania tego rodzaju aktywności łatwiejsze dla Royal Navy niż Amerykanów. Ujawniono tylko śladową ilość danych na ten temat. Z przyczyn oczywistych obecnie kwestia ta nie jest podnoszona.

Wojna na Ukrainie pokazuje, że techniczny standard uzbrojenia rosyjskiego znacząco odbiega od możliwości NATO. Czy może być podobnie w przypadku systemu Bastion?

Putinowska Rosja odziedziczyła po Związku Sowieckim kilka nader obiecujących programów zbrojeniowych. Putin część z tych programów odkurzył. Choć zarówno broń hipersoniczna, jak i torpedy z głowicami jądrowymi znajdują się raczej w fazie eksperymentu. Nie zmienia to jednak faktu, że Rosja dysponuje bardzo niebezpiecznym potencjałem nuklearnym umożliwiającym prowadzenie globalnej gry.

W zasadzie poza sektorem energetycznym broń jądrowa pozostała jedynym atutem strategicznym Rosji. W sytuacji ekstremalnej na pewno Putin będzie brał pod uwagę posłużenie się tą kartą. Na ile się Rosjanie posłużą bronią jądrową, trudno powiedzieć. Przed 24 lutego spora część analityków uważała wojnę za mało prawdopodobną. Obecnie nie należy wykluczać żadnego scenariusza, choć nie wszystkie są jednakowo prawdopodobne.

Czy istnieje duże prawdopodobieństwo, że Rosja rozmieści broń jądrową na obszarach Ukrainy, które bezprawnie anektowała?

Tak. Dotyczy to rakiet średniego zasięgu. Już sama taka ewentualność jest – co oczywiste – próbą strategicznego szantażu i rozbicia jedności atlantyckiej. Rosjanie wszak nie bez przyczyny eksponują to, że w ewentualnym starciu Europa Zachodnia jest znacznie bardziej zagrożona niż Stany Zjednoczone. Nie zmienia to jednak faktu, że rakiety balistyczne, którymi można atakować z okrętów podwodnych, nadal pozostają w grze. I są ostatnim bastionem Kremla.

Krzysztof Kubiak *od niemal 20 lat jest związany z wyższym szkolnictwem wojskowym. Pracował w Dolnośląskiej Szkole Wyższej we Wrocławiu. Obecnie jest pracownikiem naukowym na Wydziale Prawa i Nauk Społecznych Uniwersytetu Jana Kochanowskiego w Kielcach. Ukończył Akademię Marynarki Wojennej i politologię na Uniwersytecie Gdańskim. Zainteresowania badawcze: bezpieczeństwo państwa, sztuka wojenna, konflikty zbrojne po 1945 r., szeroko rozumiana nautyka*

Fot. Domena Publiczna

eprasa.pl a7919b9646

Anioł z Wilna

Siostra Michaela Rak jest dziś chyba najbardziej rozpoznawalną Polką na Litwie dzięki swojemu dziełu, które przywraca godność wielu ludziom

Fot. Grzegorz Kiciński

GRZEGORZ GÓRNY

Dzień 28 września 2008 r. siostra Michaela Rak zapamięta na zawsze. Nie tylko dlatego, że wzięła udział w uroczystej mszy w Białymstoku, podczas której został beatyfikowany założyciel jej zgromadzenia bł. Michał Sopoćko. Także dlatego, że tego dnia przestała opierać się woli Bożej.

Do tamtego momentu przez trzy lata mówiła swoim przełożonym „nie", gdy chciały ją wysłać do Wilna. Wtedy doszło do niej, że jest wezwana, by nieść miłosierdzie do miasta, z którego wyszedł kult Bożego Miłosierdzia.

TRZY ZŁOTE

Przed wyjazdem na Litwę poszła na cmentarz w Gorzowie Wielkopolskim. Zaczęła się tam modlić i zwracać do dusz swoich dawnych podopiecznych. Przez 12 lat była w tym mieście dyrektorką Hospicjum św. Kamila. Ile osób umarło w tym czasie na jej rękach? Kiedyś liczyła wszystkie, ale po 5 tys. przestała. Prosiła wszystkich zmarłych w jej obecności o pomoc i wstawiennictwo przed Bogiem. Mówiła, że nie ma pieniędzy, nie mówi po litewsku, nie zna tamtejszych przepisów, a musi jechać, ponieważ czuje, że cierpi tam wiele osób, którym powinna pomóc.

Gdy wychodziła zapłakana z cmentarza, spotkała stojącą przed wejściem kwiaciarkę. Kobieta, słysząc, że siostra jedzie na Litwę, by zakładać nowe hospicjum, dała jej wszystko, co zarobiła przez cały dzień. Wsypała siostrze do ręki garść drobnych monet. Razem trzy złote.

W Wilnie Zgromadzenie Sióstr Jezusa Miłosiernego otrzymało od kard. Bačkisa zapuszczony, na wpół zrujnowany budynek. Okazało się, że była to dawna kapelania wizytek, w której przed wojną mieszkał ich założyciel – ks. Michał Sopoćko.

To właśnie tam miał swoją pracownię malarz Eugeniusz Kazimirowski i tam namalował on, pod kierownictwem siostry Faustyny Kowalskiej, znany dziś na całym świecie obraz Jezusa Miłosiernego. Zakonnice, gdy przejęły budynek, urządziły w tym pomieszczeniu kaplicę. Siostra Michaela położyła tam na ołtarzu trzy złote i powiedziała Jezusowi, że to wszystko, co ma, ale prosi Go, by pomógł jej zbudować hospicjum.

PROŚBA O ŚMIERĆ

Dziś Hospicjum im. bł. ks. Michała Sopoćki jest jedną z najnowocześniejszych placówek opieki paliatywnej w tej części Europy. Pozostaje też jedynym hospicjum stacjonarnym na Litwie. Do czasu przybycia zakonnic do Wilna w całym kraju nie było ani jednego miejsca, do którego mogliby trafiać chorzy w stanie terminalnym.

Siostra Michaela wspomina, że założyciel ich zgromadzenia nigdy nie wyznaczał zakonnicom konkretnych zadań, lecz powtarzał, by wsłuchiwały się w ból ziemi. Jeśli wsłuchają się w to cierpienie, usłyszą konkretne wezwanie. To właśnie usłyszała siostra Michaela. Jak mówi: „Nigdy w Polsce, choć w hospicjum pracowałam wiele lat, nie słyszałam, by ktoś prosił o śmierć. A tu na Litwie usłyszałam to już dwa razy".

Tu człowiek umierający znajduje się w pustce. Personel szpitalny przestaje go leczyć i traci nim zainteresowanie, ponieważ nie da się go uratować. Najchętniej by się go pozbyto, ponieważ zajmuje tylko łóżko, które jest potrzebne komuś innemu. Nikt nie zwraca uwagi na jego ból i samotność. Często odchodząc z tego świata, czuje się nikomu niepotrzebny i opuszczony. A przecież to kluczowy dla każdego człowieka moment przejścia stąd do wieczności. To ważne, z jakimi uczuciami opuszczamy ten świat: złorzecząc i przekli-

eprasa.pl a7919b9646

nając wszystkich dokoła czy pogodzeni z otoczeniem i pełni wdzięczności.

Na Litwie jeszcze na początku tego wieku chorzy w stanie terminalnym nie otrzymywali leków przeciwbólowych. Był to skutek odziedziczonej po czasach sowieckich opioidofobii, czyli niechęci do stosowania opioidów, by uśmierzać ból. W efekcie wiele osób konało w męczarniach. Niektórzy nie wytrzymywali i popełniali samobójstwo. Szczęście mieli ci, którzy dostąpili przed śmiercią łaski otrzymania kapsułki morfiny.

NOWE SŁOWO: „HOSPISAS"

Powołując do życia hospicjum, siostry natrafiły na niespodziewaną przeszkodę. Nie mogły zarejestrować placówki, ponieważ w języku litewskim nie istniało wyrażenie na określenie takiej instytucji. Litwini bardzo dbają o czystość swojej mowy, której używanie w przestrzeni publicznej reguluje Państwowa Komisja Języka Litewskiego. Musi ona zatwierdzić oficjalnie wprowadzenie każdego nowego wyrazu do słownika. Za użycie niepoprawnego słowa, np. umieszczenie go na plakacie, grożą surowe kary pieniężne.

Lokalne władze nie chciały zarejestrować hospicjum, proponując zamiast tego „przytułek" lub „zakład opiekuńczy", ponieważ takie wyrazy istniały w języku litewskim. Siostra Michaela nie dała jednak za wygraną, tłumacząc, że celem hospicjum nie jest przygarnianie odrzuconych, lecz zapewnienie ludziom nieuleczalnie chorym godnego odejścia z tego świata. Członkowie komisji dali się w końcu przekonać i przegłosowali wprowadzenie nowego wyrazu: „hospisas".

OSTATNIE MARZENIE

Nie zdarzył się jeszcze żaden przypadek, by osoba otoczona opieką hospicyjną poprosiła o śmierć. Jak mówi siostra Michaela: „Hospicjum powinno być takim domem, gdzie otula się samotnego w swym cierpieniu człowieka płaszczem miłości, dobroci i nadziei". Jeśli uznajemy, że każdy człowiek ma prawo do godnego życia, ma też prawo do godnej śmierci. Do opieki, zainteresowania, troski. Nie jest tylko ciałem leżącym w pościeli i zabierającym innym łóżko, ale żywą istotą ludzką, wrażliwą, odczuwającą, często przerażoną tym, co ją wkrótce spotka, być może niepogodzoną ze swoim życiem.

Siostrę do pomocy takim ludziom pcha motywacja religijna. Chrystus powiedział, że jest obecny w ludziach najsłabszych, najbiedniejszych, najbardziej potrzebujących. Dlatego w każdym chorym widzi ona twarz samego Boga.

Litewska kasa chorych pokrywa ok. 30 proc. wydatków hospicjum. Resztę środków na utrzymanie placówki zakonnica musi wyżebrać sama. Bo siostra Michaela ma zasadę: od nikogo z chorych nie bierze ani centa, ani od jego rodziny

Często dla umierających nie da się zrobić już nic więcej, niż spełnić ich ostatnie marzenie. Tak jak dla tej chorej na raka 16-latki, która pragnęła wyjść za mąż i być szczęśliwą żoną. Przed śmiercią poprosiła, że chce się przejechać białą limuzyną, taką, jaką zajeżdżają do ślubu młode pary. Zamówiono więc dla niej samochód, coca-colę, popcorn, zaproszono do przejazdu jej rodzeństwo, kolegów i koleżanki. Kiedy wóz podjechał, dziewczynka nie miała nawet siły, by wsiąść do środka. Poprosiła siostry, braci i znajomych, by przejechali się sami, a potem opowiedzieli jej o swoich wrażeniach. Była szczęśliwa, słuchając potem ich relacji. Kierowca limuzyny był tak wzruszony, że odmówił przyjęcia pieniędzy.

NADPRZYRODZONA NADZIEJA

Siostra Michaela ma zasadę: od nikogo z chorych nie bierze ani centa. Jeżeli rodzina pacjenta wysyła pieniądze na konto hospicjum, cała suma jest odsyłana z powrotem. Potrzebujący powinien otrzymać pomoc za darmo, bezinteresownie.

Litewska kasa chorych pokrywa ok. 30 proc. wydatków hospicjum. Resztę środków na utrzymanie placówki zakonnica musi wyżebrać sama. Chodzi więc do różnych ludzi, pisze listy, występuje w kościołach, apeluje w mediach. Dzieło przez nią stworzone jest świadectwem nie tylko jej wytrwałości, lecz także hojności i wspaniałomyślności całej rzeszy ludzi, znanych i anonimowych, bogatych i biednych, biznesmenów dających pieniądze i wolontariuszy oddających swój czas.

Każda śmierć w hospicjum wywołuje smutek, łzy i żałobę, ale nigdy rozpacz. Tym, co zostaje, jest nadprzyrodzona nadzieja, a nawet oparta na miłosierdziu Boga pewność, że po śmierci spotkamy się po drugiej stronie. Siostra Michaela, która każdego z umierających opatruje na ostatnią drogę szczególną modlitwą, czyli koronką do Bożego Miłosierdzia, wiąże tę nadzieję z obietnicą daną przez Chrystusa.

Św. Faustyna napisała, iż tekst koronki podyktował jej Jezus podczas objawień w Wilnie 13 i 14 września 1935 r. Mistyczka zanotowała słowa, które wówczas do niej skierował: „Odmawiaj nieustannie tę koronkę, której cię nauczyłem. Ktokolwiek będzie ją odmawiał, dostąpi wielkiego miłosierdzia w godzinę śmierci. Kapłani będą podawać grzesznikom jako ostatnią deskę ratunku; chociażby grzesznik był najzatwardzialszy, jeżeli tylko raz zmówi tę koronkę, dostąpi łaski z nieskończonego miłosierdzia mojego".

„Każdą duszę bronię w godzinie śmierci jako swej chwały, która odmawiać będzie tę koronkę albo przy konającym inni odmówią – odpustu tego samego dostąpią. Kiedy przy konającym odmawiają tę koronkę, uśmierza się gniew Boży, a miłosierdzie niezgłębione ogarnia duszę".

Czy można wyświadczyć większą przysługę osobom odchodzącym z tego świata?

eprasa.pl a7919b9646

Wawel pod niemiecką okupacją

Zamek, chociaż zmienił swoją funkcję użytkową, np. w skarbcu i zbrojowni urządzono kasyno dla oficerów, a w Sali Senatorskiej wykuto miejsce na projektor, nie poniósł nieodwracalnych strat

Z Haliną Billik, starszym kustoszem, pracownikiem Archiwum Zamku Królewskiego na Wawelu, rozmawia Piotr Słabek

Czy zgodzi się pani ze stwierdzeniem prof. Adolfa Szyszko-Bohusza: „Wawel zawsze tworzył odrębny świat sam w sobie. W tym mikrokosmosie jak w miniaturze odbijały się wszystkie zdarzenia historyczne polskie, nieraz będące jaskrawszą edycją tego, co spotkało potem całą naszą Ojczyznę"?

Halina Billik: Tak. Zgadzam się ze zdaniem profesora. Wawel był ośrodkiem władzy państwowej – siedzibą najpierw książąt, później królów polskich oraz władzy kościelnej. Tutaj początkowo swoją siedzibę mieli biskupi krakowscy, a w katedrze odbywały się koronacje, śluby i pogrzeby królewskie. Zachodnią część wzgórza zajmowało tzw. miasteczko wawelskie. Mieszkali w nim m.in. królewscy urzędnicy oraz katedralni kanonicy i wikariusze. Po utracie niepodległości katedra stała się miejscem budzenia świadomości narodowej. Pielgrzymowali do niej Polacy głównie z dwóch zaborów: austriackiego i pruskiego.

Po ogłoszeniu aktu 5 listopada 1916 r. w imieniu cesarza Niemiec Wilhelma II i cesarza Austrii Franciszka Józefa I, który zapowiadał utworzenie w przyszłości samodzielnego państwa polskiego na części ziem odebranych Rosji, 8 listopada w katedrze wawelskiej odbyło się uroczyste nabożeństwo odprawione przez biskupa Adama Stefana Sapiehę z udziałem m.in. Józefa Piłsudskiego, twórcy Legionów. Po odzyskaniu niepodległości Wawel

był miejscem podniosłych uroczystości państwowych i religijnych.

Szyszko-Bohusz jako były żołnierz, ochotnik 6. pułku Legionów Polskich, wspomagał walczących o niepodległość, o czym świadczą wspomnienia jednego z legionistów: „Rydz-Śmigły udaje się do Krakowa i tam tajnie, na Wawelu, w lokalu udzielonym przez prof. Szyszko-Bohusza – urządza swą kwaterę".

Poparł prośbę Komendy Wojskowego Archiwum Legionów Polskich o umieszczenie Archiwum i Muzeum Legionów Polskich na Wawelu w dawnym budynku szpitala garnizonowego.

Jakie funkcje na Wawelu w przededniu rozpoczęcia wojny pełnił prof. Adolf Szyszko-Bohusza i jaką rolę odegrał w czasie okupacji?

Adolf Szyszko-Bohusz został powołany na stanowisko kierownika odnowienia Zamku Królewskiego na Wawelu w 1916 r. Pozostawał na tym stanowisku do rozpoczęcia II wojny światowej w 1939 r.

Po zajęciu Wawelu przez okupantów niemieckich skontaktował się z prezesem Akademii Umiejętności prof. Stanisławem Kutrzebą z pytaniem co ma robić. Kutrzeba polecił mu pozostać na Wawelu.

Został zatrudniony w powstałym biurze architektonicznym działającym na Wawelu pod kierunkiem Franza Koettgena i Edgara Horstmanna jako rysownik, a w istocie konsultant i projektant.

Jak pisze Szyszko-Bohusz: „W dniu 17 marca zgłosił się do mnie »architekt« Franz Koettgen, który przedstawił mi się jako członek spółki architektonicznej Koettgen i Horstmann, której Frank oddał kierownictwo wszystkich robót, jakie mają być wykonywane na zamku. Jak się okazało później, Koettgen był »reisenderem« z branży odzieżowej jednej z firm konfekcji męskiej w Kolonii. Horstmann zaś, spokrewniony z Frankiem – absolwentem średniej szkoły przemysłowej. Ci oto dwaj »architekci«, którzy przez cały czas ich pracy na Wawelu nie zrobili ani jednego rysunku, mieli powierzoną sobie przebudowę Wawelu.

Fot. Domena publiczna

eprasa.pl a7919b9646

Koettgen, czując dobrze, że nie dorośli oni do tej pracy, zaproponował mi posadę rysownika w ich prywatnym biurze, specjalnie zorganizowanym dla Krakowa...".

Starał się, w miarę możliwości, ochronić wawelską architekturę przed niewłaściwymi poczynaniami projektantów niemieckich.

Prof. Szyszko-Bohusz opisuje jedną z sytuacji: „Orzeł piastowski z zamku w Łobzowie – okrągła ciosowa tarcza z napisem i datą 1370 – z rozkazu Franka miał być zrąbany do tła wyprawy fasadowej na bramie wjazdowej do podwórca arkadowego. Robotnicy firmy Spohn – Polacy – korzystając z wyjazdu Franka i nieobecności Spohna, wyjęli tarczę 31 marca i na moje polecenie w tajemnicy przenieśli ją do przebudowywanego właśnie na mieszkanie Biihlera budynku muzeum diecezjalnego; tarczę umieściłem w skrytce pod środkowym biegiem schodów prowadzących z parteru na pierwsze piętro, gdzie zamurowana bezpiecznie przetrwała pod opieką Biihlera do lutego 1945 r., kiedy wróciła na swe dawne miejsce na fasadzie".

Wykonywał projekty i przedstawiał je do zatwierdzenia. Gdy nie znajdowały aprobaty Niemców nadzorujących prace (w trosce o nadanie planowanym budynkom ducha niemieckiego), korygował je, próbując łagodzić niektóre pomysły, nawet je obśmiewając. Zwrócił także uwagę na konieczność wykonania wielu prac związanych z tzw. uzbrojeniem terenu, czyli nowych instalacji wodno-kanalizacyjnych, elektrycznych, centralnego ogrzewania i sieci telefonicznej.

W wspomnieniach prof. Szyszko-Bohusz tak to opisuje: „W dniu 1 kwietnia dowiedziałem się o najbliższym programie prac na zamku, na które wyasygnowano wielką jak na te czasy sumę 5 mln zł. Za sumę tę miało być wyrestaurowane zachodnie skrzydło zamku na apartamenty Hitlera, budynek nr 9 (większy szpital) na biura i mieszkania zarządu zamku, uporządkowane stoki, założony ogród z basenem i wodotryskiem, wybudowane garaże itd. Pfaffenstock, jak Niemcy nazywają wikarówkę, ma być zburzony, jak również stajnie królewskie...

Zacząłem krytykować ostrożnie te pomysły jako przedwczesne, skoro przecież żadne wychodki na zamku nie są połączone z kanalizacją, skoro dopływ wody nie sięga na drugie piętro, droga dojazdowa nie jest wybrukowana, sieć elektryczna jest zasilana przewodami powietrznymi, nie kablem podziemnym itd. Wkrótce dowiedziałem się, że Frank... zdecydował w pierwszym rzędzie wykonać te najpilniejsze roboty instalacyjne i zburzyć obie kamienice przy św. Idzim jako zagrażające bezpieczeństwu jego mieszkania przy Kurzej Stopie.

Roboty te rzeczywiście w r. 1940 rozpoczęte pochłonęły tyle pieniędzy, że do przeróbek skrzydła zachodniego nigdy nie doszło... Historyczne budynki wartościowe ocalały.

Wydatki na te dwa budynki wyniosły ponad 30 mln, roboty zaś instalacyjne drugie tyle. Należy oczywiście uwzględnić i to, że nie było ani jednej pozycji, której by nie wykonano najmniej dwukrotnie. Wszystkie bowiem wysiłki Niemców zatrudnionych na Wawelu skierowane były w kierunku przewlekania robót, aby się uwolnić od perspektywy służby na froncie".

Równocześnie od 15 lutego 1942 r. odbywały się tajne posiedzenia Komitetu do spraw Odnowienia Zamku na Wawelu, na których składał raporty z tego, co działo się na wzgórzu.

Jak przebiegały pierwsze tygodnie i miesiące okupacji na Wawelu?

6 września 1939 r., ok. godz. 13 oddziały niemieckie zajęły Wawel. W biurze Kierownictwa Odnowienia Zamku Królewskiego u prof. Adolfa Szyszko-Bohusza pojawił się gen. Schubert, informując, że z polecenia Hitlera zajmują zamek. Posterunki obsadziły bramy, a jedna kompania ulokowała się w biurach zarządu i kierownictwa. Wejście na wzgórze zostało zamknięte, a mieszkańcom wydano specjalne przepustki. Parę tygodni później zostali usunięci ze wzgórza. Pozostali na wzgórzu pracownicy porządkowali zamek.

8 września Szyszko-Bohusz razem z Henrykiem Kramkowskim, inspicjentem robót budowlanych na Wawelu, zostali zatrzymani i przewiezieni na ul. Pomorską (do siedziby Komendy Policji Bezpieczeństwa i Służby Bezpieczeństwa). Tam przesłuchano ich w sprawie arrasów, które ewakuowano z Wawelu 3 września do Kanady.

Powołany 12 października 1939 r. na stanowisko generalnego gubernatora Hans Frank wybrał na swoją rezydencję Wawel i 29 października zmienił nazwę zamku na Krakauer Burg. 7 listopada 1939 r. odbył się uroczysty wjazd na zamek. Ceremonia była starannie wyreżyserowana: czerń luksusowego mercedesa, czerń swastyk na tle czerwonych chorągwi, okrzyki świty, podniosłe dźwięki hitlerowskiego hymnu Horst Wessel Lied.

Po ewakuacji części zbiorów na zamku pozostały kopie chorągwi zdobytych w bitwie pod Grunwaldem wykonane na potrzeby ekspozycji w salach zamku. Frank w liście z 16 stycznia 1940 r. do Alberta Forstera, wystąpił z propozycją przeniesienia chorągwi do Malborka. 17 maja 1940 r. w Sali Poselskiej – im groβen Empfangssaal – zamku wawelskiego Frank przekazał żołnierzom Wehrmachtu chorągwie krzyżackie, które ustawione w podłogowym stojaku w południowo-wschodnim narożniku dekorowały salę posiedzeń generalnego gubernatora. Po krótkim wystąpieniu gubernatora chorążowie z pełnym ceremoniałem przemaszerowali na dworzec, skąd wraz z gubernatorem i jego świtą wyjechali specjalnym pociągiem do Sopotu. Tutaj, 18 maja o godz. 17.30, odbyło się uroczyste powitanie Hansa Franka i jego towarzyszy przez Alberta Forstera.

Co Niemcy robili na zamku wawelskim?

W październiku 1939 r. pojawił się Kajetan Mühlmann (był historykiem sztuki z Austrii, Sturmbannführerem w służbie SS, później pełnomocnikiem specjalnym do spraw spisu i zabezpieczenia dzieł sztuki i zabytków kultury w Generalnej Guberni), który przybył „dla zorientowania się w budynkach i meblach znajdujących się na Wawelu oraz możliwości przygotowania zamku na rezydencję stałą generalnego gubernatora, a czasową Hitlera".

Dla gubernatora i jego rodziny urządzono mieszkanie w zamku na pierwszym piętrze. Sale drugiego piętra miały służyć celom reprezentacyjnym, posiedzeniom, naradom i przyjmowaniu zagranicznych dostojników.

W budynkach znajdujących się na wzgórzu zamieszkali wysocy urzędnicy niemieccy. Muzeum diecezjalne dostosowano do potrzeb Josefa Bühlera, zastępcy Hansa Franka, w którym zamieszkał z rodziną. Budynek nr 9a zaadaptowano na mieszkania m.in. wyższego dowódcy policji SS-Obergruppenführera Friedricha

eprasa.pl a7919b9646

Wilhelma Krügera, po nim SS-Obergruppenführera, gen. Waffen-SS, Wilhelma Koppego. W budynku nr 3 (wikarówce) mieszkali niżsi urzędnicy bez rodzin, m.in. Wilhelm Ernst von Palesieux, zarządca zamku i konserwator odpowiedzialny za zdobywanie i gromadzenie dzieł sztuki.

Jakie straty poniósł Wawel w okresie 1939–1945?

Stosunkowo niewielkie dzięki ewakuacji do Kanady nie tylko arrasów, ale też wielu najcenniejszych zabytków ze skarbca i zbrojowni oraz niewielu obrazów. Po wojnie część utraconych z pozostałych w zamku obiektów powróciła na Wawel ze składnic na Dolnym śląsku i z Niemiec. Sam Wawel stał się jedną ze składnic, do której zwożono rewindykowane zabytki. Tutaj starano się je niewielkimi siłami opracować, posegregować i następnie odsyłać do pierwotnych właścicieli. Stale kontrolujemy rynek antykwaryczny w Polsce i za granicą. Tą drogą odzyskaliśmy wiele dzieł. Ostatnio w grudniu 2021 r. pastel Leona Wyczółkowskiego o podwójnym tytule „Góralka / Wiejska dziewczyna w żółtej chuście".

Obecnie, po raz kolejny w ramach programu Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego, prowadzone są szeroko zakrojone badania nad stratami wojennymi muzeum. Powołano w tym celu Zespół ds. Badań Proweniencyjnych Zbiorów i Strat Wojennych, którego zadaniem jest aktualizacja i uzupełnienie listy strat wojennych oraz badanie proweniencji zbiorów.

Jakie ślady w architekturze zamku pozostawiła okupacja niemiecka?

W 1940 r. Niemcy wyburzyli dawne stajnie królewskie. W 1941 r. rozpoczęto budowę nowego budynku administracji na miejscu przebudowanych przez Austriaków kuchni królewskich. W latach 2004–2007 przeszedł on remont konserwatorski i modernizację, które nadały obecny wygląd fasadzie zewnętrznej (od dziedzińca zewnętrznego). Fasada wewnętrzna (od dziedzińca arkadowego) nadal ma wygląd nadany jej w latach 1941–1943, ale uległa niewielkim zmianom w stosunku do stanu po przebudowie według planów Szyszko-Bohusza w 1918 r.

„W dniu 17 V w pochodzie tryumfalnym »wróciły« z Wawelu do Malborka chorągwie zdobyte w 1410 r. na polu bitwy pod Grunwaldem. Mimo że wszystkim wiadome było, że wykonaliśmy je za cenę 250 zł od sztuki w 1937 r., we wszystkich artykułach i przemówieniach z prawdziwie hitlerowskim zakłamaniem traktowano je jako oryginalne zdobyte wówczas chorągwie. Pojechały wraz z rękopisem Długosza »Banderia Prutenorum« i dwoma mieczami z Muzeum Czartoryskich do Malborka." Fragment wspomnień prof. Szyszko-Bohusza

W 1941 r. modernizowano poaustriacki budynek nr 9a, w którym – jak już wspomniałam – przygotowano mieszkania dla wysokich urzędników. Budynek był po wojnie wielokrotnie przebudowywany. Jedynie fasady zachowały wygląd nadany im przez okupanta.

Poszerzono drogę od ul. Bernardyńskiej, przesuwając na zewnątrz dwa odcinki murów fortecznych w narożu południowo-zachodnim, przed basztą Senatorską, by usprawnić wjazd za bramę. Postawiono nową bramę (1941–1943), zastępując poaustriacką bramę z 1852 r. na której Szyszko-Bohusz zamocował trzy tarcze herbowe z Orłem Zygmuntowskim, Pogonią i herbem Sforzów, i wybudowano nową, obszerną wartownię. Wzniesiono też garaże, tłukąc na szuter renesansowe detale architektoniczne. Po wojnie złożono w tym miejscu zawartość 30 wagonów odzyskanych dzieł sztuki zagrabionych przez Niemców, które dotarły do Krakowa 30 kwietnia 1946 r., eskortowane przez amerykańskich żołnierzy. Opiekował się nimi Karol Estreicher. Później garaże zostały rozebrane.

W ogrodach wybudowano basen dla Franka.

Przebudowano zakończenie skrzydła południowego zamku (kurtyny) – zbudowano tzw. basztę niemiecką.

Sam zamek, chociaż zmienił swoją funkcję użytkową, np. w skarbcu i zbrojowni urządzono kasyno dla oficerów, a w Sali Senatorskiej wykuto miejsce na projektor, dodając jej funkcję sali kinowej, nie poniósł nieodwracalnych strat. Nigdy nie doszło do dostosowywania skrzydła zachodniego na siedzibę Hitlera. Odnowienie tego skrzydła ukończono już po wojnie.

Fot. NAC

eprasa.pl a7919b9646

W Leśnej Górze wciąż jest singielką – uroczą i kompetentną dr Hanią Sikorką. W filmie „Bejbis" Marta Żmuda Trzebiatowska zagrała przygniecioną macierzyństwem Adę. Prywatnie mówi o byciu mamą, że to trudna, ale i najpiękniejsza rola

Rodzicielski huragan

Fot. DANIEL RACZYŃSKI/Fotografowie.com; TOMASZ KACZOR

eprasa.pl a7919b9646

JOLANTA GAJDA–ZADWORNA

Fot. TOMASZ KACZOR

W ostatnich latach, dzięki takim serialom jak m.in. „Na dobre i na złe" czy „Blondynka", ugruntowała sobie wizerunek sympatycznej dziewczyny, młodej kobiety, którą na małym ekranie chętnie oglądają widzowie w każdym wieku.

Szeroko zakrojonej sympatii nie mąciły próby wyrwania się aktorki z szuflady. Jej Jakubcowa z „Mowy ptaków" (2019) Xawerego Żuławskiego, choć doceniona, trafiła jednak do nieporównywalnie węższej od telewizyjnej, kinowej publiczności. Tymczasem Marta Żmuda Trzebiatowska ma wyraźną potrzebą grania postaci mniej cukierkowych. Poniekąd również w opozycji do roli, którą kreuje w prywatnym życiu.

WITAMY W FAMILII

W 2017 r. została mamą Brunona, w maju 2020 r. – Pauliny. Te drugie narodziny, a wcześniej oczekiwanie na nie, przypadły w okresie pandemii. Oswajając lockdown, mąż aktorki Kamil Kula zainicjował powstanie komediowego mikroserialu on-line. Projekt zatytułowany „#ZostańWdomu" z dystansem i poczuciem humoru ogrywał ciążę żony oraz scenografię prywatnego mieszkania. Do nagrań (trwających raptem kilka minut) z radością dali się wciągnąć aktorzy różnych pokoleń. Widzowie byli zachwyceni. W ostatnim, 19. odcinku, serię zamknęło zdanie: „Witamy w rodzinie!".

„#ZostańWdomu" wzmocniło wizerunek aktorskiej pary jako kochającej się i świadomej rodzicielskich zadań. Równocześnie skutecznie chroniącej przed mediami prywatne, wspólne życie. Ostatnio jednak zdarzył się w tej kwestii wyłom.

ABSORBUJĄCE SZCZĘŚCIE

Premiera filmu „Bejbis" skłoniła Martę Żmudę Trzebiatowską do wyznań dotyczących macierzyństwa. Na oficjalnym koncie na Instagramie odniosła się do doświadczeń pierwszego porodu: „Oczywiście była radość, pojawiło się nowe życie, ale nikt nie skupił się na tym, gdzie w tej całej układance jestem ja. Ja z moimi emocjami i potrzebami".

Wypowiedź ta wpisuje się w przekaz filmu „Bejbis", który wchodzi właśnie do kin. Oto w uporządkowanym życiu bohaterki – szczęśliwej żony i mamy lekko zbuntowanej nastolatki, realizującej się zawodowo kobiety – pojawia się nieplanowana ciąża, a potem wkracza w nie wyjątkowo absorbujący i generujący rodzinne konflikty mały człowiek.

Przy okazji produkcji media przypomniały też komentarz aktorki z czasu, gdy po raz drugi została mamą. „Macierzyństwo bez filtra, zupełnie nie przypomina życia z Instagrama [...]. Czasem tęsknię za moim życiem »sprzed dzieci«. Czy to źle? Nie wiem. Czy bym do tamtego życia wróciła? Za żadne skarby! Dzieci są tym, co mi najlepiej w życiu wyszło" – podkreślała, dodając: „Do roli matki nie da się przygotować. Każdy dzień to sukcesy i porażki [...], ale warto się starać".

SPEŁNIENIE MARZEŃ

I znów mamy w tej wypowiedzi kwintesencją głównego wątku filmu „Bejbis" – znakomicie rozegranego przez duet: Marta Żmuda Trzebiatowska i Grzegorz Małecki.

Rola Ady, którą aktorka przyjęła w filmie Andrzeja Saramonowicza, wydawała się zawodowym spełnieniem. Po serii sympatycznych bohaterek przyszła szansa na wielowymiarową kreację. Zarówno komediową, jak i dramatyczną. Rozpisaną na wiele sytuacji, relacji i konfiguracji. Rolę matki, ale nie w cieniu, lecz w pierwszym planie. Kobiety zarówno silnej, pięknej i spełnionej, jak i przemęczonej, zestresowanej, wewnętrznie rozdygotanej... Rola marzenie. Aktorka umiała z niej skorzystać.

Żmuda Trzebiatowska ma za sobą kilka zawodowych etapów. Po ukończeniu warszawskiej Akademii Teatralnej (2005) przez siedem lat niemal nie schodziła z kolejnych planów, po czym zdecydowała się przystopować. Założyła rodzinę, dała jej czas i przestrzeń, także na pojawienie się dzieci, a potem – już jako mama – wróciła do zawodu.

ERUPCJA EMOCJI

Andrzej Saramonowicz, który zaznaczył swoją obecność w polskim filmie takimi produkcjami, jak „Ciało", „Testosteron", „Lejdis" czy „Jak się pozbyć cellulitu", miał w kinowej reżyserii 10 lat przerwy. I to na ekranie widać. Nie udało mu się zapanować nad nagromadzonymi w tym czasie osobistymi odczuciami i zawodowymi oczekiwaniami.

Zwiastun „Bejbis" zapowiada pełną zawirowań i aktorskich smaczków opowieść o rodzicielskim i rodzinnym rollercoasterze, w którym katalizatorem staje się nieplanowana ciąża. Tymczasem, podążając za tytułem, można by powiedzieć, że reżyserowi ulało się – koncepcyjnym nadmiarem i artystycznym niespełnieniem, prywatnymi emocjami i politycznymi frustracjami. Do głównego nurtu scenariusza dolepił – odcinające możliwość dialogu z całą widownią – skeczowe scenki, ostre i jednoznaczne w przekazie.

Jakby tego było mało, dołożył wątek św./nie św. Mikołaja oraz karkołomną koncepcję rodziny, która może żyć w pustce wszechświata. Szkoda, że nie zważając na pracę, włożoną szczególnie przez główną aktorkę, potraktował obsadę tak instrumentalnie. Mimo wszystko zwłaszcza dla ról Marty Żmudy Trzebiatowskiej i Grzegorza Małeckiego warto rozważyć obejrzenie „Bejbis".

eprasa.pl a7919b9646

Od czego zależy cena prądu?

Spółki energetyczne mają bardzo ograniczony wpływ na politykę cenową. Ceny oferowane firmom i instytucjom publicznym wynikają z niezależnych od nich czynników, takich jak wzrost cen surowców spowodowany wojną na Ukrainie i wojną energetyczną wypowiedzianą przez Rosję Zachodowi

Zgodnie z wynikającymi z prawa obowiązującego w Europie mechanizmami rynkowymi i giełdowymi przekłada się to właśnie na ceny. Obecnie firmy energetyczne współpracują z rządem nad rozwiązaniami prawnymi, które z jednej strony umożliwią złagodzenie wzrostu cen, a z drugiej zapewnią środki na transformację energetyczną i zapewnienie bezpieczeństwa energetycznego.

KIEDY PRĄD JEST NAJTAŃSZY?

Rynek energii zorganizowano w taki sposób, by w pierwszej kolejności do systemu elektroenergetycznego trafiała energia produkowana przez jednostki o najniższym koszcie zmiennym wytwarzania. To tzw. reguła merit order. Im większe zapotrzebowanie na energię elektryczną, tym więcej coraz droższych jednostek wytwórczych jest angażowanych do zaspokojenia potrzeb rynku. Z kolei im mniejsze zapotrzebowanie, tym mniej jednostek jest potrzebnych w eksploatacji. Właśnie dlatego – zgodnie z zasadami rynku – prąd jest najtańszy wówczas, gdy jest najniższe zapotrzebowanie na energię, a cena rośnie wraz ze wzrostem popytu i włączaniem do systemu kolejnych elektrowni.

Zgodnie z prawem wyprodukowana energia elektryczna powinna być sprzedawana na giełdzie energii (nie licząc ustawowych wyjątków). Handel hurtowy odbywa się na rynku terminowym i spotowym, na którym ceny są wyznaczane w odniesieniu do ceny oferowanej przez najdroższą jednostkę wytwórczą pokrywającą zapotrzebowanie w danym momencie (tzw. cenę krańcową). Aktualna cena rynkowa ma wpływ na cenę oferowaną na rynku dnia następnego oraz w kontraktach terminowych, które już wprost przekładają się na ceny oferowane przez sprzedawców energii elektrycznej firmom, samorządom i instytucjom.

Energia w szczycie zapotrzebowania (tzw. peak) jest więc droższa niż poza szczytem (off-peak). Elektrownie konwencjonalne – węglowe i gazowe – mogą dostosowywać swoją produkcję do popytu oraz warunków rynkowych w ramach swoich technicznych możliwości. Z kolei podaż energii elektrycznej ze źródeł odnawialnych (OZE) jest zależna wyłącznie od warunków atmosferycznych – kiedy zachodzi słońce lub ustaje wiatr, źródła OZE przestają produkować prąd, więc muszą zostać zastąpione przez elektrownie węglowe i gazowe.

Najtańszymi jednostkami wytwarzającymi energię elektryczną na polskim rynku są odnawialne źródła energii. Koszt

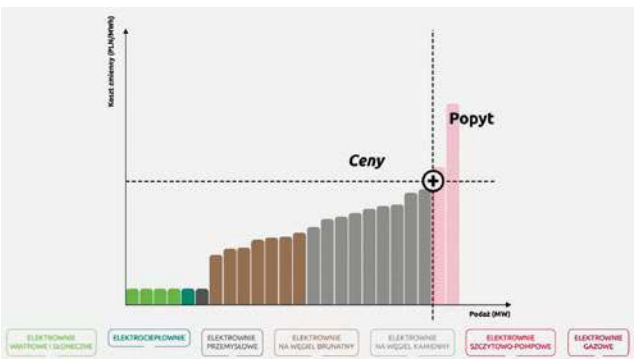

inwestycji w ich przypadku jest relatywnie wysoki, jednak sam koszt zmienny produkcji energii pozostaje najniższy. Droższe w zestawieniu są jednostki zasilane węglem brunatnym i kamiennym, elektrownie szczytowo-pompowe, które pełnią również funkcję magazynów energii, oraz jednostki gazowe, których średni koszt wytworzenia jest obecnie najwyższy. Na wysokie koszty produkcji energii z węgla kamiennego i gazu wpływają zarówno rekordowo wysokie ceny tych surowców, jak i koszty zakupu praw do emisji dwutlenku węgla w systemie EU ETS.

CENA KRAŃCOWA

Dzięki mechanizmowi tzw. ceny krańcowej w całej Unii Europejskiej są promowane odnawialne źródła energii, które – choć ich funkcjonowanie jest uzależnione od sprzyjających warunków atmosferycznych – stają się bardziej opłacalną inwestycją.

To, na jakim poziomie ukształtuje się cena krańcowa, jest zależne zatem przede wszystkim od dwóch czynników:

- popytu na energię, czyli aktualnego zapotrzebowania rynku – gospodarstw domowych, firm, instytucji – im więcej energii zużywamy, tym droższa jednostka wytwórcza wyznacza jej cenę,
- podaży energii z najtańszych źródeł – im większą część zapotrzebowania pokryją OZE i najefektywniejsze elektrownie węglowe, tym mniej droższych jednostek wchodzi do systemu i tym niższa jest cena energii na rynku.

Ciekawe przykłady pokazujące, kiedy energia jest najdroższa, a kiedy najtańsza, podaje Polski Komitet Energii Elektrycznej (PKEE) dostępne pod adresem https://pkee.pl/ oraz https://liczysieenergia.pl/.

Tekst powstał we współpracy z partnerem komercyjnym | 12/1022/F

eprasa.pl a7919b9646

3 MIŁOŚCI

Kult bestii

ROBERT TEKIELI

Magdalena Środa na XIV Kongresie Kobiet: „Nadrzędną kategorią powinno być życie, a nie człowiek. Należy radykalnie zmienić stosunek do zwierząt, które powinny mieć prawo do posiadania w ciałach politycznych swoich reprezentantów, a zwierzęta dzikie traktować jako obywateli suwerennych państw i nie ingerować w ich życie. Dyrektywy te powinny być wprowadzone od razu".

Wiele osób traktuje takie i podobne wystąpienia w kategoriach aberracji czy żartu. Ale jedyne, z czym mamy tu do czynienia, to konsekwencja. Po klasie robotniczej, kobietach, młodzieży i mniejszościach seksualnych kolejnym narzędziem walki rewolucyjnej lewicy z rzeczywistością są zwierzęta.

Osoby uznawane za naukowców wypowiadają dziś poglądy, według których delfiny i walenie są osobami. Są bowiem bardzo inteligentne, a mózg wieloryba prowadzi tak skomplikowane procesy myślowe, że jest on tak samo złożony jak mózg ludzki. Zatem zabijanie waleni i delfinów jest równoznaczne z morderstwem człowieka. Brytyjska gazeta „The Daily Telegraph" opublikowała w tej sprawie artykuł zatytułowany „Delfiny należy uznać za osoby niebędące ludźmi". Kilka lat temu w Helsinkach grupa badaczy ogłosiła zaś Deklarację praw waleni. Obecnie pracuje ona nad argumentacją dla poparcia tego dokumentu. Dziwi mnie tylko, że w artykule nie przeczytałem wypowiedzi waleni.

Jednocześnie inni uczeni twierdzą dziś, że można zabijać noworodki na równi z dziećmi poczętymi. Zabijanie noworodków uzasadniają „argumentem", że są one pozbawione osobowości, bo nie mogą stanowić o sobie. Peter Singer, „filozof moralny" i „etyk", idzie dalej i nie uważa narodzin za przyczynę istotnych zmian w statusie moralnym płodu.

Żeby wyzwolić ludzkość, trzeba było najpierw „zabić" Boga, teraz prawo do wolności istnienia zatraca również człowiek jako osoba, zdegradowana przez Herberta Marcuse'a do bytu zwierzęcego. W to miejsce mamy zaś dzisiejszy kult zwierzęcia, w którego imię ludzkość musi definitywnie zerwać ze „zwierzęcożernością"

Zaproponował więc wprowadzenie „okresu przejściowego", np. czterotygodniowego, „po którym dopiero dziecko nabywałoby pełnię praw". Mamy zatem zwierzęta, czyli uprzywilejowane osoby niebędące ludźmi, i ludzi niebędących osobami.

Takie są koleje rewolucji. Żeby wyzwolić ludzkość, trzeba było najpierw „zabić" Boga, teraz prawo do wolności istnienia zatraca również człowiek jako osoba, zdegradowana przez Herberta Marcuse'a do bytu zwierzęcego. W to miejsce mamy zaś dzisiejszy kult zwierzęcia, w którego imię ludzkość musi definitywnie zerwać ze „zwierzęcożernością".

W 2008 r. hiszpańska parlamentarna komisja ds. ochrony środowiska przegłosowała rezolucję wzywającą Hiszpanię do przestrzegania Projektu Wielkich Małp, opracowanego przez naukowców i filozofów. Pomysłodawcy projektu przekonują, że nasi najbliżsi genetyczni krewni zasługują na przyznanie praw zarezerwowanych dotąd dla ludzi. Nie żartuję. Hiszpańscy posłowie z komisji ds. ochrony środowiska chcieli przyznania gorylom, szympansom i orangutanom praw człowieka. – To historyczny dzień w walce o prawa zwierząt i obronę naszych towarzyszy ewolucji – powiedział agencji Reuters Pedro Pozas, szef Great Ape Project w Hiszpanii. Great Ape Project został założony w 1993 r. przez filozofów: Paolę Cavalieri i wspomnianego już Petera Singera. Urodzony w 1946 r. Peter Singer przekonuje, że można i należy zabijać noworodki oraz że kontakty seksualne ludzi ze zwierzętami nie muszą być dla nich krzywdzące, a czasami mogą być wręcz obustronnie satysfakcjonujące.

Zdjęcie dwóch łysiejących mężczyzn, z których jeden trzyma noworodka na rękach, opatrzono podpisem: „Dziecko gejów poczęte in vitro". Dziewczynka przyszła na świat w Brazylii. Lekarze użyli nasienia jednego z mężczyzn oraz komórki jajowej anonimowej dawczyni. Komórka następnie została umieszczona w łonie kuzynki przyszłego ojca. Potem w gazetach pisano: „Mężczyzna urodził dziecko", „Para gejów to szczęśliwi rodzice".

Czegóż oczekiwać od świata, na którym walenie myślą, dżdżownice czują, mężczyźni rodzą dzieci, a belgijscy staruszkowie muszą się posunąć.

eprasa.pl a7919b9646

POPKULTURA

Ewentualnie Samoleczący się schizofrenik na skraju załamania nerwowego okazuje się członkiem odwiecznego bractwa. Tak, ratują świat. Właściwie mógłbym w tym miejscu skończyć tę notkę. ***„W nieskończoność"*** Antoine'a Fuqui („Olimp w ogniu", „Bez litości") jest bowiem filmem, któremu się nie do końca

poszczęściło. W głównej roli oglądamy Marka Wahlberga, ale niebędącego w najlepszej formie. Scenariusz niby trzyma się kupy, a w 40. minucie filmu nie wiemy jeszcze, jaki jest cel działań głównego bohatera. Nie mówiąc o tym, że motyw nieśmiertelnych strażników ludzkości reinkarnujących, by walczyć po stronie dobra, jest już nieomalże całkowicie zużyty. Jeśli jednak ktoś lubi widowiskowe sceny – np. lądowanie motocykla na skrzydle lecącego samolotu – obejrzy to science fiction bez większego dyskomfortu. Parę pomysłów jest tu bowiem niezłych. Jednak całość dalej tylko dla amatorów.

POPKULTURA

Może być Amerykańsko-kanadyjsko-polskie kino science fiction, jakim jest ubiegłoroczny film ***„Przestroga"***, ma kompletnie odmienny smak i wymowę. Oglądamy thriller z nieodległej przyszłości, w której rzeczą normalną, choć smutną, jest eutanazja zestarzałego androida, a odrzucony kochanek może wirtualnie śledzić obiekt swojego zauroczenia, dalej żyjąc z nim w cyfrowej ułudzie. Film mówi nam jednak jedynie rzeczy oczywiste. Technologia nie jest w stanie zastąpić więzi międzyludzkich, a najbardziej nawet wyrafinowane narzędzia kontroli – Boga. Choć być może kolejne pokolenia muszą te prawdy sobie co jakiś czas powtarzać.

POPKULTURA

W ostateczności ***„Voyagers"*** to kino SF w formie klasycznej. Trwa wielopokoleniowa wyprawa kosmiczna, 86 lat na pokładzie to potężne wyzwanie. Ekipa wyselekcjonowanych geniuszy nie bywa środowiskiem najbardziej stabilnym, więc osią tej opowieści jest narastająca psychoza. Niestety, reżyser Neil Norman Burger nie potrafi wstrząsnąć widzem. Nie potrafił też zainspirować aktorów do kreacji postaci, z którymi chcielibyśmy mieć coś więcej wspólnego. Historia toczy się od jednej do drugiej mniej lub bardziej prawdopodobnej sytuacji, morderczy kryzys eksploduje na parę dni, by zupełnie zaniknąć. Nie da się tego w żaden sposób wytłumaczyć czy zrozumieć. Kino eksperymentalne. Dosłownie.

POPKULTURA

Może być ***„Wojna o jutro"*** to również SF, tyle że o klasę lepsze. Fabuła jest zwarta, a aktorstwo dobre. No i co najważniejsze: choć trwa wojna o istnienie gatunku ludzkiego, to wygra rodzina! Chris Pratt bowiem, jak sam mówi, „nie jest bohaterem, próbuje ocalić córkę. A jeśli trzeba, przy okazji uratuje świat".

Ale po kolei. Ludzkość dowiaduje się od podróżników w czasie, że kilkadziesiąt lat później Ziemia zostaje zaatakowana przez obcych. Nasi potomkowie przegrywają wojnę, więc dzięki wehikułowi czasu wspieramy ich walkę, rzucając do boju kolejne „ochotnicze" bataliony. Główny bohater filmu ma zaś wiele do udowodnienia, szczególnie córce, którą spotyka w przyszłości.

Film ogląda się z przyjemnością. Dobre sceny walk, szybka akcja, odpowiednio niuansowane emocje. Jest też, mówiąc klasykiem, truskawka na torcie – okazuje się bowiem, że inwazja to dzieło przypadku, a stroną atakującą nie są wcale kosmici, którzy rozbili swój statek na Ziemi, lecz przewożone przez nich ichniejsze zwierzęta hodowlane – śmiertelnie dla ludzi groźne. Konkludując, „Wojna o jutro" to nie jest jakieś wyjątkowe kino, ale myślę, że wielu widzów nie uzna poświęconego mu czasu za stracony.

Z 12-latkiem można też spokojnie obejrzeć familijne fantasy pt. „Artemis Fowl", choćby ze względu na scenę widowiskowego desantu całej armii sił wewnętrznych cywilizacji wróżek na irlandzkie wybrzeże. I może też ze względu na zdroworozsądkowe spojrzenie jednego z bohaterów na współczesną młodzież: „Większość dostaje schizy na myśl o glutenie, wyobraź sobie, co by zrobili na widok goblinów".

Robert Tekieli
Polskie Radio

eprasa.pl a7919b9646

Adamski poleca

O takim świecie pisał Bourdain

Nieczęsto się zdarza bym wpadł w tak klasycznie kompulsywny binge-watching jak podczas seansu *„The Bear"*. Łyknąłem cały serial za jednym razem nie tylko dlatego, że osiem odcinków trwa zaledwie około czterech godzin. Emitowany u nas na Disney Plus serial Christophera Storera jest jedną z najlepiej napisanych telewizyjnych rzeczy ostatnich lat, w której gra w zasadzie wszystko – od psychologii bohaterów, przez reżyserię i dramaturgię pracy w restauracji, aż po cały aspekt społeczny. Ten serial stanie się kultowy i będzie jedną z klasycznych chicagowskich opowieści.

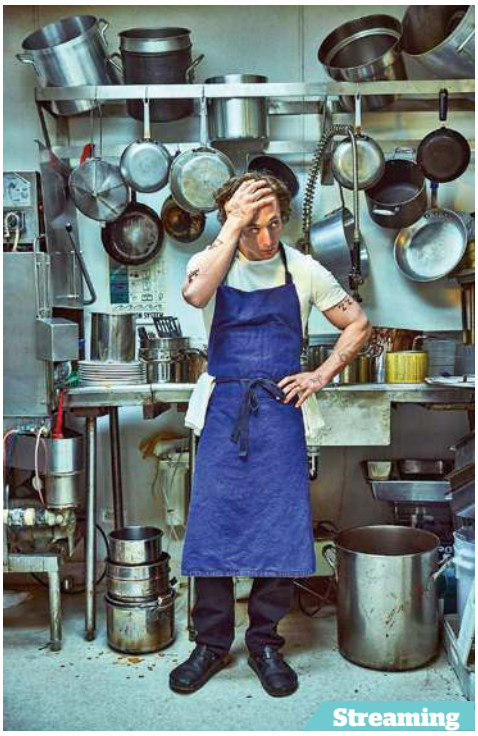
Streaming

Carmen „Carmy" Berzatto (przełomowa i fantastyczna rola Jeremy'ego Allena White'a) wszedł na sam szczyt gastronomicznej drabiny w Nowym Jorku. Praca w literalnie najlepszej restauracji świata nie dała mu jednak spokoju ducha. Kuchenny celebryta wraca więc do Chicago, po tym jak jego brat Michael (Jon Bernthal) popełnia z niewiadomych przyczyn samobójstwo. Carmy odziedzicza po nim zaniedbaną, ale wciąż serwującą wyjątkowo pyszne kanapki z wołowiną, lokalną restaurację. The Original Beef jest czymś więcej niż restauracją. To miejsce rodzinne, w które serce włożyła cała załoga, na czele z najlepszym przyjacielem Michaela – Richiem (Ebon Moss-Bachrach). Tyle że restauracja jest zadłużona u miejscowych gangsterów i ma zaległości podatkowe wobec miasta. Carmy nie chce jej sprzedać żadnej sieciówce i korporacjom. Chce ją uratować nie tylko przez własne ambicję, ale również w imię pokonania własnych demonów, związanych ze zmarłym bratem.

Carmy jest genialnym szefem kuchni, ale też apodyktycznym neurotykiem, wyszkolonym przez niemal psychopatycznych mistrzów z nowojorskich restauracji. Właśnie o takich ludziach pisał śp. Anthony Bourdain w swoich przełomowych książkach odsłaniających szokujące kulisy pracy w najlepszych restauracjach świata. Perfekcjonizm, ciągłe życie na krawędzi i dociskanie swojej drużyny na skraj wytrzymałości. Wszystko po to, by klient poczuł najlepszy możliwy smak w ustach. Tylko czy takie metody mogą zadziałać w restauracji napędzanej duchem zżytej jak rodzina załogi? Jak w rodzinie wprowadzić nagle hierarchiczną strukturę?

Jakiś czas temu zachwycałem się na tych łamach „Punktem wrzenia" Philipa Barantiniego, który za pomocą mistrzowskiego jednego długiego ujęcia pokazał, czym jest praca w restauracji i jak odbija się na psychice załogi. Christopher Storer w jednym odcinku zastosował ten sam patent, robiąc to w nie mniej imponujący sposób. „The Bear" nie jest jednak tylko wizualną ucztą, która daje nam poczuć pulsującą nerwowość na zapleczu restauracji na przemian z ujęciami kolejnych soczystych potraw rodem z najlepszych programów Bourdaina. Ten film to poruszająca i uniwersalna opowieść o traumie, żałobie, ambicji i przyjaźni.

Storer napisał, wyprodukował i wyreżyserował większość odcinków „The Bear", co czyni serial bardzo autorskim. Jest w tej opowieści sporo intymności i ducha niezależnego amerykańskiego kina, którego istotą jest właśnie scenariusz. Wewnętrzne zmagania Carmy'ego z własną przeszłością nie przytłaczają innych pracowników restauracji, dla których umierająca The Original Beef jest drugim domem. Wojna między młodą, ambitną kucharką Sydney (Ayo Edebiri), wyszkoloną na prestiżowym – nie mylić z agencją wywiadowczą – CIA (Culinary Institute of America), i zanurzonym w ulicznym sentymentalizmie Richiem, wieczny niepokój o swoją pozycję weteranki kuchni Tiny (Liza Colón-Zayas), popadającej w cynizm, dążenia do perfekcyjności cukiernika Marcusa (Lionel Boyce) – wszystkie te postacie są odpowiednio rozpisane i rozegrane.

Carmy i Sydney próbują zastąpić chaos restauracji francuską szkołą prowadzenia kuchni, gdzie liczy się hierarchia, porządek i precyzja. Co jednak, jeżeli przyjazny chaos knajpy jest jednocześnie ostatnim elementem odchodzącego świata chicagowskiej dzielnicy? Jak pogodzić z sobą zbudowaną na ulicznych więzach przyjaźń ze światem napędzanym komercjalizacją wszystkiego? Jak wejść w buty charyzmatycznego i magnetycznego brata i przekonać do siebie jego przyjaciół? Jak w końcu pogodzić nowoczesność z tradycją i jak nie stracić przy tym duszy?

„The Bear" brawurowo łączy psychologiczną głębię postaci z modą na kulinarne fascynacje masowego widza, którymi popkultura jest w ostatnich latach przepełniona. Jest to też obraz zmieniającej się Ameryki w specyficznym tyglu, którym jest Chicago. Miasto żyjące swoją skomplikowaną historią, naznaczoną z jednej strony dawną potęgą kulturalną i biznesową, Michaelem Jordanem z Chicago Bulls, prezydentem Barackiem Obamą, a z drugiej Alem Capone i fatalnymi statystykami przemocy w ostatnich latach – to wszystko ma swoje odzwierciedlenie w umęczonym, ale też pełnym determinacji i nadziei wzroku Carmy'ego. Co w nim zwycięży?

„THE BEAR" DOSTĘPNY NA DISNEY+

eprasa.pl a7919b9646

Łukasz Adamski
publicysta, krytyk filmowy

Nieświeże piwo

Peter Farrelly musiał bardzo uwierzyć w swoje umiejętności po Oscarze za „Green Book". Kiedyś w duecie ze swoim bratem kręcił głupkowate, ale dające wielką przyjemność komedie, jak „Kręgogłowi", „Głupi i głupszy" czy „Sposób na blondynkę", a dziś przyodziewa szaty reżysera od lekkiego, ale społecznie zaangażowanego kina. *„Wielka ofensywa piwna"* wydawała się dla niego doskonałym materiałem. Jest to historia tak absurdalna, że powinno się oskarżyć scenarzystów o przyjmowanie zbyt wielkiej ilości medykamentów podczas pisania. A jednak zdarzyła się ona naprawdę.

Chickie Donohue (Zac Efron) jest byłym żołnierzem Marines, który nigdy nie posmakował wojny. Szczęście czy pech? Jedno i drugie, bo trwa akurat wojna w Wietnamie i Chickie ma kompleksy wobec swoich przyjaciół z dzielnicy, którzy masowo są wysyłani na front. Wpada na szalony pomysł, by umilić im życie i zaciąga się na statek płynący do Sajgonu. Po co? Ano chce dostarczyć przyjaciołom... ulubione piwo. Chickie ma w sobie sporą dawkę uroku (nieprzypadkowo gra go próbujący za wszelką cenę wyrwać się z szuflady przystojniak Efron) i ulicznego sprytu, więc sugeruje kolejnym żołnierzom, że może być agentem CIA na absolutnie tajnej misji. Tak dociera do kolejnych punktów na mapie płonącego Wietnamu, wożąc z sobą torbę wypełnioną puszkami piwa.

Dawny Farrelly zrobiłby z tego czystą komedię sytuacyjną, gdzie głupolowi o złotym sercu znów udaje się zrobić coś szlachetnego. Sprawdziłby się w tym Efron z wąsem à la Tom Selleck ze słodkich lat 80., który doskonale pasuje do Woody'ego Harrelsona i Jima Carreya z krindżowych wariacji braci sprzed dwóch dekad. Nowy Farrelly ma jednak społeczną misję, więc szpikuje scenariusz dywagacjami o koszmarze wojny i rozmiarze pękniętej Ameryki. Chickie jest głęboko wierzącym w antykomunistyczną misję Amerykaninem, który trafiając na front, widzi, czym w rzeczywistości dla młodych ludzi wysyłanych przez strasznych polityków z Waszyngtonu jest wojna w dalekiej dżungli. Serio?

Nie ma chyba bardziej wyeksploatowanego motywu przez hollywoodzkie kino, które jednoznacznie oceniło wojnę w Wietnamie. Oliver Stone, Francis Ford Coppola, Jane Fonda, Stanley Kubrick, Brian de Palma, Michael Cimino, Werner Herzog, John Wayne, Sylvester Stallone, a ostatnio Spike Lee – oni wszyscy w najróżniejszy sposób opowiadali o tej wojnie, kluczowej dla zachodnich przemian społecznych końca lat 60. Farrelly nie tylko nie mówi nam o niej nic nowego, ale próbując wejść w buty Barry'ego Levinsona z „Good Morning, Vietnam", pokazuje niechcący, jak bardzo daleko mu do talentu tego reżysera.

Kultowy film z legendarną rolą Robina Williamsa był idealnie wyważoną opowieścią z inteligentnymi dialogami, satyrycznym sznytem, mitologizowaniem amerykańskiego buntownika, ale też humanitarnym spojrzeniem na samą wojnę. Film Farrelly'ego w założeniu ma te same elementy, ale one zupełnie nie wybrzmiewają. Farrelly zdaje się mieć wypracowany schemat swoich filmów. W „Green Book" i teraz w „Wielkiej ofensywie piwnej" widzimy prostolinijnego mężczyznę z klasy robotniczej, jadącego w podróż, która leczy go z uprzedzeń i zacietrzewienia ideowego. W pierwszym przypadku ten schemat się w sprawdził (choć uważam, że film nie zasłużył na Oscara) dzięki świetnym rolom Viggo Mortensena i Mahershali Alego. Teraz Farrelly również ma imponującą obsadę, z której obecności niewiele wynika. Ba, uwielbiany przez miliony widzów Bill Murray symbolizuje problem tego filmu.

Murray wciela się w weterana wojennego i właściciela baru, który 20 lat temu głosowałby pewnie na neokonserwatystów od George'a W. Busha. Z jego ust nie pada ani jeden błyskotliwy tekst, a role ikony komedii ogranicza się do kuriozalnej fryzury i gniewnej miny. „To już nie jest wojna", „To jest wojna Chickie. To jedno wielkie miejsce zbrodni" – prawi natomiast z ekranu wcielający się w wyjątkowo stereotypowego reportera wojennego Russell Crowe. Błyskotliwe, nieprawdaż? Cóż, dzisiejsza postura Crowe'a symbolizuje ciężką scenopisarską i reżyserką rękę Farrelly'ego, który – mam nadzieję – wróci do kolejnej części „Kręglogłowych".

„WIELKA OFENSYWA PIWNA"
DOSTĘPNA NA APPLE TV+

eprasa.pl a7919b9646

Polski Kompas 2022 debiutował na warszawskiej giełdzie

Ósme wydanie Rocznika Instytucji Finansowych i Spółek Akcyjnych miało swoją premierę na Giełdzie Papierów Wartościowych 11 października podczas uroczystości, na której tradycyjnie już redakcja „Gazety Bankowej” wręczyła wyróżnienia Polski Kompas. W tym roku statuetkę z kompasem otrzymała prezes Zakładu Ubezpieczeń Społecznych, prof. Gertruda Uścińska

Ekonomia nie analizowała dotąd tylu zmiennych następujących w takim natężeniu w jednym czasie. To wszystko, co obserwujemy, jak w soczewce, skupia się jednak w jednym, podstawowym przecież zadaniu rządzących – zapewnieniu obywatelom bezpieczeństwa. I tak podstawowych dóbr jak dach nad głową, ciepło, dostęp do lekarzy i leków, opieka. To polityka społeczna, która szczęśliwie stała się pewnym fundamentem działań podejmowanych przez rządy Zjednoczonej Prawicy – mówił Maciej Wośko, redaktor naczelny „Gazety Bankowej”, w laudacji poświęconej laureatce Polskiego Kompasu 2022. – Tę politykę realizuje skutecznie od początku 2016 r. laureatka tegorocznego Polskiego Kompasu. [...] To postać niezwykła, dzięki której przez te wszystkie lata instytucja przez nią zarządzana z sukcesem realizowała i realizuje niezwykle wymagające zadania. Wymagające, bo dotyczące bezpieczeństwa społecznego w tym najważniejszym wymiarze – zabezpieczenia kapitałowego. Więcej – interesariuszami tej instytucji jesteśmy w różnych formach wszyscy, o czym mogliśmy przekonać się w czasie pandemii COVID-19. Mamy w Polsce – i trzeba to powiedzieć, także dzięki ogromnej pracy i doświadczeniu pani profesor, prezes Gertrudy Uścińskiej – nowoczesną i sprawną instytucję zarządzającą ubezpieczeniami społecznymi.

Fot. Andrzej Wiktor

400 STRON, 117 TEKSTÓW

Podczas uroczystości, która tradycyjnie odbyła się w gmachu GPW w Warszawie, będącej premierą wydawanego od ośmiu lat rocznika „Polski Kompas”, byli obecni przedstawiciele rządu, parlamentarzyści, reprezentanci instytucji gospo-

PARTNER ZŁOTY:
ORLEN
PARTNER STRATEGICZNY:
BAT POLAND
PARTNERZY GŁÓWNI:
Enea
Grupa Azoty
KGHM POLSKA MIEDŹ
PGE Polska Grupa Energetyczna
PGNiG
Bank Polski
PWPW POLSKA WYTWÓRNIA PAPIERÓW WARTOŚCIOWYCH
PZU
TOTALIZATOR SPORTOWY

eprasa.pl a7919b9646

darczych i świata biznesu. To naturalne, bowiem „Kompas" tworzą artykuły przygotowane właśnie przez uczestników gospodarczego życia w Polsce.

Ósma edycja „Polskiego Kompasu" – „Polski Kompas 2022" to tom liczący 400 stron, w którym znalazło się 117 tekstów 113 autorów. W gronie autorów znaleźli się: premier Mateusz Morawiecki, 4 wicepremierów, 10 ministrów, 6 sekretarzy i podsekretarzy stanu Rady Ministrów, szefowa Kancelarii Prezydenta RP oraz parlamentarzyści. A także 14 prezesów i wiceprezesów urzędów centralnych, w tym prezes Narodowego Banku Polskiego, prof. Adam Glapiński. Artykuły do rocznika przygotowali też szefowie kluczowych instytucji polskiego rynku kapitałowego, 12 profesorów ekonomii i zarządzania największych polskich uczelni, w tym rektorzy Uniwersytetu Warszawskiego i Szkoły Głównej Handlowej w Warszawie, oraz 27 prezesów, wiceprezesów i szefów rad nadzorczych największych polskich firm państwowych i prywatnych z kluczowych sektorów gospodarki, a także 15 prezesów, wiceprezesów i członków zarządów banków i instytucji finansowych.

W odczytanym podczas gali liście do uczestników uroczystości premier Mateusz Morawiecki napisał m.in. „Ten przygotowany przez redakcję ekonomiczną Grupy Medialnej Fratria rocznik stanowi nie tylko podsumowanie obecnego stanu naszej gospodarki, ale też unikatowy zestaw diagnoz teraźniejszości i rekomendacji na przyszłość. Dziękując za zaproszenie, wszystkim państwu przekazuję zapewnienie o mojej pamięci oraz wyrazy uznania. [...] Wszystkim uhonorowanym składam serdeczne gratulacje. [...] Tematami tegorocznego, ósmego już wydania »Polskiego Kompasu« jest sprawiedliwa i bezpieczna transformacja oraz nowa definicja gospodarczego ładu w Polsce, Europie i na świecie. Dziś nikt nie ma wątpliwości, że znajdujemy się w momencie zwrotnym historii. W czasie kształtowania się nowego porządku geopolitycznego. Rok 2022 rozpoczynaliśmy świadomi ogromnych wyzwań, ale i pełni nadziei na przywrócenie po dwóch latach pandemii COVID-19 harmonijnego rozwoju gospodarczego. Niestety, pierwsze miesiące tego roku przyniosły wiele wydarzeń, które wstrząsnęły zarówno globalną polityką, jak i gospodarką. Skutki pandemii, rosyjska inwazja na niepodległą Ukrainę, kryzys energetyczny i inflacyjny na świecie stworzyły spiętrzenie problemów, z jakim nie mieliśmy do czynienia od dekad. Przed Polską i państwami naszego kontynentu stoi więc wielkie wyzwanie. I od tego, jak skutecznie na nie odpowiemy teraz, będzie zależeć tempo rozwoju gospodarczego w kolejnych dekadach" – podkreślił szef rządu.

KOMPASY ZOSTAŁY WRĘCZONE

Wyróżnienie Polski Kompas otrzymał w tym roku – za konsekwentne budowanie suwerenności lekowej Polski i bezpieczeństwa lekowego Polaków, a także za podjęcie skutecznego dialogu i konsolidacji różnych środowisk wpływających na budowanie nowoczesnej ochrony zdrowia w Polsce – Maciej Miłkowski, podsekretarz stanu w Ministerstwie Zdrowia. Redakcja przyznała też statuetki dla instytucji i przedsiębiorstw. Za doprowadzenie do terminowego zakończenia budowy gazociągu Baltic Pipe, a tym samym za otwarcie nowych drzwi do niezależności gazowej naszego kraju Polski Kompas 2022 otrzymała spółka

Gaz-System. Z kolei Lasy Państwowe odebrały statuetkę za determinację w edukacji ekologicznej i konsekwentną realizację surowcowej polityki drzewnej Polski – za niezależne i profesjonalne zarządzanie jedną trzecią obszaru Polski, łączące działalność gospodarczą, ekologiczną, edukacyjną i społeczną.

ROCZNIK DOSTĘPNY JUŻ W SIECI

„Polski Kompas 2022" – otrzymał też na okładce specjalną szarfę jednoczącą barwy narodowe Polski i Ukrainy. Jak mówił podczas gali Maciej Wośko, „to drobny gest naszego wsparcia dla walczącego o wolność – także naszą – narodu".

Tegoroczne wydanie jest już dostępne w wersji cyfrowej w App Store i sklepie Google Play, na stronie gb.pl oraz w tym roku także w Sieci Przyjaciół na portalu wPolityce.pl – dla subskrybentów e-wydań tygodnika „Sieci". „Polski Kompas 2022" w wersji drukowanej w kolejnych tygodniach trafi na biurka wszystkich autorów i partnerów, a artykuły z tegorocznego wydania zostaną opublikowane w specjalnej zakładce na portalu wGospodarce.pl.

(GB)

PARTNERZY:

accenture · ALIOR BANK · Bank Pekao · BGK BANK GOSPODARSTWA KRAJOWEGO · Lasy Państwowe · TAURON

PARTNERZY WSPIERAJĄCY:

GAZ system · GPW · KDPW · POLREGIO

PARTNER TECHNOLOGICZNY:

HUAWEI

eprasa.pl a7919b9646

Komórki macierzyste – polska szansa w biotechnologicznym wyścigu

Czy komórki macierzyste to szansa dla Polski na dołączenie do grona najbardziej innowacyjnych państw w dziedzinie biotechnologii? W najbliższy piątek na Warszawskim Uniwersytecie Medycznym rozpocznie się trzydniowa międzynarodowa konferencja z udziałem wielu polskich i zagranicznych ekspertów zainteresowanych tematyką komórek macierzystych i medycyny regeneracyjnej. Rozmawiamy z gospodarzem piątej edycji Baltic Stem Cell Meeting, ***prof. dr. hab. Mariuszem Z. Ratajczakiem***, który zyskał światowy rozgłos i powszechne uznanie dzięki odkryciu tzw. komórek VSEL – komórek macierzystych o cechach komórek embrionalnych izolowanych z tkanek dorosłych osobników

Panie profesorze, czy mamy dziś do czynienia z dynamicznym postępem medycznym, czy to tylko złudzenie? Wciąż przecież nie mamy lekarstw ani sposobów na wyleczenie wielu powszechnych chorób jak choćby raka.

Mariusz Z. Ratajczak: Postęp się dokonuje, choć oczywiście wolniej, niż byśmy chcieli. Wprowadzane są nowe koncepcje lecznicze, które powstawały lata temu w laboratoriach badawczych – teraz wchodzą do kliniki. Przykładem takiego postępu jest choćby stosunkowo nowa kategoria leków – cell & gene therapies. Należą do niej choćby stosowane w leczeniu nowotworów krwi CAR-T, które są efektem prac naukowców na uniwersytetach w USA, czy też terapie genowe, które diametralnie zmieniają perspektywę pacjentów z chorobami genetycznymi, dotychczas nieuleczalnie chorych. W obszarze komórek macierzystych pojawiły się zastosowania komórek mezenchymalnych w leczeniu chorób o podłożu immunologicznym (np. chorobie przeszczep przeciw gospodarzowi), FDA [amerykańska Agencja Żywności i Leków – przyp. red.] wkrótce ma zarejestrować technologię namnażania komórek krwiotwórczych, co pomoże w przeszczepianiu krwi pępowinowej.

Czy uważa pan, że praktykowane dziś na świecie, w tym w Polsce, procedury medyczne stosowane wobec nowatorskich technologii są efektywne?

Przejście z odkryć naukowych do praktyki klinicznej zawsze jest wyzwaniem. Zawsze więcej jest tutaj porażek niż sukcesów. Dlatego każda technologia odkryta przez naukowców, zanim zostanie wdrożona do stosowania u ludzi, przechodzi etapy badań przedklinicznych. Dopiero po pozytywnym ich przejściu można się pokusić o eksperymenty medyczne lub badania kliniczne i stosowanie u ludzi. Ja obserwuję to z perspektywy lekarza naukowca i widzę, że przełożenie nieraz przełomowych obserwacji w laboratorium badawczym na klinikę jest trudne. To spotyka choćby nagrodzoną Nagrodą Nobla technologię stosowania komórek iPS [indukowanych komórek pluripotencjalnych – przyp. red.]. W bliskiej mi dziedzinie komórek macierzystych były proponowane ich różne typy i działali także rozmaici lobbyści. I tak mieliśmy okres, gdy próbowano leczyć komórkami izolowanymi z ludzkich zarodków, ale to się na szczęście skończyło i to nie tylko dlatego, że było nieetyczne, ale także niebezpieczne w terapii. Następnie pojawiła się „cudowna" alternatywa w postaci wspomnianych indukowanych komórek pluripotencjalnych, czyli dorosłych komórek somatycznych tak zmanipulowanych genetycznie, by cofnęły się one w swoim rozwoju. Z kolei pierwsza praca na ich temat pojawiła się już 16 lat temu, a Nagroda Nobla z nimi związana została przyznana 10 lat temu i od tamtej pory nie słyszymy o ich przełomowych i efektywnych wdrożeniach w klinice poza testowaniem na nich leków i użyciu do modelowania chorób, więc chyba coś jest nie tak. Terapia przy ich

eprasa.pl a7919b9646

użyciu jeszcze nikogo nie wyleczyła, a proponowane terapie przerywano ze względu na niestabilność genetyczną i ryzyko rozwoju nowotworów, więc jeśli na obecnym etapie te komórki nie działają, to trzeba szukać dla nich alternatyw, takich jak choćby komórki mezenchymalne pobierane z dorosłych tkanek, co w Polsce bardzo dobrze robi choćby Polski Bank Komórek Macierzystych. Są solidne dane medyczne, że komórki te działają immunosupresyjnie oraz że mogą wydzielać pewne czynniki wpływające na regenerację uszkodzonych narządów.

W Polsce wiele terapii, w tym tych opartych na zastosowaniu komórek macierzystych, może się odbywać jedynie na zasadzie tzw. wyjątku szpitalnego. Można by powiedzieć, że dobre i to, ale pojawiają się czasem głosy, że wyjątek szpitalny też należy ukrócić. Wydaje się to mało zrozumiałe, bo przecież procedura ta jest stosowana w momencie, gdy wszystkie inne metody leczenia zawiodły.

Tak jak powiedziałem wcześniej – każda terapia przed zastosowaniem u ludzi powinna mieć za sobą badania. Jeżeli takie dane są i można pomóc pacjentowi, to wydaje się, że w odpowiednim reżimie prawnym i etycznym można to zrobić. Nie jestem specjalistą od prawa, więc trudno mi się wypowiadać nad procedurą wyjątku szpitalnego, niemniej w niedawnych publikacjach International Society for Cell and Gene Therapy (ISCT) ta droga jest wskazywana jako jak najbardziej możliwa do zastosowania w przypadku, kiedy nic innego zrobić nie można. Musimy też pamiętać o jednym – niemal wszystkie dostępne terapie czy zarejestrowane leki niosą z sobą ryzyko. Większe lub mniejsze. Czy to oznacza, że należy je zablokować? Byłby to absurd. Za każdym razem lekarz ocenia szanse i zagrożenia. Jeśli bilans wychodzi na korzyść – terapia powinna zostać podjęta. Notabene – nie wiem, czy państwo wiedzą, że badania przeprowadzone w Europie kilka lat temu wskazują, że – uwaga – połowa zarejestrowanych leków nie działa! I niemal wszystkie (jeśli nie wszystkie) mają różne działania niepożądane. To oznacza, że państwa w Europie wydają setki miliardów rocznie na dofinansowanie leków zupełnie bez sensu. Nie można więc się dziwić, że eksperymentalne leczenie może nie zadziałać i musi kosztować.

Czy nasza przyszłość to terapie „skrojone na miarę" pod pacjenta, przygotowane często z jego własnych komórek, w tym odkrytych przez pana VSEL? Czy też czeka nas inna przyszłość – będziemy leczeni w wymiarze bardziej ogólnym, jako społeczeństwo, któremu zaproponuje się jeden model terapii na daną dolegliwość ze z góry założonym odsetkiem osób, którym ta terapia nie pomoże?

Trudno mi wyrokować na przyszłość. Jak widzimy po rozwoju nowych terapii – coraz częściej mamy do czynienia z lekami, które podaje się bardzo wąskiej populacji (np. z określoną mutacją genetyczną). Odkryte przez mnie komórki VSEL do tej pory są trochę przegraną kartą polskiej biotechnologii. Uważam, że to polskie odkrycie powinno być doinwestowane, a tymczasem przez kilka lat nasze prace były blokowane właśnie z tego powodu, że działało silne lobby promujące inne rodzaje komórek. Tymczasem uważam, że nie powinno się blokować możliwości badań nad żadnym rodzajem komórek macierzystych. Znam osoby w Polsce, które jeszcze kilka lat temu przekonywały, że komórki indukowane są przyszłością medycyny, i zwalczały nasze badania. Tymczasem gdy okazało się, że komórki te są niebezpieczne dla człowieka, to sens tego lobbingu upadł. Gdyby jednak ktoś chciał do niego wrócić, to apeluję, by sobie po prostu te komórki wstrzyknął. Tak bywało w medycynie, że odkrywca aplikował sobie sam to, co odkrył, udowadniając w ten sposób, że jego odkrycie jest bezpieczne. Na obecnym etapie badań w przypadku komórek iPS tak niestety nie jest. Ja zaś jestem w stanie w każdej chwili wstrzyknąć sobie komórki VSEL.

Rozmawiał ***Bartosz Życiński***

Prof. dr hab. med. dr h.c. Mariusz Z. Ratajczak

Najwyżej na świecie klasyfikowany w rankingach naukowych polski lekarz i biotechnolog. Odkrywca komórek VSEL, czyli komórek o cechach komórek embrionalnych w dorosłym organizmie, których potencjał może być przełomem w medycynie, wymaga to jednak dalszych badań. Prof. Ratajczak współpracuje z wieloma ośrodkami na świecie, głównie w USA. W Polsce kieruje pracami jednego z najlepiej wyposażonych laboratoriów w Europie, znajdującego się w Zakładzie Nowych Technologii Warszawskiego Uniwersytetu Medycznego.

Fot. Materiały prasowe

eprasa.pl a7919b9646

Skąd się bierze drewno?

Zawirowania na świecie i rosnące ceny nośników energii skierowały uwagę Polaków na drewno. I słusznie – bo to odnawialny surowiec, którego użytkowanie w polskich warunkach gwarantuje, że lasów nie ubywa

W lasach naszego kraju – tych należących do państwa i tych w rękach prywatnych właścicieli – rokrocznie pozyskuje się ponad 40 mln m^3 drewna. Jak to się dzieje, że mimo to powierzchnia leśna nie maleje, a wzrasta? Wyjaśnijmy tę trudną z pozoru łamigłówkę.

WSZYSTKO ZGODNIE Z PLANEM

Nie wszyscy zdają sobie sprawę, że w Polsce nie pozyskuje się drewna doraźnie. Np. pod zamówienie klienta czy wówczas, gdy robi się zimno. Gospodarka leśna jest o wiele bardziej dalekowzroczna. Prowadzi się ją na podstawie planów urządzenia lasu, sporządzanych na 10 lat. To tam odnotowuje się, ile drewna można pozyskać bez szkody dla środowiska. Takie plany wykonują specjalistyczne jednostki, m.in. Biuro Urządzania Lasu i Geodezji Leśnej.

Co warte podkreślenia – takie reguły obowiązują zarówno państwowe nadleśnictwa, jak i wszystkich innych właścicieli lasu. Czy to gmina, czy prywatna osoba – legalnie użytkować las można wyłącznie do wysokości limitu określonego w planach.

Przygotowanie planu poprzedza zawsze dokładna inwentaryzacja i ocena stanu lasu. Las pieczołowicie oglądają specjaliści, którzy określają takie jego cechy, jak struktura, budowa, wiek, skład gatunkowy, stan zdrowotny, warunki glebowo-siedliskowe itp. Jednolite pod względem cech płaty to tzw. wydzielenia. Do każdego z nich podchodzi się indywidualnie, projektując sposoby dalszego zagospodarowania i ilość drewna możliwą do pozyskania.

Tekst powstał we współpracy z partnerem komercyjnym | 10/1022/F

eprasa.pl a7919b9646

Ta ilość to kluczowa rola leśnego planu. Najprościej rzecz ujmując – drewna pozyskuje się co najwyżej tyle, ile może przyrosnąć.

– Firmy przerabiające drewno od lat twierdzą, że na polskim rynku drewna brakuje. Że moglibyśmy go więcej pozyskiwać. Na szczęście to nie biznes decyduje, ile drewna pozyskać, ale wynika to wprost z praw przyrody – dodaje Józef Kubica, p.o. dyrektor generalny Lasów Państwowych.

LASÓW NAM NIE UBĘDZIE

Gdy dobiegła końca II wojna światowa, inwentaryzacja wykazała, że w lasach należących do państwa mamy 700 mln m^3 drewna. Ile pozyskaliśmy od tamtego czasu? Okazuje się, że... prawie trzy razy więcej! Lasy Państwowe dostarczyły na rynek 2 mld m^3 drewna. Jak to możliwe?

– Odpowiedź jest bardzo prosta. Użytkujemy tylko starannie ustaloną część zasobów. Rocznie to ok. 2 proc. całości zapasów. Pozostałe drzewa cały czas rosną. A ponieważ pozyskujemy jedynie część rocznego przyrostu, reszta odkłada się i powiększa zasoby drzewne. Jako leśnik, który całe lata spędził w terenie, dokładnie to widzę – wyjaśnia dyrektor Kubica, który w leśnictwie pracuje już blisko 45 lat na różnych stanowiskach.

Lasy Państwowe dziś pozyskują 2/3 rocznego przyrostu. Efekty takiego działania są dla leśników oczywiste, ale osoby w ich otoczeniu mogą zaskakiwać. W sukurs przychodzą liczby. Otóż współcześnie zasoby drzewne w zarządzie organizacji kierowanej przez dyrektora Kubicę sięgają... 2,4 mld m^3.

Leśnicy przez prawie 80 lat pozyskali więcej, niż było na starcie, a mimo to depozyt drewna w lesie jest przeszło trzy razy większy!

– Jeśli zapomina się, że w rachunkach dotyczących żywego, odnawialnego zasobu przyrody trzeba uwzględnić czynnik przyrostu, te liczby brzmią nieprawdopodobnie – mówi dyrektor generalny Lasów Państwowych. – Ale one dobitnie pokazują, że nie ma się czego obawiać na przyszłość. Mimo pozyskania lasów nam nie ubędzie.

KASKADOWE WYKORZYSTANIE

Kiedy za sprawą Putina i wywołanej przez jego reżim wojny idą w górę ceny węgla, gazu i ropy, Polacy oglądają się za alternatywnymi źródłami energii. Na polskiej prowincji na równi z wymienionymi surowcami oczywistością jest drewno. Dla wielu Polaków, którzy mieszkają w miastach, okazało się odkryciem.

Drewno to surowiec, który jesteśmy w stanie wykorzystać w pełni. Już na etapie pozyskania leśnicy starannie je oglądają i klasyfikują. Najbardziej ceni się te elementy drzew, które są najbardziej regularne: proste, pozbawione sęków, przebarwień, o równych słojach rocznych. To dlatego, że mogą mieć najbardziej wszechstronne zastosowanie. – Leśnicy klasyfikują drewno pod względem jego jakości i wymiarów, a kupujący podejmuje decyzję, jakie drewno jest mu potrzebne i co z niego zrobi – mówi Michał Gzowski, rzecznik prasowy Lasów Państwowych.

Zgodnie z zasadą kaskadowego wykorzystania surowca drzewnego – niemal cała nadziemna część drewna znajduje zastosowanie. Te części drzew, które zawierają zbyt wiele wad wykluczających je z zastosowań przemysłowych albo są zbyt cienkie, trafiają na opał. – Tak jak nie ścinamy drzew i nie pozyskujemy drewna ze względu na koniunkturę w przemyśle, tak też jest z opałem drzewnym. Na opał trafiają te części pni, których nikt nie zdecydowałby się przerabiać, oraz gałęzie – wyjaśnia rzecznik prasowy Lasów Państwowych.

Co roku drewno najniższej jakości, przeznaczane na opał, stanowi około kilkanastu procent całości pozyskania Lasów Państwowych.

DREWNIANY MAGAZYN CO_2

Drewno to uniwersalny surowiec. Ma 30 tys. zastosowań i trwa na nie nieprzemijająca moda. – Drewna używamy pod tak różnorodnymi postaciami, że nie wszyscy nawet zdają sobie sprawę, jak bardzo z niego korzystamy – mówi Gzowski.

Oprócz oczywistych dla każdego mebli, parkietów i papieru, drzewne pochodzenie mają także włókna używane do wyrobu tkanin, modal i wiskoza. Niemal wszystko, co kupujemy, dociera do sklepów na drewnianych paletach. Drewno utrzymuje pokrycia dachowe większości budynków i tworzy konstrukcje wieżowców. Nasze dzieci ćwiczą sprawność fizyczną na drewnianych przyrządach placów zabaw. Wreszcie płonące szczapy drewna to jeden z synonimów domowego ciepła.

Wyroby z litego drewna można stosunkowo łatwo odświeżyć. Czasem wystarczy je przeszlifować, by wydobyć dojrzały rysunek słojów rocznych. – Zachęcamy do odpowiedzialnego używania drewnianych przedmiotów i konstrukcji. Dbajmy o nie, konserwujmy i odnawiajmy. Im dłużej będą służyć w naszym otoczeniu, tym dłużej utrzymany pozostanie dwutlenek węgla, który pochłonęły drzewa – zachęca Michał Gzowski.

Andrzej Dąbrowski

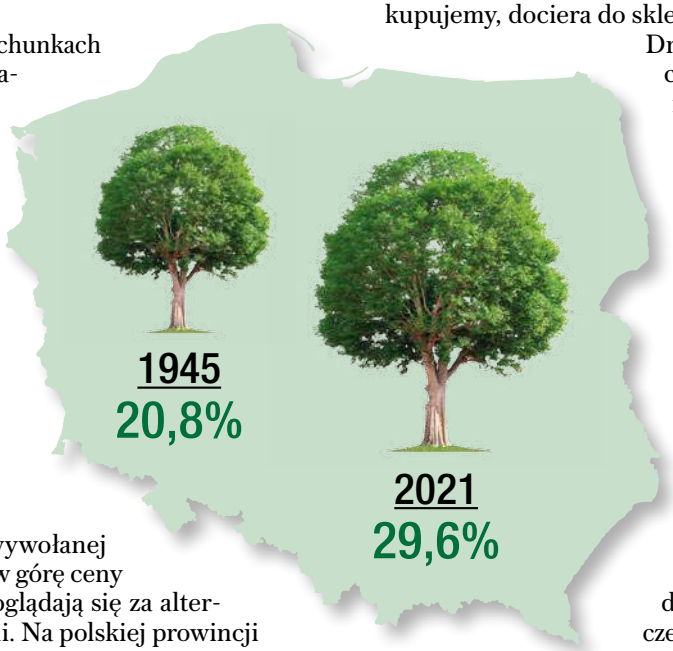

Lesistość w Polsce w 1945 i 2021 r.

Fot. Shutterstock (3x)

eprasa.pl a7919b9646

8. EDYCJA FRENCH TOUCH, DNI PRZYJAŹNI POLSKO-FRANCUSKIEJ

Francuska podróż w 9 daniach

Które dania najcelniej określają kuchnię francuskich regionów? Jak widzą to sami Francuzi? Przekonać się można, sięgając do tegorocznego wydania „La Belle Vie!" – magazynu, który towarzyszy ósmej już odsłonie French Touch (jej zwieńczeniem będzie gala – 27 października w Teatrze Wielkim Operze Narodowej; wystąpią m.in. Garou i Jean-Michel Jarre; transmisja na żywo w TVP). Tymczasem w „La Belle Vie!" (magazynie, który można również pobrać ze strony internetowej) niemało miejsca poświęcono kulinariom, opowiadając za ich pośrednictwem o Francji.

Dzieckiem północy autor tekstu o najbardziej rozpoznawalnych regionalnych daniach nazywa **mule z frytkami**. Jednocześnie podkreśla, że – jak to bywa w przypadku potraw popularnych i niedrogich – i tu „rodzice są nieznani".

Nie ma za to wątpliwości, skąd wywodzi się **le cassoulet**. Skład: biała fasola, skórka wieprzowa, konfitowana gęś, kiełbasa tulońska lub kuropatwa z Carcassonne. I „dużo miłości". Oto sposób na ulubiony posiłek mieszkańców gminy Aude, a także całej Langwedocji.

Pierwsze wzmianki o **la quiche lorraine** (placku lotaryńskim) pochodzą

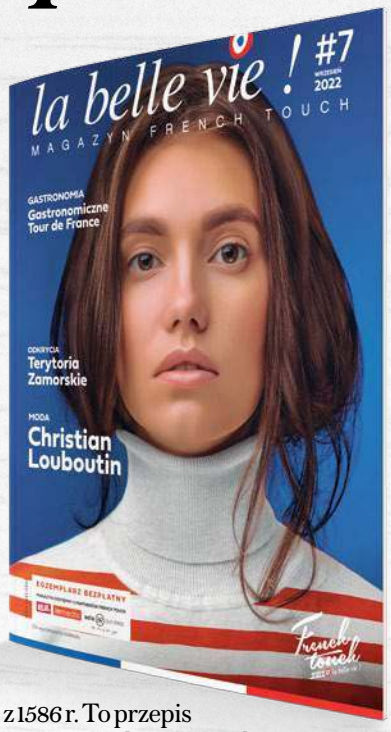

z 1586 r. To przepis na tartę podawaną na dworze księcia lotaryńskiego Karola III Wielkiego, gdzie bazę z resztek chleba zalewano jajkami zmieszanymi ze śmietaną.

Alzacja słynie z **la choucroute**, czyli bigosu z duszonej, kiszonej kapusty oraz gotowanego mięsa i kiełbasy. Przepis pochodzi jeszcze z XVI w.

Sabaudia to **la tartiflette** – rozgrzewające i banalnie proste w wykonaniu danie. Jednak – co podkreśla autor tekstu – wiele straci w smaku, jeśli zabraknie w nim lokalnego sera reblochon, najlepiej tzw. reblochon fermier. Układa się go na podgotowanych ziemniakach, grubo pokrojonym boczku oraz karmelizowanej cebuli i całość piecze przez 45 minut.

W Burgundii króluje potrawka na bazie wołowiny rasy Charolaise oraz lokalnego wina. Podaje się ją z ubitymi ziemniakami lub kluskami. Największą zaletą **wołowiny po burgundzku** jest „obłędny zapach, który unosi się w całym domu przez ponad trzy godziny, podczas których gotuje się mięso".

W Bretanii nie sposób oprzeć się **gorącym naleśnikom** – zarówno w wersji słodkiej, jak i słonej. Ciasto naleśnikowe przygotowuje się tu na bazie mąki gryczanej. Szczególnie jest polecany naleśnik z nadzieniem z l'andouille (tradycyjnej zawijanej kiełbasy wieprzowej wędzonej w dymie bukowym).

La bouillabaisse była pierwotnie daniem rybaków. Sortując ryby przeznaczone na sprzedaż, odkładali oni na bok pojedyncze kawałki, by ugotować z nich zupę dla rodziny. Proste danie przez lata zostało ulepszone i teraz może mieć w składzie nawet skorupiaki. W każdej wersji pozostaje symbolem Marsylii.

Na koniec autor wkracza na „prawdziwe pole minowe", czyli temat **sałatki nicejskiej**. Podkreśla, że mówienie o jej pochodzeniu to ryzykowne przedsięwzięcie. Podobnie jak sporządzenie listy podstawowych składników. Ta specjalność z południowo-wschodniej Francji jest wciąż tematem dyskusji.

Jolanta Gajda-Zadworna

Przepis na prawdziwą sałatkę nicejską

Składniki: 4 pomidory, 4 jajka, 2 cebule dymki (lub małe cebule), 1 papryka zielona, bazylia, sól i pieprz, 8 ziaren bobu, 200 g tuńczyka w sosie własnym, ocet winny i oliwa, 4 filety solonego anchois, 8 rzodkiewek, 4 fioletowe karczochy (opcjonalnie).

Wykonanie: Ugotuj jajka na twardo (od 6 do 8 minut), ostudź je w zimnej wodzie. Posiekaj cebulę i ułóż ją na talerzu. Dodaj bób, drobno pokrojoną zieloną paprykę, rzodkiewki pokrojone w plasterki i dobrze rozdrobnionego tuńczyka. Przypraw solą i pieprzem, a następnie dobrze wymieszaj wszystkie składniki. Pokrój pomidory na cienkie plasterki. Dodaj je wraz z karczochami do sałatki. Pokrój jajka na ćwiartki i ułóż je na wierzchu. Dodaj anchois, czarne oliwki i bazylię. Dopraw solą i pieprzem do smaku, a następnie skrop sałatkę oliwą z oliwek i octem. Wstaw sałatkę do lodówki na co najmniej godzinę. Tuż przed podaniem wymieszaj dobrze wszystkie składniki.

eprasa.pl a7919b9646

SŁODKO-SŁONY

Nie ma to jak rydze

ANNA MONICKA

Pierwsze przymrozki dały już się we znaki, trzy razy skrobałam szyby w samochodzie. To dobra i zła wiadomość. Zła, bo zaraz zacznie się półroczna plucha, dobra – bo w lasach pojawią się moje ukochane grzyby. Najlepiej pachnące, najsmaczniejsze, pomarańczowe rydze. Gdy nadchodzi ich czas, zawsze przypomina mi się rodzinna anegdotka o tym, jak to moja mama wyprowadzała w pole wścibską grzybiarkę. – Co pani tam tak zbiera? – dopytywała się pewna obładowana wiadrami kobieta (sądząc po ubiorze grzybiarka właśnie) na widok mojej mamy idącej poboczem lasu i grzebiącej kijem w trawie. – A nic, nic, jakieś olszóweczki na zupkę znalazłam – moja rodzicielka jak zwykle zachowała podziwu godną trzeźwość umysłu. Bo przecież nigdy by się nie przyznała, że to jej tajne miejsce, a schowane pod trawami rosną nie olszóweczki, czyli krowiaki podwinięte (kiedyś się je kilka razy gotowało w świeżej wodzie i jadło, lecz ostatnio raczej niekoniecznie, bo zawierają za dużo toksycznej muskaryny), ale rydze.

Nie wszyscy potrafią je znaleźć, bo ukrywają się nisko przy ziemi, zazwyczaj na słonecznym skraju lasu. A i to nie każdego – kochają się ze świerkami i sosnami, pojawiają się tam, gdzie gleba nie została zanieczyszczona. Pobocza dróg, które tak sobie upodobały, są jednocześnie ich przekleństwem, bo całe potężne grzybnie są rozjeżdżane przez niefrasobliwie parkujące samochody.

Łatwo je też pomylić z wełniankami, które po przekrojeniu puszczają białe mleczko, podczas gdy rydz – pomarańczowe, poza tym miejsce uszkodzenia natychmiast robi się sinozielone. Rydz ma też piękny, delikatnie owocowy zapach i okrągłe, czerwonawe pręgi na kapeluszu.

Jak je przyrządzać? Najlepiej najprościej, czyli podsmażyć na maśle cieniutkie talarki czosnku, a potem z obu stron grzyby, żeby zrobiły się lekko chrupiące. Moim zdaniem tak podane są najlepsze, chociaż w rodzinie równie wielką rzeszę fanów mają marynowane i podawane w jajecznicy.

Można je oczywiście kupić na targowiskach, ale radość ze znalezienia własnych rydzów jest tak niesamowita, że tylko dla nich warto urządzić wyprawę do lasu.

Fot. Shutterstock

WILCZYM OKIEM

Niedźwiedź i limba

PRZEMYSŁAW BARSZCZ

Powonienie jest wśród ssaków niezwykle istotnym zmysłem – dla wielu gatunków zwierząt ważniejszym niż nieco pomocniczo działający wzrok. Tak jest chociażby w przypadku niedźwiedzi brunatnych *Ursus arctos*. Widzą wyraźnie z niewielkiej odległości, mają za to bardzo dobry słuch i genialny węch: wielokrotnie lepszy niż węch psi i 2 tys. razy czulszy niż ludzki. Zapachy tworzą mapę niedźwiedziego rewiru i konstruują wielowątkową sieć powiązań z innymi osobnikami – w ogóle kształtują niedźwiedzi zapachowy obraz świata.

Nic więc dziwnego, że bardzo ważnym elementem funkcjonowania w lesie jest dla niedźwiedzi pozostawianie zapachowych informacji. Schodząc kiedyś z beskidzkiego Pilska, zwróciłem uwagę na dwie sosny rosnące tuż obok szlaku. Po pierwsze, były to sosny limby *Pinus cembra*. Te piękne, podlegające ochronie sosny mają w Polsce swój naturalny zasięg wyłącznie w Tatrach. Na Pilsku limby musiały więc zostać posadzone (choć nie można w 100 proc. wykluczyć, że smacznych nasion nie przeniósł z Tatr jakiś ptak).

Po drugie, pnie limb były po części odrapane z kory, a w drewnie widniały długie, głębokie bruzdy – sięgające do wysokości około dwóch metrów ślady niedźwiedzich pazurów.

Sam już widok pni, które darł pazurami niedźwiedź, jest bardzo intrygujący. Zaraz jednak pojawia się kolejna refleksja: zwierzę nie wybrało tych drzew przypadkowo.

Sygnał, mający oznakować terytorium, a także przyciągnąć partnera, powinien się wyróżniać. Niedźwiedź wybrał więc drzewa z unikatowego w tym górskim lesie gatunku. Podobnie jak limby zwróciły uwagę ludzką, zapewne jako osobliwość zwróciły uwagę niedźwiedzia, który liczył na to, że zwielokrotnią siłę przekazu bodźca zapachowego dla innych osobników.

Dodajmy, że żywica limb jest tak wonna, że może być używana jako składnik kadzidła. Oryginalny zapach znęcił więc niedźwiedzia (przypomnijmy, że czuł go 2 tys. razy wyraźniej niż człowiek, musiał to więc być nieodparty bodziec), który najpierw z przyjemnością i zainteresowaniem rył pazurami w pięknie pachnącym drewnie, a później ocierał się o pnie grzbietem, zarazem pozostawiając swój zapach i samemu nabierając woni limbowej żywicy.

eprasa.pl a7919b9646

WOJCIECH RESZCZYŃSKI

Oblicza nacjonalizmu

W podręczniku prof. Wojciecha Roszkowskiego dla liceów i techników jest wiele myśli i konstatacji, które musiały zaburzyć tok myślenia polskich pseudoelit, wychowanych w porządku komunistycznym, a po 1989 r. okrągłostołowym, zdominowanym przez myślenie lewicowo-liberalne, na wzór zachodni. Zgodnie z proweniencją ujawniły się nie tylko charakterystyczne dla tego środowiska jej korzenie, lecz także totalitarne skłonności, nakazujące zwalczać wszystko to, co nie mieści się w zaakceptowanym dla tego środowiska ideowym kanonie. Stąd zgodny opór i próby wyeliminowania podręcznika ze szkół. Jako przykład przywołam tylko jeden z rozdziałów książki prof. Wojciecha Roszkowskiego pt. „Co z nacjonalizmem?".

W naszych czasach człowiek oskarżany o nacjonalizm nie ma w zasadzie żadnych szans obrony swoich zapatrywań. Oskarżenie jest jak pałka, którą okłada się każdego zwolennika nacjonalizmu, zrównując go często z sympatykiem faszyzmu, choć te dwa słowa mają zasadniczo różne znaczenie. I w tym rzecz, by ponownie wprowadzić do przestrzeni medialnej, a nade wszystko do edukacji i nauki, prawdziwe definicje bez błędnych ideologicznych uprzedzeń.

Początki nacjonalizmów sięgają XV i XVI w. i wiążą się z reformacją, powstaniem Kościołów narodowych. Następnie nacjonalizm, nazywany przez profesora romantycznym, pojawia się w XIX w. w społeczeństwach zdominowanych i wyzyskiwanych przez wielkie imperia. To czas Wiosny Ludów, czyli lata 1848–1849. Ożywa idea narodowa. Hasła walki o niepodległość prowadzą do powstania państw narodowych, których wysyp to początek XX w. Polska także rozwija swoją ideę narodową. Polski nacjonalizm wspomaga duchowy patriotyzm. Stąd trafnie dobrany w książce cytat z wypowiedzi św. Jana Pawła II.

„Charakterystyczne dla nacjonalizmu jest [...] to, że uznaje tylko dobro własnego narodu i tylko do niego dąży, nie licząc się z prawami innych. Patriotyzm natomiast jako miłość ojczyzny przyznaje wszystkim innym narodom takie samo prawo jak własnemu". W słowach tych nie znajdujemy potwierdzenia agresywnego charakteru tak rozumianego nacjonalizmu. Taki nacjonalizm nie oznacza walki z innym narodem, to jedynie egoistyczna obojętność wobec praw i interesów innych narodów. Kwestię tę opisał precyzyjnie prof. Feliks Koneczny w pracy pt. „Prawa dziejowe". „Tym różni się patriotyzm od nacjonalizmu, który jest wyłącznie egoistyczny, a sprawami narodu kieruje się bez względu na innych, w mylnym mniemaniu jakoby można było być pożytecznym swemu narodowi na trwałe, choćby było się szkodnikiem dla całego świata. [...] Nacjonalizm jest ekskluzywny i opiera pomyślność własnego narodu na niepowodzeniu innych".

Pisząc, że nacjonalizm „nie cofnie się przed podbojem i uciskiem innych", prof. Feliks Koneczny miał na uwadze przede wszystkim Niemcy, państwo więcej niż nacjonalistyczne, szowinistyczne, agresywne, zaborcze i zbrodnicze. Taki nacjonalizm, narodowo-socjalistyczny, wymaga absolutnego potępienia i w żadnym wypadku nie wolno mylić go z polskim nacjonalizmem.

Nacjonalizm rosyjski miał podobne cechy jak nacjonalizm niemiecki. Nic dziwnego, że utarło się mówić o Niemczech i Rosji jako o dwóch jeźdźcach Apokalipsy. Albo o zbliżonych kolorach (brunatnym i czerwonym) obu nacjonalizmów. Sowieci, Armia Czerwona, podbijając Polskę po wojnie, zwalczała polskich nacjonalistów i faszystów. Byli nimi powstańcy warszawscy, żołnierze września 1939 r. i polskiej armii na Zachodzie, twórcy niepodległościowego podziemia, żołnierze wyklęci, resztki ocalałej polskiej przedwojennej inteligencji. Dla Rosjan wszyscy oni byli faszystami. Tę samą pałką okładają dziś Ukraińców, oficjalnie twierdząc, że dążą do „denazyfikacji" Ukrainy.

Prof. Roszkowski słusznie zauważa, i to właśnie budzi sprzeciw polskich i europejskich lumpenelit, że polski nacjonalizm bywa bardzo bliski patriotyzmowi. Patriotyzmowi, który nakazuje czcić rocznice odzyskania przez Polskę niepodległości 11 listopada i uczestniczyć w pokojowych marszach ulicami polskich miast. A zachowanie to jest też odbierane w Polsce i za granicą jako przejaw skrajnego nacjonalizmu oraz faszyzmu. Dobrze znamy wypowiedź Guya Verhofstadta, byłego belgijskiego premiera i członka Parlamentu Europejskiego, o polskich faszystach na ulicach Warszawy. Nie spotkała go za to żadna kara, a przecież można mu było odebrać przyznany przez prezydenta Aleksandra Kwaśniewskiego w 2004 r. Krzyż Wielki Orderu Zasługi Rzeczypospolitej Polski.

Idei narodowej trzeba bronić tak samo jak patriotyzmu. Gdy upada idea narodowa, upada patriotyzm, upada państwo, upada nasza cywilizacja łacińsko-chrześcijańska.

www.wojciechreszczynski.pl

BĄDŹ SOBĄ – PRZECZYTAJ

Odwyk

Aleksander Nalaskowski

Kilka tygodni temu postanowiłem zostać medialnym pustelnikiem. Po jakiejś kolejnej audycji z rozwrzeszczanymi, przekrzykującymi się dyskutantami powiedziałem „dość!". W imię czego w wieku 65 lat mam się poddawać nastrojom, emocjom i często knajactwu posłów, dziennikarzy i innych indywiduów? Wszak nic już nie muszę, ale wciąż wiele mogę.

Moja decyzja była prosta i natychmiastowa. Odciąłem się od wszelkich mediów politycznych. Od gazet, telewizji różnych nadawców, od radia, portali gazetopodobnych itd. W aucie słucham tylko muzyki, a w moim warsztacie stolarskim chorałów gregoriańskich, których sporo mam na płytach. Radio w aucie samo się włącza na Polskie Radio Kierowców, a potem na prognozę pogody. I tak mam od kilku tygodni.

To oczywiście eksperyment dokonywany na samym sobie. Ma nawet formalne cechy eksperymentu. Otóż do pewnej rzeczywistości (mojej codzienności) został wprowadzony jeden czynnik, nazwijmy go ciszą medialną. I tylko tym elementem różni się moja codzienność „sprzed ciszy" od codzienności „po ciszy". Zatem mamy spełniony drugi kanon Milla, mówiący o jedynej różnicy. A zatem wszelkie zmiany w moim życiu codziennym, zachodzące po wprowadzeniu czynnika ciszy medialnej, możemy przypisać właśnie jego działaniu. Wyniki tego eksperymentu są zaskakujące.

Moja decyzja była prosta i natychmiastowa. Odciąłem się od wszelkich mediów politycznych. Wyniki tego eksperymentu są zaskakujące

Przede wszystkim nie zmieniły się w ogóle moje sympatie polityczne i nadal wiem, na kogo głosować. O polskiej biedzie i drożyźnie dowiaduję się wyłącznie z autopsji, gdy widzę kolejki do sklepowej kasy, ludzi z wypełnionymi po brzegi wózkami, gdy na moim osiedlu próbuję się włączyć do ruchu, szukając luki w nieskończonym strumieniu aut, w których zazwyczaj jedzie tylko jedna osoba.

Wolniej chodzę i mam więcej czasu. Moja podświadomość nie jest nakręcana przez dziennikarzy i korespondentów strzelających słowami jak z kałasznikowa, nie jest tresowana przez kilkusekundowe wstawki filmowe, by mnie do czegoś przekonać. Jestem cierpliwszy i spokojniejszy, co z radością odnotowały moje najmłodsze wnuczki.

Mój zmysł estetyczny nie jest gwałcony ani Magdaleną Środą, ani Joanną Senyszyn i zaczynam z radością doceniać świat bez rubasznej Moniki Olejnik i drewnianego Morozowskiego.

Nie mam potrzeby wysłuchiwania kolejnych relacji z Ukrainy. Nie muszę dowiadywać się o kolejnych bombardowaniach, trupach i wystrzelonych rakietach taktycznych, bo już od dawna wiem, kto jest bezwzględnym agresorem, a kto broniącą się ofiarą. Kolejne takie komunikaty tylko pogłębiały moją frustrację.

Nie przejmuję się pikietami, oświadczeniami, strajkami, idiotycznymi lapusami, bo w mojej codzienności są mi niepotrzebne.

Nie oglądam wystąpień premiera i prezesa, bo i bez tego wiem, co powiedzą. A nie opowiedzą niczego nowszego niż to, co i tak widzę na własne oczy.

Okazuje się, że bez mediów nie interesują mnie wybory we Francji czy Italii. To media mi wmówiły, że jest to dla mnie ważne i interesujące. Ale nie jest.

Zaczynam z politowaniem patrzeć na ludzi żyjących w deficycie czasu, którzy nie są świadomi tego, że to media każą im się ze wszystkim śpieszyć. Nie wiedzą oni, jak wiele czasu przy tym tracą.

Nie zadaję sobie pytania, kto wmówił Małgorzacie Łaszcz, Dominice Wielowieyskiej czy Katarzynie Kolendzie-Zaleskiej, że są dziennikarzami. Nie obchodzi mnie, gdzie jąkał się Michnik, a gdzie Kaczyński żartował.

Nie denerwują mnie idiotyczne reklamy pasty, po której odrastają zęby, szamponu, który z łysego zrobi kudłatego, czy masła, które zrobi ze mną, co zechce.

Zbierzmy w całość wyniki mojego eksperymentu. Po pierwsze, odzyskałem mnóstwo czasu. Po drugie, mniej się denerwuję. Po trzecie, dowiedziałem się, że 99 proc. przekazywanych przez media (bez względu na typ) informacji albo „informacji" nie ma kompletnie znaczenia. Po czwarte, media nakręcają pośpiech, bo same się śpieszą. Po piąte, bez mediów żyje się wolniej.

Jesień w pełni, a zatem nieuchronnie zbliża się adwent. Może warto by na czas oczekiwania na narodziny Zbawiciela zafundować sobie taki odwyk? Na pewno wyjdzie on wszystkim na zdrowie.

eprasa.pl a7919b9646

TYLKO DLA PRENUMERATORÓW WERSJI PAPIEROWEJ

SIECI

400 lat pięknej historii klasztoru w Kartuzach – od fundacji w 1382 r. po zabór dóbr przez króla pruskiego w 1772 r.

100 książek w prezencie

Fot. pbc.gda.pl

Książkę **„Kartuzja Kaszubska”** otrzymasz **GRATIS**, zamawiając roczną prenumeratę tygodnika SIECI za **265 zł**.

Zamów już dziś na: **www.wsieciprawdy.pl/prenumerata**

Wpłat za prenumeratę prosimy dokonywać na konto: 91 1240 5354 1111 0010 7713 6290, Fratria Sp. z o.o., ul. Legionów 126-128, 81-472 Gdynia, w tytule wpłaty wpisując: PRENUMERATA SIECI i pełne dane adresowe do wysyłki.

Kontakt: **prenumerata@fratria.pl** | **tel. 22 616 36 00** w godz. 9-16

eprasa.pl a7919b9646

Sekcja Specjalna opozycji

Jerzy Jachowicz

Nie będę się szczypał, likwidując toksyczne gniazda prawicowych faszystów – zadeklarował prof. Valdi Gołąbek z Uniwersytetu Warszawskiego, wybrany na szefa Sekcji Specjalnej (SS). Infiltracja i dezintegracja PiS oraz środowisk sprzyjających tej partii to główne zadanie, które stawia sobie ta utajniona komórka. – Zagrożenie demokracji i praworządności należy tłumić w zarodku – kontynuował swoje wystąpienie ten wybitny specjalista wąskiej dyscypliny nauki „wstrząsowe terapie socjologii stosowanej". – Piłujemy katolików i faszystów! – z entuzjazmem wykrzyknął Sławomir Nitras. – Panie pośle, mamy ich wyp...lić dyskretnie, bez rozgłosu – wyjaśnił rzeczowo prof. Valdi Gołąbek. – Rozumiem, czyli po cichu – dorzucił wesoło poseł Nitras.

Zaprzyjaźniony z nami od lat tygodnik „Peryskop Parlamentarny" (popularny „PP") przesłał nam relację z ważnego strategicznie spotkania liderów opozycji wraz z zarządami ich partii. Unikatowy system łączności, którego w badaniach nad zjawiskami związku polityki z fizyką molekularną używają wydawcy „PP", pozwolił na dokładną rejestrację przebiegu spotkania.

Przewodnictwo zebrania powierzono Platformie Obywatelskiej jako największej partii opozycyjnej, która była zarazem jego inicjatorem. – Panie profesorze, chcę pana uspokoić, że zaraz po wyborach dostarczymy panu kompletną listę wyborców głosujących na Zjednoczoną Prawicę. W każdej komisji wyborczej będą nasi ludzie, których zadaniem będzie sporządzenie takich rejestrów – zapewniał prowadzący spotkanie Borys Budka. – Może być drobny kłopot z ustaleniem pełnego wykazu ludzi zatrudnionych w mediach prawicowych. – To żadna trudność – przerwał mu profesor. Przewidziałem to. W mojej SS są medioznawcy, którzy mają dobre rozpoznanie zaplecza pierwszoplanowych prawicowych kadr dziennikarskich – dodał. Jego informację zebrani przyjęli z wyraźną ulgą. – Nikomu nie ujdzie płazem – skwitował głośno Budka.

Ostatnim mówcą był poseł Nowej Lewicy Krzysztof Śmiszek, który z niemaskowaną satysfakcją zapowiedział: – Skończą się zamachy na nasze świętości. – Nie przez wszystkich zostało to w pełni zrozumiane.

As basu z energią i humorem

Adam Ciesielski

Bez Krzysztofa Ścierańskiego nie sposób wyobrazić sobie polskiego jazzu i rocka. Znakomity basista wydał właśnie nową płytę, a za moment będzie bohaterem festiwalu Jazz Jamboree, inaugurując go swoimi popisami aż w siedmiu konstelacjach.

As elektrycznego basu, wirtuoz także gitary melodycznej, kompozytor, swój najświeższy album zatytułował „Jazz, rock i święty spokój". Dwa pierwsze słowa wiernie odzwierciedlają naturalne środowisko artysty, ale trzeci człon brzmi żartobliwie. Bo hasło „Krzysztof Ścierański" zdaje się obiecywać wszystko, tylko nie święty spokój właśnie. To stała gotowość na nową muzyczną przygodę.

Jako 22-latek w rodzinnym Krakowie współtworzył legendarne jazzrockowe Laboratorium, wkrótce stał się rytmiczną opoką String Connection Krzesimira Dębskiego i Air Condition Zbigniewa Namysłowskiego. Grał z Tomaszem Stańką, Wojciechem Karolakiem, Johnem Porterem, słychać go m.in. na płytach zespołu Wilki, Obywatela G.C., Marka Grechuty. To on napisał takie piosenki jak „Pomidory" Ewy Bem czy „Brzydcy" Grażyny Łobaszewskiej.

Najnowszy album wydał w triu z grającym na perkusji synem Marcinem i takimi partnerami, jak Waldemar Gołębski na EWI (electronic wind instrument), raper Marcin Gracza czy pianista Dariusz Grela. Z repertuaru najefektowniejszy jest wykonany w duecie z synem „Protest", tytułem i dynamiką odlegle kojarzący się z kapitalnym teledyskiem „Pro-test song", zrealizowanym w 1984 r. z gitarzystą Ryszardem Sygitowiczem.

Dzisiejsze i dawniejsze wcielenia mistrza zaprezentuje 27 października 2022 r. otwierający 64. Jazz Jamboree Dzień Krzysztofa Ścierańskiego. Bohater wieczoru zagra w kwartecie, w triu i solo, a także z pamiętnymi formacjami: Laboratorium, String Connection i The Colors. Trudno o trafniejszy wstęp do legendarnego festiwalu (27–30.10.2022), na który Mariusz Adamiak zaprosił takie światowe gwiazdy jazzu, jak Lizz Wright, James Blood Ulmer czy David Murray.

Krzysztof Ścierański Trio, „Jazz, rock i święty spokój", wyd. Kolektyw Rec., Dzień Krzysztofa Ścierańskiego na 64. Jazz Jamboree, 27.01.2022, Warszawa, klub Stodoła

Autopromocja

eprasa.pl a7919b9646

Rysuje ***Jerzy Wasiukiewicz***

TRENDY I OWĘDY

Jak zostać bogaczem

Od pewnego czasu w sieci pojawiają się intrygujące reklamy

Ryszard Makowski

Czasy są zwariowane. Entropia rośnie lawinowo. Epidemia i wojna na Ukrainie destabilizują rynki ekonomiczne. Niepewność narasta. Jednak nie ma co się martwić. Wystarczy wejść do internetu, a tam zachęca nas tytuł: „Polacy zarabiają setki tysięcy złotych na handlu gazem dzięki specjalnemu programowi Baltic Pipe".

Z artykułu dowiadujemy się: „Już 9 tys. osób w Polsce miało szansę przetestować ten program, średni zysk uczestnika jest niewiarygodny i wynosi 8 tys. zł dziennie!". No bajka! Przecież o to chodzi, żeby tę ósemkę dziennie przytulić i szafa gra. Anons jest także pełen troski: „Doświadczamy obecnie w Polsce i na świecie olbrzymiej inflacji oraz wzrostu cen towarów i usług, które są spowodowane przez wzrost cen gazu i paliw. Oznacza to, że twoje pieniądze tracą na wartości, możesz za nie kupić coraz mniej rzeczy, bo ceny gwałtownie rosną". Wytrawna analiza sytuacji. Z tym że dostać się do tego programu nie jest łatwo. „Na dziś dostępne jest tylko 50 miejsc, ponieważ każdy chciałby zainwestować w Baltic Pipe". No pewnie, że każdy. Potem jest zamieszczony algorytm, co i jak, a najważniejszy punkt informuje: „[...] wpłać środki, minimalnie jest to 1000 zł, zostanie to wykorzystane do inwestowania i generowania dochodu".

Wcześniej można było trafić na identyczne ogłoszenia, z tym że wtedy inwestowało się w Orlen. Pytałem w Orlenie, nikt o takim programie nie słyszał. I to wszystko jest legalne. Jak widać, można u nas łatwo zostać milionerem, tylko trzeba mieć dobry pomysł na naiwnych.

eprasa.pl a7919b9646

Michał Korsun prezentuje:
Elon Musk – ćwierka pro rosyjsku

Wycinki z przeszłości

W ogłoszeniach drobnych zawsze odbija się prawdziwe życie. Oto kilka z „Ilustrowanego Kuriera Codziennego" z 22 października 1931 r.

ROZWODOWE – sprawy, także bez zgody stron. Warszawa, Jerzy Beyer, Krucza 29.

MŁYN – tartak wodny, gospodarczy wydzierżawię, potrzebna gotówka 1500–8500 dolarów. Fr. Olesiuk, Wola Zaderewacka, poczta Sokołów koło Stryja.

MĘŻCZYZNA po trzydziestce, przystojny, wysoki, wykształcenie prawnicze i filozoficzne, obce języki, na stanowisku – pozna w celu towarzyskim, ewentualnie matrymonialnym, elegancką panią do 30 lat o wyższej kulturze ducha, materialnie niezależną, łagodnego usposobienia, poszukującej dozgonnej miłości. Zgłoszenia, możliwie z fotografią, za zwrot której i dyskrecję ręczę słowem honoru, po „Nie – Pitigrilli", I.K.C., Warszawa, Krakowskie Przedmieście 9.

ŁADNY chłopiec po trzydziestce, pozna takąż niezależną Panią z Mysłowic, Sosnowca, Zawiercia lub okolic. Zgłoszenia, IKC, Kraków, Wielopole 1 pod „Fotografię zwrócę F.F.".

W Gdyni dobrze zaprowadzoną PIEKARNIĘ wydzierżawię od zaraz. Ludwik Bankiewicz, Orłowo, pow. Morski.

SKRADZIONĄ książeczkę wojskową i kartę mobilizacyjną, wydaną przez P.K.U. Radom na nazwisko Stanisław Lesisz, unieważniam.

(mk)

To już dawno...

Leszek Długosz

Pamiętam, stałem właśnie przed drzwiami Poświatowskiej, w tym wspólnym mieszkaniu w Krakowie, przy Krupniczej, gdy zszedłszy z góry, ze Związku Literatów, jego ówczesny tam sekretarz, pan Bodnicki, przyniósł tę wiadomość: „Był telefon z Warszawy. Halina zmarła. Dziś w nocy. Operacja ponoć się udała, ale...". Spojrzałem na kalendarz, właśnie mija równe 55 lat. Obciążona wadą serca, młoda, piękna, wdowa po zmarłym wcześniej (również na serce) mężu, walczyła do ostatka. O życie, o miłość. Niezwykła, tragiczna karta polskiej poezji. I takież życie...

Halina Poświatowska (1935–1967)

Boże mój zmiłuj się nade mną
czemu stworzyłeś mnie na niepodobieństwo
twardych kamieni

pełna jestem twoich tajemnic
wodę zamieniam w wino pragnienia
wino – zamieniam w płomień krwi

Boże mojego bólu
atłasowym oddechem wymość
puste gniazdo mojego serca

lekko – żeby nie pognieść skrzydeł
tchnij we mnie ptaka
o głosie srebrnym z tkliwości
i od dłoni
którymi rozrywałam koperty tak delikatnie
jak gdybym na włókna
rozrywała twoje bijące serce

upłynęły dwa lata
mój krzyk przysypał biały śnieg gęsiego pierza
biały krzyk gęsiego pierza poplamiony czerwienią
pociemniał zapach
i tylko drzewo –
pamięć rośnie zaborczą zielenią

Zamów Prenumeratę! Według nowego cennika

CENNIK PRENUMERAT*	OKRES PRENUMERATY		
	3 miesiące	6 miesięcy	12 miesięcy
SIECI	82 zł	149 zł	265 zł
wSIECI HISTORII	–	34 zł (3 wydania)	59 zł (6 wydań)
pakiet SIECI i wSIECI HISTORII	–	169 zł (w tym 3 wydania wSIECI HISTORII)	295 zł (w tym 6 wydań wSIECI HISTORII)

*dane do przelewu w stopce redakcyjnej

eprasa.pl a7919b9646

OD A DO ZYBERTOWICZÓW

Polska dla agresywnych?

Łukasza Pawłowskiego chyba nigdy nie spotkaliśmy. Znamy go z Twittera. Jest prezesem Ogólnopolskiej Grupy Badawczej, tworzącej diagnozy, prognozy i analizy.

7 października 2022 r. pewien dość niemądry – jeśli sądzić po występach na Twitterze – profesor Uniwersytetu Warszawskiego napisał: „Elektorat PiS jest niezwykle toksyczny kulturowo. Po odsunięciu PiS od władzy służby powinny infiltrować i wewnętrznie dezintegrować każdą kolejną partię, która będzie bazować na tym elektoracie. Tylko w ten sposób unikniemy pełnoskalowego faszyzmu". Aż się prosi o analizę tego oryginalnego utworu, ale odpuśćmy to. W reakcji na ten wpis Pawłowski 9 października br. napisał: „Wszystkie badania (w tym te na UW oraz nasze, które niedługo opublikujemy) pokazują, że elektorat opozycyjny jest dużo bardziej »agresywny« niż elektorat PiS. Kto temu gościowi dał tytuł i pracę na uczelni?".

Zapomnijmy tu, na potrzeby naszego wywodu, niemądrego gościa z UW. Chodzi o coś ważniejszego.

Oto powtarzające się badania pokazują istotną różnicę między elektoratami opozycji a rządzącego obozu dobrej zmiany. Ten pierwszy jest bardziej agresywny. W odróżnieniu od Pawłowskiego słowo „agresywny" piszemy bez cudzysłowu. Z tą agresją zdarza nam się spotkać bowiem osobiście, nie tylko w internecie. Pawłowski jako doświadczony badacz rozumie, że określenie tak złożonego zjawiska jak odmienności między zróżnicowanymi elektoratami ostro konkurujących z sobą środowisk politycznych za pomocą jednego słowa to poważne uproszczenie. Że odmienności elektoratów można określać za pomocą wielu zmiennych i na różnych skalach. Sami jesteśmy socjologami i wiemy, że opisanie czegoś tak złożonego za pomocą jednego – i to tak w pewnym sensie drażliwego – określenia jest uproszczeniem. Jednak to uproszczenie sygnalizuje coś ważnego dla zrozumienia tego, co stało się z polskim społeczeństwem.

Niezależnie od tego, z czego wyrasta wyższa agresywność *elektoratu opozycji, należy uznać, iż jest to fakt już badawczo potwierdzony, z którego coś wynika. Dla Polski*

Pisano już nieco więcej o różnicach między tymi elektoratami. Oto zwolennicy PO, w swojej przeważającej części (a może w całości?) regularnie oglądający telewizję TVN24, bardzo rzadko lub wcale nie zaglądają do TVP Info. Odwrotnie czynią zwolennicy PiS – ci oglądając chyba głównie telewizję publiczną, jednak konfrontują swój obraz świata z tym, co podaje TVN24.

Kolejna różnica, też uchwycona w badaniach (które tu w trybie felietonowym przywołujemy z pamięci), polega na tym, że zwolennicy obecnego rządu są znacznie bardziej skłonni rozmawiać, przekonywać osoby należące do elektoratu partii opozycyjnych niż jest to odwrotnie. Zwolennicy opozycji – przysłowiowi „kodersi" – po prostu uznają, że z „tymi głupkami", tj. z osobami z naszej strony politycznego sporu, rozmowa nie ma sensu. Znów upraszczając: my chcielibyśmy ewangelizować, oni pogardzają.

Najbardziej może wyraźnie ukazało się to w praktyce w czasie masowych protestów po decyzji zaostrzającej prawo aborcyjne dwa lata temu. Retoryka ośmiu gwiazdek i „wyp....alania" to przecież agresywna demonstracja wykluczenia ze wspólnoty.

Warto i w trybie badawczym, i czysto publicystycznym dokładniej rozważać, skąd się wzięły te różnice postaw między elektoratami. Można by wysunąć garść hipotez i starać się przynajmniej niektóre z nich sprawdzić w badaniach. Byłoby to fascynujące. Tym razem jednak chcemy skupić uwagę czytelniczek i czytelników na czymś innym.

Niezależnie bowiem od tego, z czego wyrasta wyższa *agresywność* elektoratu opozycji, należy uznać, iż jest to fakt już badawczo potwierdzony, z którego coś wynika. Dla Polski, dla polskiej polityki, dla naszego myślenia o polskości oraz o miejscu Polski w Europie.

W demokracji politycy – czy rządzący, czy pozostający w opozycji – zawsze w jakimś stopniu muszą dopasowywać się do oczekiwań, nastawień, schematów myślowych swojego elektoratu. Jakie byłyby rokowania dla pokoju społecznego w naszym kraju, gdyby w rezultacie parlamentarnych wyborów władzę w Polsce objęli politycy spełniający oczekiwania elektoratu nasyconego agresją?

Katarzyna i Andrzej Zybertowiczowie

Autopromocja x2

eprasa.pl a7919b9646

Kup e-prenumeratę SIECI teraz 50% taniej

e-book w prezencie

12 pasjonujących lekcji historii, dzięki którym poznacie m.in.:

- niesamowitą Polkę, najwybitniejszego szpiega i asa wywiadu
- żołnierza Piłsudskiego, który dostał Oskara
- Fina – postrach czerwonoarmistów
- napad na pociąg, w którym udział wzięli czterej przyszli premierzy II RP
- trwającą 16 lat wojnę, którą Polska wypowiedziała Japonii

aż 121 stron

Zamów już dziś na www.siecprzyjaciol.pl

eprasa.pl a7919b9646

wSIECI HISTORII

Nowe wydanie w kioskach!

Okupacja 1939–1945 – jak wyglądała totalna grabież?

Kręte drogi II RP – jak doszło do sojuszu polsko-ukraińskiego?

Piekło w Zatoce Kolskiej – jak Sowieci sami się rozbroili?

Zamów e-prenumeratę SIECI i wSIECI HISTORII
50% taniej!

Wejdź na **www.SiecPrzyjaciol.pl**

eprasa.pl a7919b9646